

ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER



SPRAWA CZARNEGO POWOZU



Enola ma talent detektywistyczny nie gorszy niż Sherlock

- JACEK SZCZERBA, WYBORCZA.PL -

TOM - 7 -



 Poradnia K

NANCY SPRINGER

ENOLA
HOLMES

SPRAWA
CZARNEGO
POWOZU

PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁĄZKA-SALAMON



Poradnia K

**Dla Teanny Byerts,
z którą przyjaźnię się od lat**





PROLOG

pióra Sherlocka Holmesa, 1889

Ci z państwa, którzy słyszeli o mojej niepospolitej karierze jako pierwszego na świecie prywatnego detektywa, pozostają być może w nieświadomości zdumiewających wyczynów innej, obdarzonej podobnymi talentami potomkini rodu Holmesów, czyli mojej znacznie młodszej siostry Enoli, która zawojowała ostatnio londyńskie kręgi. Wiele osób uznało fakt, że młoda kobieta ściąga na siebie uwagę opinii publicznej, za skandaliczny i pożałowania godny. Gorzej, część z nich ma nawet do mnie pretensje, że nie potrafiłem przywołać siostry do porządku. Korzystam zatem z okazji, by zdać własną, popartą logiką i obiektywizmem relację z moich kontaktów z Enolą Eudorią Hadassah Holmes.

Pragnę od razu zastrzec, że nie kieruję się względami sentymentalnymi. Ba, nie mam nawet żadnych wspomnień związanych z dzieciństwem mojej siostry. Aż do lipca 1888 roku prawie jej nie znałem. Kiedy przyszła na świat w roku 1874, szykowałem się właśnie do opuszczenia rodzinnego gniazda, pragnąc się usamodzielnic i pogłębiać wiedzę. Przyspieszyłem nawet wyjazd w związku z wysoce uciążliwym chaosem, który zapanował w domu po narodzinach dziecka. W ciągu kolejnych kilku lat widywałem ją sporadycznie, czując naturalną u dżentelmena awersję do usmarkanych i nierozwiniętych w pełni osobników rodzaju ludzkiego. Kiedy zmarł nasz ojciec, Enola miała cztery lata i nadal nie umiała zadbać o czystość własnego nosa. Nie przypominam sobie, bym w tym okresie prowadził z nią jakąkolwiek sensowną rozmowę.

Kolejny raz spotkałem ją dziesięć lat po pogrzebie ojca, w lipcu 1888 roku. Nie była to zwyczajna okazja. Nieoczekiwane i niewyjaśnione zniknięcie matki – naszej matki – zmusiło Enolę do wezwania mojego brata Mycrofta i mnie z Londynu. Kiedy pociąg zatrzymał się na wiejskiej stacji, dziewczyna czekała na nas na peronie. Wyglądała jak nieopierzony bocian. Obdarzona wyjątkowym jak na czternastolatkę wzrostem, stała przy torach w sukieneczynie odsłaniającej jej chude golenie, nie mając na sobie ani kapelusza, ani rękawiczek. Potargane przez wiatr włosy przypominały kawcze gniazdo. Obaj z Mycroftem wzięliśmy ją za dziecko ulicy. Rozpoznaliśmy w niej siostrę, dopiero gdy do nas podeszła. „Pan Holmes oraz... Hm... Pan Holmes?”. Dziewczyna, cechująca się manierami godnymi żrebaka, wydała się nie rozumieć pytań, którymi zasypał ją Mycroft, i kiedy wreszcie dotarliśmy do rodzinnego majątku, czyli Ferndell Hall, nabrałem pewności, że moja siostra jest zdecydowanie mniej rozbawiona niż typowa przedstawicielka płci pięknej.

Po przybyciu na miejsce Mycroft i ja doszliśmy wspólnie do wniosku, że nasza matka nie padła ofiarą porywaczy. Jako wyznawczyni ideologii sufrażystek po prostu uciekła z domu. Nie przejęliśmy się tym zbyt, ponieważ doszła już do kresu swoich możliwości reprodukcyjnych i z racji podeszłego wieku stała się jednostką bezużyteczną i niereformowalną. Niemniej jednak czuliśmy, że należy coś zrobić z naszą młodocianą siostrą, która rokowała jeszcze nadzieję na powrót do społeczeństwa. Głusi na jej bezsensowne protesty dopełniliśmy formalności związanych z umieszczeniem jej na znamienitej pensji z internatem, licząc na to, że nabierze tam ogłady i będzie można wydać ją za mąż.

Wróciliśmy do Londynu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Okazało się wkrótce, że Enola nie dotarła do miejsca przeznaczenia. W dniu zaplanowanego wyjazdu zniknęła bez śladu.

Że też miała czelność! Niewdzięczne stworzenie!

W kolejnych dniach ja, Sherlock Holmes, największy detektyw wszech czasów, wykorzystałem wszystkie swoje umiejętności, by wytropić głupiotkie zbiegłe dziewczętko, które – jak podejrzewałem – przebrało się za chłopaka. Ale nie natrafiłem nawet na najmniejszy jej ślad. Aż wreszcie, ku mojemu wielkiemu strapieniu, inspektor Lestrade ze Scotland Yardu przekazał mi szokującą wiadomość.

Enola postanowiła udawać wdowę.

Wdowę! Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie nie doceniłem jej sprytu. Najwyraźniej miała załączki mózgu, ponieważ przeistaczając się we wdowę, zmieniła wygląd twarzy, by postarzyć się co najmniej o dekadę, a także przywdziała żalobę, która odstręczała potencjalnych fatygantów.

Mimo to przyodziana w czarną krepe zwracała na siebie uwagę. Wyszło na jaw, że dotarła do Londynu. Niepojęte, że odważyła się zapuścić aż do stolicy. Udałem się do Scotland Yardu, gdzie spotkałem młodego arystokratę oswobodzonego z rąk porywaczy przez swoją rówieśniczkę... przebraną za wdowę! Chłopak poinformował mnie, że zdążyła już zmienić powierzchowność i od pewnego czasu udaje starzejącą się pannę w binoklach na nosie.

Podwoiłem wysiłki, chcąc jak najszybciej ją odszukać i uchronić przed niebezpieczeństwami wielkiego miasta. Niestety nie dysponowałem żadną jej podobizną, by zamieścić ogłoszenie w prasie. Enola nigdy nie pozowała do zdjęć. Los jednak chciał, że wpadła mi w ręce nad wyraz interesująca i wiele mówiąca broszurka z szyframi, sprezentowana jej przez matkę. Odkrywszy, iż obie nawiązały potajemnie kontakt, wymieniając się wiadomościami na szpaltach działu ogłoszeń drobnych „Pall Mall Gazette”, podszyłem się pod matkę i zamieściłem anons z prośbą o spotkanie. Pech chciał, że siostra jakimś cudem domyśliła się podstępu. Co więcej, kiedy czaiłem się pod Muzeum Brytyjskim z zamiarem jej pojmania, Enola dostała się do mojego mieszkania i wykradła rzeczoną książeczkę. Gospodyni opisała mi ją później jako ubogą przekupkę dygocącą na jesiennym chłodzie, a ja wówczas uświadomiłem sobie, że minąłem ją na ulicy, kiedy wychodziłem wcześniej tego dnia z domu.

Jeszcze bardziej przejęty losem nieletniej siostry, pełen obaw, że popadła w nędzę, skupiłem swoje poszukiwania na dzielnicach biedoty, gdzie pewnej mroźnej zimowej nocy przebrany za łachmaniarza natknąłem się na tajemniczą Siostrę Nędzarzy, niemą zakonnice spowitą w czarny habit, spieszącą z pomocą najuboższym. Ba, sam dostałem od niej ciasteczko. Podczas kolejnego spotkania mniszka powierzyła mej opiece pewną ślaniającą się damę, informując mnie lakonicznie o tożsamości złoicy, który ją skrzywdził. Rozpoznałem głos „niemej” zakonnicy, uświadamiając sobie z przerażeniem, że jest ni mniej, ni więcej moją rodzoną siostrą! Próbowałem ją pochwycić, jednak zagroziła mi sztyletem i zniknęła w mroku. Zaangażowałem w poszukiwania całą londyńską policję, lecz Enola znów przepadła bez śladu. Wróciwszy do domu o świcie w poczuciu klęski, znalazłem w pokoju porzucony przez nią habit. Cóż za zuchwałość, tupet i niewiarygodne ryzykanctwo ukrywać się w moim mieszkaniu, w czasie gdy gorączkowo jej szukałem po mieście!

Na marginesie dodam, że spiesząc na ratunek młodej lady, dość mocno pokaleczyła krwiożerczego oprawcę swoim sztylecikiem. Zrozumiałem, że moja siostra Enola doskonale da sobie sama radę, jednak, do kroćset, nie mogłem dopuścić do tego, by dorastała na ulicach Londynu. Teraz sam musiałem jej pospieszyć na ratunek. A jednak, mimo moich usilnych starań, gdy zima ustąpiła wiosnie, wciąż nie miałem żadnych na jej temat informacji.

W tym czasie moją uwagę zaprzątnęło niewyjaśnione zniknięcie drogiego przyjaciela, doktora Watsona. Przez tydzień nie jadłem i nie spałem, podobnie jak mój brat Mycroft, jednak nie mogliśmy wpaść na choćby najmniejszy trop. I koniec końców to nie my wyzwoliliśmy nieszczęśnika: zrobiła to nasza siostra! Zamieszczona w gazecie wiadomość doprowadziła nas do przytułku dla obłąkanych, w którym przetrzymywano biednego Watsona. Wiadomość była opatrzona inicjałami E.H. – Enola Holmes.

Zraniony w swojej dumie zachodziłem w głowę, jak mogła tego dokonać.

Nie miałem zielonego pojęcia, gdzie mieszka i z czego się utrzymuje. Proszę, by łaskawy czytelnik przypomniał sobie ślaniającą się lady, którą Enola złożyła mi w ramiona. Wkrótce po powrocie Watsona pechowa młoda dama padła ofiarą spisku mającego na celu przymuszenie jej do poślubienia pewnego mężczyzny. Zlecono mi wyratowanie jej z opresji. Wiązało się to z ukradkową nocną wizytą w rezydencji, gdzie jak podejrzewałem, przetrzymywano uprowadzoną dziewczynę. Ubrany w czerń, z przyciemnioną sadzą twarzą zakradłem się do ogrodu na tyłach domu – i nagle spadłem w przepaść! Ładując na dnie głębokiego wykopu, skręciłem boleśnie kostkę.

Równie boleśnie ucierpiała moja duma. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś może mieć w mieście „podziemny parkan”, więc dałem się złapać w pułapkę i nie miałem pomysłu, jak się z niej wydostać. Noga spuchła mi tak, że przysiadłszy na zimnych kamieniach, wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk, rozciąłem sznurowadła i zdjąłem but. Szarpiąc się z nim w egipskich ciemnościach,

zakląłem cicho pod nosem. Chwilę później nad moją głową rozległ się charakterystyczny dziewczęcy głos:

– Wstydź się!

Z wrażenia dosłownie opadła mi szczeka. Wstrząs był tak silny, że na dobrą chwilę ścisnęło mi się gardło, aż wreszcie zdołałem wydusić z siebie pytanie:

– Enola?

Tak, to była ona. Spuściła na dno fosy butelkę brandy i opatrunki, po czym wdrapała się na niewiarygodnie wielkie drzewo wyposażona w sznur. I to, o zgrozo, trzymała go w zębach. Obwiązała jego koniec wokół konara, przefrunęła jak przerośnięta małpa na drugi brzeg fosy będącej moim więzieniem. Spodziewałem się, że rzuci mi sznur, umożliwiając wyjście na powierzchnię, ale gdzie tam. Pognęła w stronę budynku, by samodzielnie uwolnić porwaną lady, a ja tkwiłbym zapewne w fosie po dziś dzień, gdyby nie to, że w ogrodzie pojawił się pan domu uzbrojony w strzelbę i zaczął do nas kropic! W kilka pełnych grozy chwil Enola pomogła mi wygramolić się na powierzchnię, wdrapać się na ogrodzenie, zeskoczyć na ulicę i uciec. Stopa odmówiła mi posłuszeństwa, więc musiałem uwiesić się na ramieniu siostry, by z trudem kuśtykać u jej boku. Wiem, że mój starszy brat nigdy mi nie wybaczy ani nie zdoła pojąć, dlaczego – kiedy oddaliliśmy się na bezpieczną odległość – poczułem się nagle w obowiązku nie zatrzymywać Enoli. Nakazywały mi to poczucie wdzięczności i męski honor. Uścisnęliśmy sobie z siostrą dłonie, po czym Enola puściła się kłusem niczym dziki kuc z wrzosowisk, pędząc z rozwianymi jak grzywa włosami ku wolności. Przy okazji z ulgą stwierdziłem, że ma na sobie spódnice, nie spodnie.

Zaledwie dwa dni później ponownie oddała mi pod opiekę nieszczęsną młodą lady, którą udało się jej ocalić przed przymusowym zamążpójściem. Od tamtej pory nie miałem z siostrą styczności poza jednym wyjątkiem, kiedy przez przypadek spotkałem się z nią w domu Florence Nightingale. Tym razem Enola pozowała na sawantkę: w okularach, kapeluszu o męskim fasonie, powalanych atramentem rękawiczkach i ciemnej, wąskiej sukni, jednak – co poczytuję sobie za sukces – od razu ją rozpoznałem. Na mój widok rzuciła się do ucieczki. Pobieglem za nią aż na najwyższą kondygnację budynku. A ona otworzyła tam okno, zeskoczyła na konar potężnego dębu, zsunęła się na dół i czmychnęła jak zając.

Wściekły i jednocześnie pełen podziwu przystąpiłem do realizacji zleconego mi przez pannę Nightingale zadania, polegającego na odszukaniu pewnej zaginionej kobiety o nazwisku Tupper. Po przeprowadzeniu rekonesansu następnej nocy przebrałem się za ubogiego kulawego starca z siwą brodą i udałem się w okolice okazałej rezydencji, by krążyć tam pod pozorem wypatrywania miedzaków w rynsztoku. Ku mojemu zdumieniu, skromnie ubrana, lecz z całą pewnością arystokratyczna dama przeszła obok mnie na drugą stronę ulicy, wkroczyła na posesję, kierując się w stronę drzwi, i energicznie zastukała kołatką. Była to Enola! Nie mogąc jej zatrzymać, zanim weszła do tego niebezpiecznego domu, zmieniłem plany i postanowiłem obserwować jej poczynania z zewnątrz przez okna. Byłem tak niespokojny o jej bezpieczeństwo, że kiedy zaprowadzono ją na górę, wspiałem się po porastających ścianę pnączach. Trzymając się kurczowo łodyg, przycisnąłem twarz do szyby. Enola spojrzała na mnie i mrugnęła! Zaskoczony omal nie poluzowałem chwytu i nie spadłem. Wkrótce, zgodnie z utrwalającym się zwyczajem, siostra ponownie mnie przechytrzyła. Kiedy drzwi frontowe otworzyły się z impetem, a ja zastosowałem wobec złoczyńcy kilka ciosów jujitsu, Enola wymknęła się tylnymi drzwiami w towarzystwie uwolnionej przez siebie Tupperowej, której później zapewniła azyl w domu Florence Nightingale.

Następnego dnia, wykrzykując pytania w czasie trąbki do ucha, udało mi się ustalić, że godna politowania, przygłucha i sędziwa pani Tupper jest gospodynią Enoli, i z pewną dozą satysfakcji wydedukowałem, że Enola zechce ją odwiedzić w rezydencji panny Nightingale. Zaczaiłem się w pobliżu budynku i w towarzystwie niejakiego Reginalda wypatrywałem siostry. Przez dom panny Nightingale przewijało się codziennie kilkadziesiąt osób. Wypatrując swojej niezbyt urodzivej siostry, nie zwróciłem uwagi na uroczą damę w kunsztownie upiętej błękitnej sukni uszytej z trzech różnych tkanin, tymczasem Reginald – owczarek szkocki, będący niegdyś nieodłącznym towarzyszem zabaw Enoli – zaskomlał i szarpnął smycz. Puściłem ją, a pies pognął w stronę elegantki. Ze zdumieniem zobaczyłem, jak „dama” wita go ze śmiechem i łzami, po czym bezceremonialnie przysiada na ziemi, by chwycić go w objęcia. Kiedy zauważyła, że stanąłem obok i przyglądam jej się z góry, uśmiechnęła się i ochoczo chwyciła mnie za rękę, żeby się podnieść. Mam wra-

żenie, iż wyczuła, że przestałem „patrzeć na nią z góry” w innym niż dosłowne znaczeniu tego zwrotu.

I tak ponownie byliśmy razem. Nie obyło się bez komplikacji, ponieważ tego samego dnia Enola znów ode mnie uciekła. Pozostaliśmy jednak w kontakcie, a kilka dni później udało mi się ją namówić, by w przebraniu damy wsiadła do dorożki wraz ze mną i naszym bratem. Mycroft, spędziwszy noc w towarzystwie swojej zdumiewającej siostry i niosąc jej pomoc w odszukaniu zaginionej księżnej w labiryncie londyńskich doków, doszedł wreszcie do tych samych wniosków co ja:

Enola nie potrzebuje opieki.

Enola nie musi pobierać nauk na pensji dla panien.

Enola nie wymaga wydania za mąż. Przeciwnie, niech niebo ma w opiece mężczyznę, który byłby na tyle lekkomyślny, by się jej oświadczyć.

Następnego dnia przypadały jej piętnaste urodziny, więc cała nasza trójka spotkała się przy ciastkach i herbacie w moim mieszkaniu. Z otrzymanego niedawno listu dowiedzieliśmy się, dlaczego nasza matka postanowiła opuścić rodzinę: jej dni były policzone, zapragnęła więc spędzić końcówkę życia w wolności od dyktatu konwenansów. Kiedy odczytywaliśmy wiadomość, już nie żyła. Enola uroniła kilka łez, jednak raz po raz jej twarz rozjaśniał uśmiech: straciła matkę, ale zyskała braci. Mycroft przestał ją nękać, a ja odkryłem, że darzę ją uczuciem. Wszystko było zatem na dobrej drodze.

Tkwiałem ślepo w tym kojącym przekonaniu, nie przewidziawszy tego, że znów zechce wściubić swój okazały nos w jedno z prowadzonych przeze mnie śledztw...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sierpień 1889 roku spędziłam, pojednawszy się wreszcie z braćmi, w nader przyjemny sposób u boku owczarka Reginalda w Ferndell, wiejskiej posiadłości Holmesów, w której przebywałam jako dziecko. Po powrocie do Londynu i mojego bezpiecznego, acz nieco spartańsko urządzonego azylu w Klubie dla Pań sprawiłam sobie rozkoszną nową suknię z cienkiego morelowego jedwabiu z lekko bufiastymi rękawami i wąską spódnicą z klinów – pierwszy strój, który nie był przebraniem, lecz ubraniem szczupłej Enoli! Na szczęście w tym czasie obowiązująca przez długie lata figura klepsydry zaczęła wychodzić z mody, więc nie musiałam już stosować wypychaczy i poduszek z obawy, by nie rozpoznali mnie moi bracia. Z radością czekałam, aż ich znowu spotkam jako prawdziwa Enola Holmes.

Jednak minęło parę dni, potem tydzień, później pół miesiąca, sierpień ustąpił miejsca wrześniowi, a ja na próżno wypatrywałam jakichkolwiek wieści od braci.

Moja radość przygasła. Znowu dała mi się we znaki samotność, która jest mi zapewne sądzona. Imię Enola, czytane wspak, brzmi *alone* – sama. Chciałam dokupić pasujący do sukni kapelusz, lecz nawet wizja załatwienia tak przyjemnej sprawy nie zdołała mnie wyrwać z marazmu. Aż wreszcie pewnego słonecznego popołudnia, kiedy zamiast biegać po sklepach, siedziałam osowiała w saloniku klubu, służąca przyniosła mi liścik na mosiężnej tacce.

– Ten dżentelmen kazał powiedzieć, że czeka na pani odpowiedź.

Tu muszę poinformować łaskawego czytelnika, że regulamin Klubu dla Pań zabraniał mężczyznom wstępu do budynku.

Do tej pory nie kontaktował się ze mną żaden dżentelmen, domyśliłam się zatem, że liścik przysłał któryś z moich braci, najpewniej Sherlock, jako że Mycroft bardzo rzadko zbaczał z orbity wytyczonej przez dom przy Pall Mall, urząd w Whitehall i Klub Diogenesa. Serce zatrzepotało mi w piersi, kiedy sięgnęłam po arkusik, by go rozłożyć i przeczytać. Najpierw zerknęłam jednak na podpis. A niech to. Autorem listu był doktor Watson.

Droga Panno Enolu,

Pani brat Sherlock z pewnością ubolewałby nad tym, że zwracam się do Pani w ten sposób, jednakże zarówno przyjaźń, jak i obowiązek lekarski każą mi powiadomić Panią o zatrważającym stanie jego zdrowia. Być może nie jest Pani znany fakt, iż brat Pani jest podatny na melancholię. Niewątpliwie czeka mnie reprimenda za wtrącanie się w jego sprawy. Niemniej muszę prosić, by udała się Pani teraz ze mną do jego domu w nadziei, że Jej obecność wpłynie na poprawę ponurego nastroju mojego przyjaciela. Czekam na Pani odpowiedź.

Unięziony sługa

dr John Watson

Moje serce ponownie zaczęło wyczyniać jakieś dziwne akrobacje. Sherlock w zatrważającym stanie? Co też Watson miał na myśli?

Muszę natychmiast z nim się spotkać.

Skoczywszy na równe nogi, poinstruowałam służącą:

– Powiadom tego pana, że za chwilę do niego dołączę.

Pobiegłam do swojego pokoiku, żeby wzuć nowe botki (jedwabne pantofelki, które miałam na nogach, świetnie się sprawdzały we wnętrzach, ale na ulicy od razu podarłyby się na strzępy). Wyszukałam też dopasowane barwą i w miarę porządne rękawiczki, uładziłam swoje niesforne włosy, nasunęłam na nie kapelusz i chwyciłam parasolkę. Elegancka dama nie może się pokazać na ulicy, nie trzymając w dłoni jakiegoś ładnego przedmiotu: parasolki, wachlarza czy choćby chusteczki do nosa. Łaskawy czytelnik zauważył już zapewne, że ostatnio bardzo przypadła mi do gustu rola modnie ubranej młodej damy z towarzystwa. Do tego stopnia, że kusiło mnie, by wskoczyć w swoją nową suknię, jednak uznałam, że lepiej dać sobie z tym spokój. Nie chcąc męczyć doktora Watsona nazbyt długim czekaniem na rozpalonym słońcem chodniku, wmówiłam sobie szybko, że sukienka z tafty i batystu z kropkowanym haftem jest jak najbardziej elegancka.

Kiedy wybiegłam przez główne drzwi Klubu dla Pań, ujrzałam, że poczciwy doktor czeka na mnie przy dorożce, do której pomógł mi wsiąść, wygłaszając kilka gładkich frazesów powital-

nych, po czym usadowił się obok mnie i poprosił woźnicę o zawiezenie nas na Baker Street.

Oczywiście musiałam wygłosić obowiązkowe pytania o zdrowie doktora i jego żony. Bardzo polubiłam doktora Watsona i miałam nadzieję, że ciepły ton mojego głosu pozwoli mu odczuć tę sympatię. Gdybym nie darzyła go względami, darowałabym sobie zbędne ceregiele, ponieważ umierałam z ciekawości, by poznać szczegóły niedyspozycji mojego brata.

– A Sherlock? Czy coś wzbudziło pański niepokój, doktorze?

Pocziwy lekarz westchnął, a w jego szczerych piwnych oczach pojawiło się zakłopotanie.

– Od dziesięciu dni niezwykle umysł Holmesa funkcjonował na najwyższych obrotach, zajęty rozwikłaniem sprawy tajnych dokumentów wykradzionych admiralicji, katastrofy statku „Princess Alice” i rzadkiego gatunku małajskiego pająka. Pracując przez okrągłą dobę, doprowadził swoją niezwykłą psychikę na skraj załamania nerwowego i teraz, rozwiązawszy zagadkę, popadł w depresję. I w chwili swojego triumfu, gdy przywódcy naszego państwa wychwalają go pod niebiosami, nie opuszcza mieszkania, nie przyjmuje pokarmu, a dziś rano jedynie moje usilne nalegania zdołały go nakłonić do podniesienia się z łóżka. – Doktor mówił te słowa z wzrokiem wbitym w podłogę, teraz jednak spojrzał mi prosto w oczy, nie próbując nawet ukryć zdenerwowania. – Prosiłem go, by się ogolił i ubrał, co jest nieodzowne do wyzdrowienia, lecz na niewiele się to zdało. Zbył moje polecenia milczeniem. Odwrócił głowę i nie zwracał na mnie uwagi.

Dwukółka zatrzymała się przed frontem kamienicy przy Baker Street 221. Kiedy wysiedliśmy, pojazd się oddalił, turkocząc po bruku, jednak ja przystanęłam z wahaniem na chodniku i oznajmiłam Watsonowi:

– Nie wejdę na górę, póki nie pojmę, czego pan ode mnie oczekuje.

– Czy nie jest pani znane pojęcie melancholii?

– Wręcz przeciwnie. – Próbowałam się uśmiechnąć, jednak skrzywiłam tylko usta w nieokreślonym grymasie. – Ja też miałam okresy mrocznych myśli. Sądzę, że to rodzinna predyspozycja. Moim zdaniem za nastrój odpowiada śledziona i nagły zryw temperamentu, jakiś oczyszczający gniew mógłby się okazać remedium. Czy zgadza się pan ze mną?

Watson wysłuchał moich przemyśleń z lekkim zakłopotaniem, jednak odparł stanowczo:

– Każda pobudzająca zmiana z pewnością przyniesie poprawę.

– A więc, mój drogi panie doktorze, sądzą, że powinien pan wrócić do swoich spraw. Jestem pewna, że lepiej mi pójdzie, jeśli sama zmierzę się z kłopotami Sherlocka.

Pani Hudson, urocza i wielkoduszna gospodyni Sherlocka, powitała mnie mrugnięciem oka i uśmiechem, przekręcając klucz w drzwiach do mieszkania mojego brata.

Wszedłszy do środka, poczułam się, jakbym wkroczyła do krainy melancholii spowitej grobowym całunem mroku. Okna przysłonięte draperiami i pogaszone lampy zamieniły bawialnię Sherlocka w ponurą i żalobną Lete, w której cieniach z trudem wypatrzyłam leżącego na kanapie brata – a raczej dostrzegłam długi, pozbawiony rysów twarzy kształt zastygły w bezruchu.

– Ojej, ależ to kochamy zmierzch – zbeształam go, maszerując przez pokój, by odsłonić okno.

Kiedy pokój zalało światło dnia, odwróciłam się i ponownie spojrzałam na brata. Ubrany w szlafrok myszowatej barwy leżał ze skrzyżowanymi w kostkach nogami – jego obnażone kościste stopy wydały mi się dziwnie bezbronne, chociaż miał na nich bambosze. Obok niego piętrzyły się na podłodze gazety dostarczone mu, jak się domyślałam, dla rozrywki przez wiernego Watsona. Zauważyłam jednak, że wszystkie pozostały nietknięte. Sherlock oparł się plecami o tapicerowany podłokietnik kanapy, złożywszy smukłe dłonie na kolanach. Odwrócił się ku mnie, jednak sprawiał wrażenie, jakby mnie nie dostrzegał, patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem. Serce ścisnęło mi się z żalu na wspomnienie jego przenikliwego zazwyczaj spojrzenia. Zauważyłam również chorobliwie bladą skórę oraz nieogolone i zapadnięte policzki.

– Mój kochany braciszku, co się z tobą dzieje, że tak siedzisz w ciemnicy? – spytałam rzeczowym tonem, który w zamyśle miał brzmieć irytująco. – Dopadła cię chandra i trzeba cię podleczyć, co? No to do roboty. – Odłożyłam rękawiczki i parasolkę, po czym bezceremonialnie zgarnęłam z jego biurka ołówki i bloczek papieru wyglądającego na dość kosztowny. Przyniosłam sobie krzesło od stołu, postawiłam je przed kanapą i usiadłam na wprost brata, wpatrując się w jego porósnętą krótką szczeciną twarz i poważnie kiwając głową. – Gdybyś był w zakładzie dla obłąkanych, podaliby ci tam wodzian chloralu i ciemiernik biały, żeby wypędzić z ciebie splin – oświadczyłam –

ale myślę, że my możemy zacząć od oczyszczania. – Zaczęłam pisać na trzymanym na kolanach bloczku, mrucząc pod nosem: – Laudanum, belladonna, antymon, wszystkie wysoce skuteczne, jeśli nie spowodują przedwczesnego zgonu... Jestem pewna, że doktor Watson mógłby coś polecić. Moglibyśmy też spróbować podać ci coś wywołującego siódme poty, żeby usunąć nadmiar czarnej żółci, Sherlocku! – Zerknęłam na niego może nie tyle, żeby sprawdzić jego reakcję, ale by ujrzał moje rozognione frenetycznie oczy, ponieważ poczułam przyływ aktorskiej weny, i jestem pewna, że wypadłam całkiem przekonująco w roli rozgorączkowanej niewiasty, która za wszelką cenę pragnie ulżyć cierpiącemu. Ponownie skupiłam uwagę na spisywanej przez siebie złowieszczej liście, dodając nowe elementy. Poty. Łaźnia turecka. Nie, zanurzenie w lodowatej wodzie! – Tonik, kąpiel w parze, lodowata woda – mamrotałam – albo... – Wyprostowałam się i zeszytniałam, jakby przeszła mnie błyskawica geniuszu. – Albo któraś z tych nowomodnych wanien galwanicznych! Słyszałeś o nich, Sherlocku? Umieszcza się delikwenta w wodzie i puszcza prąd elektryczny...

O radości! Przerwał mi!

– Daj mi święty spokój albo osobiście cię zgalwanizuję.

Uśmiechnęłam się promiennie na widok jego świdrujących, gniewnych oczu.

– Pasy galwaniczne są obecnie w sklepach z nowinkami. Mogłabym ci taki sprawić, a ty byś go nosił, dopóki nie doszłoby do poprawy samopoczucia.

– Zabieraj się stąd i odczep się ode mnie, Enolu!

– Mam pozwolić, żebyś tu siedział jak kret w norze zżerający dżdżownice? O nie, mój drogi bracie. Moim powołaniem i obowiązkiem jest otoczyć cię opieką.

– Twoim powołaniem jest potępienie! – Usiadł prosto, chwytając za siedzisko kanapy i o cudzie, podniósł na mnie głos. – Wścibska babo! – wrzasnął. – Co mam zrobić, żebyś wreszcie...

– Otóż to! – zawołałam z uśmiechem. – Galwanizacja jest właśnie tym, czego ci potrzeba, byś mógł wrócić do zdrowia. A do pasa galwanicznego mogę ci dokupić parę plastrów musztardowych. Słyszałam, że u melancholików działają skutecznie na rozdrażnienie...

– Twoja obecność jest wystarczająco drażniąca! Mogłabyś łaskawie wyjść?

– Dopiero wtedy, kiedy się ubierzesz i coś zjesz, mój drogi bracie – spuściłam trochę z tonu. Odwrócił ode mnie twarz.

– Nie.

– Sherlocku...

– Nie. – Opadł ponownie na kanapę i ciągnął monotonnym tonem: – Nie. Idź i zanurz łeb w Tamizie, łącznie z kapeluszem i resztą ozdóbek. Tylko daj mi wreszcie spokój.

– Sherlocku – zaprotestowałam bardziej przymilnie niż gniewnie.

Nie odpowiedział. Pochyliłam się, żeby mu się przyjrzeć. Zamknął oczy, by jeszcze skuteczniej ignorować moją obecność. Wyprostowałam się na krześle z westchnieniem. Chociaż nie miałam zamiaru się poddać, nie wiedziałam, co dalej robić. Opróżniłam cały kołczan i nie została mi już ani jedna strzała z wyjątkiem mojej uporczywej obecności. Nie ruszyłam się więc z miejsca.

Czas mijał, a ja wsłuchiwałam się w ciszę, usiłując wykoncypować, co mogłabym jeszcze zrobić lub powiedzieć. Sherlock leżał wyciągnięty sztywno na kanapie i ani myślał zasnąć. Wydawało mi się jednak, że przestał oddychać. Stojący na kominku zegar robił więcej hałasu niż on, podobnie jak dobiegający zza okna hurkot kół toczących się po kocich łbach. Po pewnym czasie usłyszałam dzwonek u drzwi na parterze i dostojne kroki spieszącej je otworzyć pani Hudson, lecz nie zwróciłam na to uwagi aż do chwili, gdy na schodach zadudniły szybkie kroki. Pani Hudson biegła na górę! Zapukała do drzwi Sherlocka w charakterystyczny dla siebie, obcesowy sposób, weszła i zwracając się do znieruchomiałej na kanapie postaci, oświadczyła:

– Jakaś młoda dama chce się z panem widzieć, panie Holmes. Jest błada i rozdygotana. To oczywiste, że ma jakieś straszliwe kłopoty i nie chce słyszeć o odmowie. Wiem, co mi pan zapowiedział, ale... – Głos uwiązał jej w gardle, kiedy Sherlock nagle otworzył oczy i przeszył ją ostrym, wymowniejszym od słów spojrzeniem. – Ale przecież nie wygnam jej z powrotem na ulicę – zaopnowała gospodyni z przejęciem, które bez wątpienia było szczere.

Wstałam z krzesła i ruszyłam w jej stronę.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi. – Zabrałam z tacki wizytówkę. – Niech pani przyśle tę młodą osóbkę na górę i powie jej, że pan Holmes oraz jego siostra i współpracowniczka z radością udzielą jej porady.

ROZDZIAŁ DRUGI

Panna Letitia Glover – widniało na bilecie wizytowym. Osobliwe było to, że karta nie została zamówiona w drukarni, lecz sporządzona własnoręcznie na maszynie do pisania. Wzdłuż brzegów prostokątnego kartonika biegł szlaczek nasuwający skojarzenia z haftem krzyżkowym, XxXxXxX, który również pracowicie wystukano na klawiaturze urządzenia.

Kiedy podziwiałam tę nieszablonową wizytówkę, na schodach rozległy się lekkie kroki, a po chwili drzwi rozwarły się z impetem i pojawiła się w nich nowa klientka Sherlocka, a raczej moja. Brat powrócił bowiem do odgrywania nieożywionego przedmiotu, leżąc bez ruchu z zamkniętymi oczami, i nie raczył zaszczyścić panny Glover spojrzeniem. Ja natomiast, przyglądając się jej z rosnącym zainteresowaniem, wyciągnęłam ku niej rękę. Chyba nigdy dotąd nie widziałam takiego natężenia rozpaczy i determinacji na tak ładnej młodej buzi – o nieba, dziewczyna nie mogła być więcej niż kilka lat starsza ode mnie. Mimo opuchniętych i zaczerwienionych od płaczu oczu zadarła wysoko brodę i zacisnęła usta, miażdżąc mi w uścisku dłoń.

– Flossie nie mogła tak po prostu zniknąć z tego świata – oświadczyła urywanym i rozwibrowanym od emocji głosem. – Najpierw cały dzień przeplakałam, ale kiedy wczoraj w nocy leżałam w łóżku i przemyślałam wszystko od początku, nie chcę wierzyć, że to prawda. Jesteśmy bliźniaczkami. Pewnie słyszała pani o empatycznej więzi łączącej urodzone w jednym dniu rodzeństwo. Od razu odczułabym stratę, gdyby siostra odeszła.

– Niechże pani usiądzie, panno Glover, i powie mi, jakiej potrzebuje ode mnie pomocy. – Wskazałam jej wygodny fotel przy oknie. Przechodząc przez pokój, spojrzała z ciekawością na zastygłą w bezruchu postać na kanapie, a ja się uśmiechnęłam. – Zapewniam, panno Glover, że nie musi pani przejmować się moim pogrążonym w katatonii bratem. W obecnym stanie jest całkowicie niegroźny i ogłuchł jak pień, który zresztą przypomina.

– Ogłuchł? – Usadowiła się w fotelu, odkładając na podłogę ściaganą tasiemką miękką torebkę.

– Na własne życzenie. – Zajęłam miejsce w fotelu obok. Obie siedziałyśmy odwrócone do Sherlocka plecami, a ja skorzystałam z okazji, by dyskretnie obejrzeć petentkę od stóp do głów. Nie miała na sobie tanich ozdóbek ani imitujących kosztowne ubrań typowych dla pracujących dziewcząt. Jej strój składał się z wąskiej spódnicy oraz koszuli o męskim kroju, kamizelki i fularu, przy czym ten ostatni uszyto z tkaniny w kolorowy wzorek, koszulę z miękkiego, kremowego jedwabiu, kamizelka zaś miała modrą barwę. Nad gładkim koczkim wznosił się równie skromny melonik z granatowego pluszu. Można by ją śmiało uznać za ekscentryczną sufrażystkę z wyższych sfer, gdyby nie to, że sposób mówienia i gesty zdradzały przynależność do klasy średniej.

– Poznaję po stroju, że nie jest pani zwyczajną młodą kobietą. Pracuje pani na własne utrzymanie, co daje poczucie godności i niezależności.

– Chłubię się tym, iż zarobkuję pisaniem na maszynie – odpowiedziała, a ja pomyślałam: „Oczywiście! Jej wizytówka!”. Pokiwałam głową, na co dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć i mówiła dalej:

– Noszę nazwisko świadczące o tym, że moi przodkowie byli skromnymi rękawicznikami, a rodzina od zawsze trudni się rzemiosłem, ale ja i siostra... – Ostatnie słowo uwięzło jej w gardle.

– Pani siostra? – podpowiedziałam łagodnie.

– Bliźniaczka Flossie. – Panna Glover omal nie zaczęła szlochać, więc przerwała na chwilę i w widoczny sposób próbowała zapanować nad emocjami. Kiedy podjęła wątek, jej głos prawie nie drżał. – Siostra i ja gardzimy różnicami klasowymi, a od chwili, w której przyszyliśmy na świat, rodzice dbali o to, by nam zapewnić dostęp do edukacji i kultury. Flossie... ma na imię Felicity, ale wszyscy mówią na nią Flossie... Zapalała miłością do sztuki, nauczyła się tańczyć jak motyl i śpiewać jak słowik. Tymczasem ja byłam bardziej za pan brat z matematyką. Suwak logarytmiczny jest moim najlepszym przyjacielem. – Panna Glover wreszcie zdołała się uśmiechnąć, choć z lekkim przekąsem. – Nadal jestem panną, utrzymuję się z pisania na maszynie i prowadzenia buchalterii. Natomiast powołaniem Felicity było szczęście małżeńskie. Tak się nam przynajmniej wydawało. Kiedy nasi rodzice opuszczali ziemski padół, odchodzili uszczęśliwieni, wiedząc, że ich córka jest żoną ni mniej, ni więcej tylko hrabiego Dunhena. I ja cieszyłam się, że los się do niej uśmiechnął, chociaż rzadko się widywałyśmy i bardzo mi jej brakowało w ciągu tych dwóch lat, które minęły od

jej ślubu. Po śmierci rodziców samotność jeszcze bardziej dała mi się we znaki, jednak pocieszałam się myślą, że życie Flossie jest usłane różami. Takie żywiłam bowiem przekonanie aż do wczoraj.

– A co się wczoraj wydarzyło? – spytałam, widząc, że panna Glover znów przerwała i z trudem zbiera siły, by kontynuować opowieść.

Nie chcąc mówić, a raczej nie mogąc mówić, panna Glover pochyliła się, sięgnęła do swojego woreczka i wyciągnęła z niego list, który mi podała. Na kartce widniał adres panny Letitii Glover zamieszkałej przy Keswick Terrace 19, w skromnej, acz szacownej dzielnicy Londynu. Na złożeniu widniała pieczęć ze srebrnego laku z wyciśniętym herbem. Rozkładając arkusik grubego kremowego papieru, domyśliłam się, zanim jeszcze zobaczyłam tłoczony nagłówek, że nadawca to ktoś wysoki rangą.

CADOGAN BURR RUDCLIFF II, HRABIA DUNHENCH

DUNHENCH PARK HALL

THREEFINCHES

SURREY

Poniżej widniał napisany granatowym atramentem tekst, skreślony zamaszystym, męskim charakterem pisma:

31 sierpnia 1889 roku

Moja droga Tish,

jest mi ogromnie przykro, że muszę być zwiastunem złych wieści. Są nowiny, których nie sposób przekazać, łagodząc przy tym cios, oświadczam Ci zatem wprost: Flossie odeszła ze świata żywych wskutek nagłej zakaźnej choroby. Z obawy przed rozprzestrzenieniem się zarazy zwłoki zmarłej spopieleno, zamiast pochować je w ziemi. Ponieważ jesteś jej najbliższą krewną, dołączam do listu przesyłkę zawierającą jej prochy. Jestem pewien, że wiadomość ta pogrąży Cię w rozpacz równiej mojej, oby jednak wspomnienia związane z siostrą osłodziły Ci żalobę.

Szczerze oddany

Caddie

Przebiegłam wzrokiem treść listu, a następnie powoli i w skupieniu odczytałam go na głos, łącznie z nagłówkiem, ponieważ chciałam się upewnić, że nic mi nie umknęło, a list był naprawdę tak dziwnie bezceremonialny, jak mi się wydało.

Złożyłam arkusik i oddałam go pannie Letitii Glover. Patrzyłyśmy sobie w oczy w milczeniu. Dziewczyna pobladła.

– Nie mogę i nie chcę w to wierzyć.

– Rzeczywiście, wiadomość jest wyjątkowo ogólnikowa – zgodziłam się z nią. – Jakie były okoliczności i dokładny czas domniemanego zgonu pani siostry? Czy wezwano do niej lekarza, a jeśli tak, to czy zdiagnozował chorobę, która ją uśmierciła? Jak brzmiały jej ostatnie słowa? Czy prosiła, żeby pani coś przekazać? Kto przy niej czuwał? No i te słowa: „Jest mi ogromnie przykro”. Czy tak pisze zrozpaczony mąż? Wszystko razem trąci fałszem.

Letitia pokiwała ochoczo głową.

– I dlaczego nie dostałam telegramu? Skoro tak poważnie zachorowała, powinni po mnie posłać.

– Właśnie.

– I że nie urządzono pogrzebu? Że ją spopieleno? – Wyczuwalne w jej głosie zgorszenie odbijało się echem w mojej głowie. Garstka radykalnych reformatorów opowiadała się za kremacją jako bardziej higieniczną alternatywą dla pochówku w ziemi, jednak opinia publiczna była stanowczo przeciwna tego typu praktykom, toteż na palenie ciał bliskich decydowała się zaledwie garstka ludzi.

– Spopielenie zwłok żony hrabiego to doprawdy dziwna sprawa – przytaknęłam.

Tracąc powoli panowanie nad emocjami, panna Glover wykrzyknęła głosem przechodzącym w zawołanie:

– Ale czemu Caddie miałaby wypisywać takie rzeczy, skoro to nieprawda?

Przywarłam plecami do oparcia fotela, oparłam łokcie na jego bokach i złożyłam dłonie.

– Proszę mi opowiedzieć nieco więcej o siostrze i rzeczonym Caddiem.

Jak to możliwe, że lord Cadogan Burr Rudcliff Drugi, hrabia Dunhynch z Surrey poślubił córkę londyńskich rzemieślników?

– Flossie... jej niewiarygodne zdolności i uroda... – Zrozpaczona panna Letitia Glover mówiła powoli, przerywając co chwilę. Podczas jednej z kolejnych prób, które cierpliwie podejmowałam w nadziei wydobywania z niej konkretniejszych informacji, pojawiła się pani Hudson, niosąc na tacy kanapki i herbatę. Domyśliłam się, że przygnała ją ciekawość, czy Sherlock zmienił swoje nastawienie do świata. To również przyczyniło się do dalszych przerw w opowieści. Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi zbędnych szczegółów i przedstawię jej zarys.

Wkrótce po swoich szesnastych urodzinach Felicity Glover dostała propozycję zatrudnienia w domu pewnego bankiera jako guwernantka trójki jego dzieci. Bankier gościł u siebie przedstawicieli wyższych sfer, którzy wkrótce poznali się na urodzie i talentach młodziutkiej nauczycielki. Często proszono ją o umilenie wieczoru zebranemu towarzystwu grą na fortepianie i śpiewem. Tu muszę nadmienić, że gdyby moja klientka zjawiała się u Sherlocka z uśmiechem, a nie śladami łez na twarzy, ubrana w elegancką suknię, można by ją śmiało nazwać prawdziwą pięknoscią. Wprawdzie obie siostry różniły się, jeśli chodzi o gusty i uzdolnienia, jednak z pewnością wyglądały identycznie. W krótkim czasie prześliczna Felicity „Flossie” Glover przeniosła się do domu markiza Linderlea, gdzie miała nauczać obycia towarzyskiego i etykiety jego dzieci: synów, którzy zamienili niedawno krótkie spodnie na długie spodnie, i córki, które nosiły już spódnice do kostek i upinały włosy.

Ponieważ wszyscy byli niemal dorośli, często zasiadali do stołu z rodziną i gośćmi. I chociaż wieczorowe stroje guwernantki nie dorównywały przepychem sukniom dam, jej uroda i żywe usposobienie, jakże pasujące do imienia (Felicity była uosobieniem radości), budziły zachwyt niejednego młodego arystokraty. Cieszyła się sympatią wszystkich, więc kiedy hrabia Dunhynch uderzył do niej w konkury, mając za nic różnicę klas, głosy uznające to za skandal obyczajowy szybko ucichły. Trzydziestoletni Cadogan Burr Rudcliff Drugi, hrabia Dunhynch, wdowiec, który pochował dwójkę dzieci z pierwszego małżeństwa, był jednym z najbardziej wziętych kawalerów w całej Anglii: przystojny, czarujący, utytułowany i bogaty. Nic dziwnego, że w rodzinach debutantek nastąpił płacz i zgrzytanie zębów, gdy oświadczył się osiemnastoletniej Felicity Glover i został przyjęty. Organizacja wesela nadweryżyła zasoby finansowe rodziców panny młodej, co mogło się przyczynić do ich przedwczesnej śmierci, ponieważ oboje zgasli kilka miesięcy po ślubie córki. Jednak wszystko wskazywało na to, że małżeństwo było udane.

– Flossie często ponaglała mnie w listach, bym ją odwiedziła – zakończyła swój wywód panna Glover – ale brakowało mi odwagi, żeby się pokazać w Dunhynch Hall. I chociaż na ślubie siostry wystąpiłam wystrojona i wyfiokowana jak nigdy dotąd, czułam się jak kawka wśród pawów.

– Ale listy od siostry przychodziły często i były optymistyczne?

– Tak! I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, takie coś. – Żal i jak mi się wydaje, oburzenie znów odebrały jej na chwilę mowę.

– No i ten szczególny sposób przekazania tak bolesnej wiadomości. Panno Glover, czy styl listu pasuje do charakteru pani szwagra? Jakim jest człowiekiem?

– Zaczynam podejrzewać, że jednak nie wiem.

– A co sądziła pani o nim dawniej?

– Że musi być bardzo miłym mężczyzną, ponieważ nie dostrzegałam w nim żadnych wad. Był uśmiechnięty, szarmancki i przystojny, teraz jednak myślę, że dałam się zwieść pozorom. Równie dobrze mogłabym się wypowiadać o treści tekstu pisanego szyfrem. Ukrywa swoje prawdziwe ja. Jest jak niewiadoma w równaniu algebraicznym.

Zgodziłam się z nią, choć postanowiłam przemilczeć to, co wyczytałam z charakteru pisma Cadogana Rudcliffa: że ma o sobie bardzo wysokie mniemanie (obfityść zawijasów), że jest zdeterminowany (zamaszysta kreska, silny nacisk stałówki) i że przedkłada działanie nad rozumowanie (pochylone w prawo litery). Zamiast tego zmieniłam temat:

– Wspomniała pani o paczce z prochami siostry.

Letitia kiwnęła głową i ponownie sięgnęła do torby, z której wyciągnęła tekturowe pudełko, a z niego niedużą, lecz gustowną urnę wyrzeźbioną z jasnego kamienia, alabastru lub kremowego nefrytu. Podała mi ją. Wyjęłam zatyczkę i zajrzałam przez wąską szyjkę do środka, ale niewiele tam dostrzegłam.

– Czy oglądała pani zawartość?

Panna Glover, najwyraźniej przerażona, pokręciła głową.

– Myślę, że należałoby to zrobić. – Podniosłam się i przeszłam do biurka Sherlocka, by oszczędzić jej skołatany nerwom widoku prochów siostry. Położyłam na blacie duży arkusz białego papieru, a następnie ostrożnie wysypałam na niego odrobinę znajdującej się w urnie materii.

Zobaczyłam popiół. Czego się spodziewałam? Kompletu zębów? Nie miałam żadnej wiedzy o kremacji i nie potrafiłam określić, czy spalone szczątki należą do człowieka.

– Są tu białe drobiny, które mogą być odłamkami kości – oświadczyłam powątpiewająco.

– Na miłość boską! – rozległ się nagle zirytowany do granic głos wzburzonego mężczyzny, co bardzo miłe mnie zaskoczyło. Zirytowany do granic mężczyzna, czyli Sherlock, podniósł się z kanapy i przemaszerował przez pokój, człapiąc bamboszami, by po chwili stanąć przy biurku i zmierzyć mnie wściekłym wzrokiem. Ujął w palce szczyptę prochów, podreptał w stronę mikroskopu, poruszył pokrętłem lampy gazowej, by rozbłysła pełnym blaskiem, umieścił próbkę na szklanej płytce, dodał kroplę wody, przykrył drugą płytką, po czym przysiadł na wysokim stołku. Poły szlafroka zawisły nad podłogą, upodabniając mojego brata do bociana. Umieściwszy preparat na obracanym stoliku mikroskopu, ustawił go odpowiednio, po czym zerknął w okular. Poprawił ostrość śrubą, znów zerknął na próbkę, po czym podniósł rozczochraną, nieuczesaną i niegoloną głowę. Swoje słowa skierował nie do mnie, tylko do panny Glover.

– Jeśli pani siostra nie była porośnięta brązową sierścią – powiedział – to nie są jej prochy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Panna Letitia Glover zaniemówiła i siedziała przez chwilę zastygła w bezruchu, przetykając łyżę. Trudno mi było orzec, czy był to objaw ulgi, czy konsternacji.

Sherlock przeszedł obok niej, otworzył drzwi i ryknął:

– Pani Hudson, proszę przynieść wrzątek! – A następnie bez słowa zaszył się w swojej sypialni.

Zajęłam się pocieszaniem panny Glover, przysunąwszy się do niej z fotelem. Podałam jej gustowną chusteczkę przesiąkniętą wonią lawendy i spróbowałam powiedzieć coś miłego, co wypadło jednak topornie i niezręcznie.

– Pewnie ma pani teraz taki zamęt w głowie, jakby za chwilę miało ją rozsadzić.

Panna Glover potaknęła gorączkowo, przyciskając do twarzy chusteczkę.

– Sporządźmy listę, dobrze? Zobaczymy, czy pani problem ma jakieś widoki na rozwiązanie.

Odśloniłam kolejną czystą kartkę bloczku i puściłam ołówek w ruch, odczytując głośno każdy zapisany punkt.

- Prochy należą zapewne do dużego psa. Czy w takim razie można założyć, że Flossie żyje?
- Jeśli tak, to dlaczego Cadogan Rudcliff usiłował wprowadzić swoją szwagierkę w błąd?
- Ile innych osób w ten sposób okłamał? I ponownie pojawia się pytanie „dlaczego”.
- Jeśli przedsięwziął jakieś działania, które przyczyniły się do zniknięcia małżonki, to jaki był ich cel?
- Jaki kres spotkał jego pierwszą żonę?
- Gdzie jest Flossie i co się z nią dzieje, jeśli pozostaje przy życiu?
- Jak możemy się tego dowiedzieć?

Przez dłuższy czas przyglądałam się ostatniemu zdaniu.

Panna Glover zaskoczyła mnie, odzywając się spokojnie:

– Powinam napisać do Caddiego. Jakże pasuje do niego to zdrobienie teraz, kiedy nabieram przekonania, że prawdziwy z niego *cad*, czyli ordynus.

– Ale nie zdradzi się pani w liście ze swoimi podejrzeniami?

– Skądże. Zwrócę się do niego „najdroższy Caddie”, podpiszę się „Tish” i zadam mu kilka pytań dotyczących domniemanego zgonu mojej siostry z prośbą o szczegóły.

– Doskonale. – Na dźwięk głosu mojego brata obie obróciłyśmy głowy. Pojawił się w drzwiach sypialni dokładnie umyty, ogolony i uczesany. Miał na sobie tweedowy strój podróżny. Stanąwszy przy nas, pochylał się lekko, by zaznajomić się ze spoczywającą na moich kolanach listą, po czym z chłodnym uznaniem pokiwał głową. – W istocie, najistotniejszą kwestią jest ustalenie, jak się o tym dowiedzieć – stwierdził z nie większą niż zazwyczaj protekcjonalnością w głosie – ponieważ muszę to zrobić, nie budząc podejrzeń.

– Musimy – poprawiłam go. Jeśli myślał, że przejmie sprawę tylko dlatego, że udało mi się wyrwać go z letargu, srodze się mylił. – Zakładam, że udasz się do Surrey? Ja zamierzam zacząć od Belvidere.

Z pewnością zabiłam mu ćwieka, ponieważ odwrócił się w moją stronę, unosząc brwi, jednak zanim zdążyłam cokolwiek wyjaśnić, panna Glover wtrąciła z miną osoby nieśmiałej, która musi podjąć trudny temat:

– Panie Holmes, pańskie wynagrodzenie...

Odwrócił się ku niej z pełnym gracji ukłonem.

– Nie przyjmę od pani ani pensa ze względu na to, iż powitałem panią... a raczej nie powitałem... w sposób urągający dobremu wychowaniu. Pani dylemat bardzo mnie zaciekawił, panno Glo-

ver, i poświęcę mu całą swoją uwagę. Czy posiada pani fotografię siostry?

Wyglądało na to, że owszem, posiada, ponieważ pochyliła się i sięgnęła do torebki. Wykorzystałam tę krótką przerwę, by wstać, wziąć rękawiczki i skierować się ku wyjściu.

– Sherlocku! – zawołałam przez ramię. – Możesz się ze mną skontaktować przez Klub dla Pań, a ja będę ci przekazywać wiadomości na ręce pani Hudson. *Au revoir!* – Opuściwszy mieszkanie, zanim zdołał zaprotestować, zbiegłam w doskonałym humorze ze schodów.

Kilka godzin później, prezentując się jak na prawdziwą damę przystało, w turkusowym komplecikcu podróżnym i starannie dobranym gustownym kapeluszu opuściłam budynek stacji kolejowej Belvidere i dziarskim krokiem ruszyłam w stronę Basilwether Park, oddychając głęboko, delektując się jakże odmiennym od londyńskiego, bo niewidocznym dla oka powietrzem. Po kilku chwilach dotarłam do długiego podjazdu prowadzącego do Basilwether Hall. Podążałam pod liściastym sklepieniem szpaleru starych lip, radując się z całego serca chłodem ich pachnącego zielonością cienia i bukolicznym, wolnym od sadzy otoczeniem...

Upajając się urokami wsi, usłyszałam cichy tętent kopyt na miękkiej trawie, który dotarł do mojej świadomości dopiero wtedy, gdy ujrzałam wyjeżdżającego nagle spomiędzy wiekowych pni eleganckiego jeźdźca na gniadym koniu. Moja obecność spłoszyła wierzchowca, zaskoczonego niespodziewanym widokiem tuż przed swoim długim pyskiem. Jeździec, co mu się chwali, utrzymał się w siodle i ściągnął wodze, zmuszając zwierzę do wykonania gwałtownego półobrotu i zatrzymania się. W nieskazitelnych bryczesach i butach, marynarce z wycięciem i jedwabnym cylindrze wyglądał jak dorosły mężczyzna, ale były to pozory. Od naszego spotkania sprzed roku wystrzelił w górę, nie zdążył jednak zmęźnieć. Patrzyłam na patykowatego chłopca o niesfornych jasnych włosach wymykających się spod kapelusza.

Dość ostrym tonem, co jest najzupełniej zrozumiałe, rzekł:

– Łaskawa pani, co pani robi w naszej posiadłości?

– I ja się cieszę, że cię widzę, Tewky. – Zamiast zrobić wdzięczną minkę, obdarzyłam go szelmowskim uśmiechem.

Otworzył szeroko usta, a po chwili zeskoczył z konia, podszedł do mnie spiesźnie, uściśnął mi serdecznie dłoń i dopiero wtedy zdołał zawołać:

– To ty!

– Enola Holmes, do usług, panie wicehrabio Tewkesbury, markizie Basilwether.

– Wreszcie się dowiaduję, jak się nazywałeś!

– W rzeczy samej, Tewky.

Rok wcześniej ukrywałam swoją tożsamość w obawie przed spotkaniem z braćmi. W dniu, w którym uciekłam z domu, Tewky zrobił to samo i dziwnym zrządzeniem losu poznaliśmy się, kiedy zostaliśmy związani i uprowadzeni dla okupu przez nożowników.

– Nie mów do mnie „Tewky”! – ofuknął mnie z głośnym śmiechem. – Bujać to ty, prawda? – Podczas tamtego wydarzenia chciałam wykorzystać bryklę gorsetu do rozcięcia sznura pętającego mi przeguby, więc dosłownie rozbijałam łódź, w której nas przetrzymywano. – Widzę, że wciąż udajesz osobę dorosłą.

– Podobnie jak ty. Dlaczego nie przebywałeś w jakiejś ekskluzywnej szkole z internatem?

– Zapowiedziałem rodzicom, że ucieknę z każdego takiego przybytku, więc zatrudnili mi prywatnych nauczycieli. – Uśmiechnął się figlarnie. – I teraz pozwalają mi na wszystko pod warunkiem, że nie dam ponownie drapak. A ty co? Wciąż się włóczysz, nosząc małą fortunę zamiast biustu?

Autentycznie oblałam się rumieńcem.

– Lordzie Tewkesbury! – fuknęłam z oburzeniem.

– Nie gniewaj się, ale z radości zapominam o etykiecie. Nie przypuszczałem, że cię jeszcze zobaczę. – Oplótszy jedną dłoń wodzami, by poprowadzić konia, zaoferował mi drugą jak prawdziwy džentelmen. – Czemu zawdzięczamy twoją wizytę, Enolu?

Ujęłam go pod ramię w dystyngowany sposób, jednak odpowiedziałam mu z otwartością, na jaką nie zdobyłaby się żadna dama:

– Przyjechałam tu w poszukiwaniu plotek mogących naprowadzić mnie na pewien trop. – Wyobraziłam sobie brata zajętego tym samym w jakimś pubie w Surrey, udającego najprawdopodobniej brodatego wyrobnika w nasuniętym na oczy kaszkiecie, podpytującego miejscowych by-

walców o szkielety ukryte w szafie hrabiego Dunhencha. Idąc przez Basilwether Park pod rękę z Tewkym, zamierzałam zrobić to samo w nieco odmienny sposób. Znajomość z wicehrabią Tewkesbury, markizem Basilwether, i zażyłość, która nas połączyła w trakcie kilkudniowych zmagani, by wymknąć się z niewoli nożowników, otwierała przede mną możliwość przysłuchiwania się rozmowom przedstawicieli arystokracji, a nie tylko plotkom ogrodników i służących. Ciekawe, która z metod okaże się skuteczniejsza.

– Plotek?! – zawołał Tewky, krocząc u mojego boku. – O kim?

– Niestety, tu się kryje pewna trudność. Nie mogę ci niczego zdradzić ani pozwolić na domysły. Ba, muszę cię prosić, żebyś utrzymał mój niecny cel w tajemnicy.

– Byczo jak cholera! – Roześmiał się ponownie, zdradzając swoje chłopięce jeszcze usposobienie, mimo że górował nade mną wzrostem. – Enolu, niezły z ciebie okaz. – Doszliśmy do miejsca, w którym droga przechodziła w okrągły podjazd i naszym oczom ukazał się Basilwether Hall w pełnej krasie. Tewky zapytał: – Jak długo będziesz mogła tutaj zostać?

– To zależy.

– Od plotek? A nie wolałabyś pojeździć ze mną konno?

Oczywiście jazda konna uśmiechała mi się o wiele bardziej, jednak honor by mi na to nie pozwolił. Byłam wszakże przede wszystkim zawodową perdytorką. Podobnie jak brat, który stał się pierwszym na świecie prywatnym detektywem, nadałam sobie tytuł pierwszej na świecie zawodowej perdytorki, czyli osoby trudniącej się odnajdywaniem tego, co zaginęło. Ponieważ zwróciła się do mnie klientka w nadziei, że odszukam jej siostrę – i to na dodatek żywą – pożegnałam się z kuszącymi plenerami, wspięłam się po szerokich marmurowych schodach rezydencji, przeszłam przez grecką kolumnadę i odciągnęłam ciężką kołatkę (ozdobioną baranią głową) wiszącą na masywnych drzwiach frontowych. Otworzył mi lokaj z typowym dla tej profesji beznamiętnym wyrazem twarzy. Zauważyłam jednak malujące się w jego oczach lekkie niedowierzanie związane z tym, że ani nie zajechałam pod dom powozem, ani nie towarzyszy mi nikt ze służby. Zaprowadził mnie do frontowego salonu, położył na srebrnej tacy moją wizytówkę i zniknął z nią w głębi gmaszyska, spodziewając się zapewne, iż pani oznajmi mu, że nie ma jej w domu. Na wizytówce widniał jednak enigmatyczny dopisek: „Już się kiedyś spotkałyśmy”. Byłam przekonana, że kobieca ciekawość weźmie górę. I rzeczywiście, lokaj wrócił, by mnie zaprowadzić na pokoje, zdradzając oznaki skrzętnie ukrywanego zdumienia.

Księżna przyjęła mnie w zalanym słońcem przeszklonym buduarze. W wykuszowych oknach pyszniły się kwiaty doniczkowe, a wystrój pomieszczenia olśniewał bizantyjskim wręcz przepychem. Na mój widok siedząca na sofie w pełnej godności pozie pani domu wciągnęła głośno powietrze, poderwała się z miejsca i podbiegła mnie powitać z otwartymi ramionami.

– Wasza książęca mość! – zaprotestowałam, przechodząc do składania ukłonu, który okazał się dość karkołomnym manewrem ze względu na moją wąską, jak nakazywała najnowsza moda, spódnicę. Księżna miała na sobie falbaniastą drapowaną suknię, świadczącą o lekceważeniu nowych trendów, co było zresztą dewizą matki Tewkesbury’ego. Wszystkie barwy i faktury tkanin – bladobłękitnej mory, szaroniebieskiego diagonalu i lawendowego woalu – dobrano tak, by harmonizowały z jej gładko zaczesanymi srebrnobiałymi włosami i piękną, zaskakująco młodzieńczą twarzą. Nie rozpoznałabym w niej kobiety, którą widziałam przed rokiem, miotającej się z obłędem w oczach i rozwianym włosem, zalanej łzami przerażenia o los „uprowadzonego” syna.

– Nie przypuszczałam, że będzie mnie księżna pamiętać – wydukałam.

– Jak przez mgłę – odrzekła radośnie, zamykając mnie w uścisku swoich pięknych ramion – ale wiem, kim pani jest, i pamiętam, co pani dla Tewky’ego i dla mnie zrobiła, więc nie ukrywam, że jestem zachwycona tą wizytą. – Uwolniła mnie z zaskakująco mocnych objęć. – Proszę usiąść i wszystkim mi o sobie opowiedzieć.

Uczyliłam zadość jej prośbie przy herbacie i tartaletkach z marmoladą, a pogawędka wypełniła nam kilka kolejnych godzin. Jednak – wybac mi, łaskawy czytelniku – sporo było w mojej opowieści zmyśleń i niedomówień. Przyznałam się, że jestem młodszą siostrą słynnego Sherlocka Holmesa, pierwszego i jedyne na świecie prywatnego detektywa. Ponieważ brat nie ujawnił publicznie i z pewnością nigdy nie ujawni miejsca swego urodzenia, mogłam śmiało wmówić rozmówczyń, że nasza rodzina pochodzi z hrabstwa Surrey. Wywindowałam naszych krewnych na wyższy szczebel drabiny społecznej, robiąc z naszego ojca rycerza, sir Adolphusa Holmesa, a z ku-

zyna mamy baroneta. Powiedziałam, że jestem absolwentką pensji dla panien, i wymieniałam nazwę niezwykle prestiżowej instytucji gwarantującej przynależność do wyższych sfer. Jedna z uczennic – że też nie mam pamięci do nazwisk – poślubiła hrabiego...

– Hrabiego Dunhena, skarbie?

– Tak, zdaje mi się, że właśnie jego!

– Caddie Rudcliff. Znam go jeszcze z czasów, kiedy biegał w krótkich spodenkach. Muszę ci powiedzieć, droga Enolu, że lubił używać życia jak mało kto, co położyło się cieniem na jego małżeństwie. Poślubił Myzellę Haskell z Haskellów z St. John's.

Aha. Miałam się teraz dowiedzieć o jednej z żon Caddiego, ale nie o Flossie.

– Haskellowie to bardzo szacowna rodzina, jednak wieść o tych zaręczynach wywołała skandal z uwagi na naturę łączącego oboje młodych związku. Nie byłam na ich ślubie, odbył się w ścisłym rodzinnym gronie.

Zaczerwieniłam się wstrząśnięta tym, czego zaczynałam się domyślać.

– Z tego, co słyszałam, była śliczną kobietą – dodała litościwie jej książęca mość. – Oczywiście mężczyzna o jego pozycji nie musi się od razu żenić z każdą dziewczyną, którą wpędzi w kłopoty, więc może rzeczywiście byli sobie przeznaczeni. Urodziła mu dwoje kochanych dzieci, synka i córeczkę, lecz pech chciał, że zachorowały na dyfteryt i zmarły, a wkrótce potem i ona dołączyła do nich w niebie.

Wyraziłam ubolewanie, pamiętając jednak, że śmierć dzieci z powodu błonicy jest zjawiskiem smutnym, acz częstym. Bywało, że rodzice tracili z tego powodu całe swoje potomstwo. Zadałam więc pytanie o przyczynę zgonu Myzelli.

– Nie znam jej, skarbie, i nie rozumiem, jak to się stało i dlaczego jej śmierć miałaby kogoś gorszyć, ale odeszła w atmosferze skandalu. I nie pochowano jej w ziemi. Zwłoki spopielono, wyobrażasz to sobie?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego samego wieczoru gospodarze poprosili mnie oczywiście, bym została na kolacji, potem zaproponowali mi nocleg, a w końcu oświadczyli, że mogę zabawić u nich tak długo, jak zechcę. Późną nocą, gdy wszyscy domownicy poszli już spać, wzięłam zapaloną świecę i wymknęłam się bosą z przydzielonej mi sypialni, odziana w pożyczoną koszulę nocną, jakiej nie powstydziałaby się księżniczka. Skradając się cicho jak bocian, jedyny z drapieżnych ptaków, do którego można by mnie porównać, przemknęłam przez korytarz. Jego posadzka została wypucowana z takim zapalem, że odbijał się w niej płomyk mojej świecy. Zeszłam po wyłożonych przepyszną materią reprezentacyjnych schodach i zakradłam się do biblioteki księżnej – nie mylić z położoną naprzeciwko biblioteką pana domu, który mimo książęcego tytułu okazał się nader przyjemnym współbiedniakiem. Posiadanie dwóch bibliotek było szczytem wyrafinowania i bardzo mnie korciło, żeby sprawdzić, czy mąż zebrał ładniejszy księgozbiór niż żona, jednak udało mi się nie ulec pokusie i skupić się na obowiązkach perdytorystki.

Podeszłam do lampy gazowej i sięgnęłam do stojącego obok puzderka z rżniętego kryształu po zapalną. Kiedy rozbłysło światło, otworzyłam żaluzjową pokrywę sekretarzyka z drewna różanego i szybciotko sięgnęłam po adresownik księżnej, zgrabną książeczkę oprawioną w tłoczoną dymkę obszytą po brzegach gipiurą. Księżna, jak z zadowoleniem stwierdziłam, uzupełniała dane na bieżąco – karteczki z literami alfabetu były gęsto zapisane danymi najrozmaitszych osób. Odnotowywała je drobnutkim i równym jak na sztychach kaligrafowanym pismem. Usiadłam przy biurku i przystąpiłam do czynności, która w obecności księżnej byłaby nietaktem: robienia notatek.

Adresom towarzyszyły pełne i poprawnie zanotowane imiona i nazwiska poszczególnych osób: Cadogan Burr Rudcliff Drugi (rzymskimi cyframi), Myzella Odilon Rudcliff z domu Haskell, Felicity Fay Rudcliff z domu Glover.

Przyglądałam się im z uwagą. Moim priorytetem było poznanie przyczyny śmierci Myzelli, liczyłam bowiem, że ten trop przybliży mnie do ustalenia miejsca pobytu Flossie. Wypisałam imiona i adresy wszystkich możliwych Haskellów, ze szczególnym uwzględnieniem mieszkających we wsi St. John's i jej okolicach, gdyż istniało duże prawdopodobieństwo, że okażą się bliskimi krewnymi, a być może nawet rodzeństwem Myzelli. Uporawszy się z tym, zajęłam się z kolei Rudcliffami z Dunhynch...

I wtedy ktoś uchylił drzwi.

Nie przygotowałam wcześniej żadnego usprawiedliwienia na swoją nocną wizytę w bibliotece, nie pomyślałam też o zaplanowaniu drogi ewentualnej ucieczki. Zaaferowana pisaniem zapominałam również o nadśłuchiowaniu, czy ktoś nie idzie, toteż poczułam się jak skończony głuptas. Jedynym inteligentnym rozwiązaniem pozostawało nieprzerywanie pracy, jakbym była w pełni uprawniona do wypisywania w środku nocy nazwisk i adresów z prywatnych notatek księżnej. Udało mi się – z trudem, bo z trudem – powściągnąć odruch zgarnięcia papierów czy podskoczenia z piskiem jak spłoszona pensjonarka. Zadałam jedynie o to, by nadać twarzy pytający wyraz, zanim się odwróciłam, by sprawdzić, kto wszedł do środka.

W nieco skromniejszej niż moja koszuli nocnej, z rozczochranymi włosami o barwie piasku spoglądał na mnie z góry w blasku dzierzzonej w rękę świeczki syn księcia, jego prawowity dziedzic i jedyny potomek.

Nie byłam zachwycona, widząc go w tych okolicznościach, jednak uśmiechnęłam się szeroko.

– Tewky!

– Nie nazywaj mnie tak! Co za dziwaczna koszula. Wyglądasz w niej jak żyrafa obszyta falbankami.

– Masz rację, ale pożyczyla mi ją twoja matka.

– Chyba jednak po to, żebyś w niej spała. Dlaczego nie jesteś w łóżku?

– Mogłabym cię spytać o to samo.

– Schodziłem na dół, bo dopadł mnie wilczy głód i chciałem pobuszować trochę w spiżarni, kiedy zobaczyłem światło w szczelinie pod drzwiami biblioteki. Widzę, że ty buszujesz tutaj. – Podszedł bliżej i mrużąc oczy, zerknął na moje notatki. Chcąc powstrzymać kolejny odruch zgarnięcia w popłochu zapisków, złożyłam dłonie na kolanach.

– Myzella Rudcliff? Obiło mi się o uszy – zauważył. – Starsze matrony często o niej mówią. Czy to nie ta, która wyszła za Dunhencha? – Zdaje się, że kiedyś pójdzie w ślady swojej skorej do plotkowania matki. – Była jego pierwszą żoną. Podobno umarła...

Co za obcesowość, co za odwaga, co za nowoczesne podejście. Bez wahania wymówił zakazane słowo!

– Ale pochówku nie było.

– Co to znaczy?

– Nie zakopali jej ciała w ziemi. Zdaje się, że zostało spalone czy coś... Ale krążą pogłoski, że wcale nie umarła, tylko ktoś ją wywiózł w czarnym ekwipażu.

– A co to znowu znaczy?

– Hm, nie wiem. – Był wyraźnie zakłopotany. – Sądziłem, że ty wiesz.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, ale za to mam szczerzy zamiar dokładnie sprawę wybać. – Odłożyłam zeszyty z adresami, poskładałam swoje zapiski i wstałam z krzesła, mrużąc cicho, zasadniczo do siebie: – Będzie mi potrzebny pseudonim.

– Ermintrude – rzucił Tewky tak zdecydowanym tonem, że zaskoczona parsknęłam głośno śmiechem:

– Dlaczegoż to?

– Ponieważ wyglądasz jak Ermintrude. Nie mam żadnej kuzynki, więc mogłabyś wypełnić tę lukę jako Ermintrude Basilwether. Bardzo zgrabnie to brzmi, nie sądzisz?

Moim zdaniem brzmiało pokracznie.

– Niedorzeczność – fuknęłam, po czym z żalem odrzuciłam propozycję wspólnego buszowania w spiżarni i wróciłam do łóżka.

Chociaż mogłam mieć pewność, że Tewky zachowa w tajemnicy moje podejrzane nocne poczynania, następnego ranka opuściłam rezydencję, pożegnawszy się uprzednio z księżną i wyraziwszy szczerze ubolewanie, że wzywa mnie niecierpiąca zwłoki sprawa. Ruszyłam spiesznym krokiem w stronę dworca w Belvidere, po czym wsiadłam do pociągu.

Celem mojej podróży było tym razem hrabstwo Surrey. Ponieważ trasa wiodła przez Londyn, postanowiłam zabawić chwilę w stolicy. Najpierw udałam się do Klubu dla Pań, gdzie wsoczyłam w świeże ubranie: całkiem ładną suknię dzienną z ciemnozielonego welwetu z trawiastzieloną wierzchnią spódnicą z ciężkiego prążkowanego jedwabiu z podpiętymi falbanami, z którą harmonizował kapelusz przybrany zawijasami z usztywnionej drucikiem zielonej wstążki. Spakowałam najpotrzebniejsze drobiazgi do torby podróżnej, po czym zeszłam do recepcji, żeby się dowiedzieć, czy nie przyszła do mnie jakaś wiadomość od Sherlocka. Niestety mimo że czekałam na nią niecierpliwie, nie przyszła.

Moim kolejnym przystankiem był dom przy Baker Street 221. Tam spytałam panią Hudson, czy mój brat dał jakikolwiek znak życia. Nie dał. Ponieważ w trakcie podróży z Belvidere do Londynu wykorzystałam wolny czas, by napisać do niego list, zostawiłam go jej na wypadek, gdyby w najbliższym czasie pokazał się w domu. Jego treść była następująca:

Najdroższy dociekliwy Bracie,

mam interesującą wiadomość. Wygląda na to, że pierwszą żonę Dunhencha, Myzellę z domu Haskell, spotkał po śmierci ten sam los co drugą: jej zwłoki spopielono. Krążą jednak pogłoski, że wcale nie umarła, lecz została wywieziona w czarnym ekwipażu, cokolwiek to może oznaczać. Brzmi to dość złowieszczo, więc zastanawiam się, czy nie stało się podobnie w przypadku drugiej żony, siostry Letitii Glover. Mam zamiar dotrzeć do aktów zgonu obu pechowych połowic. Dlatego też przedzierzgnę się w badaczkę genealogii Ermintrudę Basilwether i zamieszkać w Threefinches lub najbliższej okolicy. Może przyjdzie Ci do głowy mnie odszukać.

Twoja kochająca siostra

Nie podpisałam się ani nie zaadresowałam imiennie listu. Trzeba zachować przezorność na wypadek, gdyby nasza korespondencja wpadła w niepowołane ręce. Powierzywszy liścik pani Hudson, wsiadłam do wagonu metra. Stacja Baker Street była w tak dogodnej odległości od mieszkania mojego brata! Z tego jednak, co mi wiadomo, sam nigdy nie korzystał z tego środka lokomocji. Kolej podziemna błyskawicznie dowiozła mnie do Victoria Station, gdzie wsiadłam do pierwszego pociągu zmierzającego do Dorking w hrabstwie Surrey.

Podróż przebiegła bez zakłóceń, toteż dotarłam do Dorking – miasteczka targowego, które okazało się mniejsze, niż się spodziewałam – w samą porę, by zdążyć zjeść późny lunch w niezbyt wyszukanej jadłodajni. Posiliwszy się miseczką gulaszu wołowego i puddingiem z chleba – były to jedyne dostępne tam potrawy – wróciłam na stację z zamiarem wypożyczenia roweru. Pracownik poinformował mnie z uniesionymi brwiami, że nie dysponuje takim nowomodnym samobieżnym środkiem lokomocji, i skierował mnie do stajni z wozownią, sąsiadującej z dworcem.

Tam z kolei powitał mnie żujący tytoń osobnik o niepokojąco nastroszonych bokobrodach, oznajmiając, że o ile gigi, bryczki i inne pojazdy są dostępne w obfitości, o tyle nie ma w tej chwili żadnego wolnego stangreta.

– Jakżeż to panienka dotarła tu sama jedna? – dodał tonem bardziej upominającym niż pytającym.

– Na własnych nogach – odparłam może trochę bardziej cierpko, niż powinnam.

– Panienka, nie daj Boże, sufrażystka?

– Owszem, poszłam w ślady matki.

– Tak czy siak, kobiecie trzeba męskiej ręki do powożenia i takich tam.

– Umieć kierować koniem – warknęłam. – Obejdę się bez woźnicy. – Ze zirytowania mówiłam sobie, że w istocie tak będzie. No bo czyż kiedyś nie powoziłam dorożką po londyńskich ulicach? I czyż w dzieciństwie omal nie zaczytałam na śmierć *Czarnego Księcia*?

– Nie, panienka nic a nic nie rozumie – powiedział Bokobrodziasty z nazbyt już wielką wyższością. – Woźnica jest po to, żeby odstawić wóz i konia do stajni, po tym jak panienka dojedzie do... A dokąd się panienka wybiera?

– Do Threefinches. Czy to daleko stąd? – spytałam w nadziei, że może da się tam dojść pieszo.

– Dobre dziesięć, a może nawet i dwanaście mil.

Czyli spacer nie wchodzi w rachubę.

– Ale z pewnością znajdzie się tam jakiś zajazd ze stajnią? – Co za pech, że konia, w przeciwieństwie do roweru, nie da się zostawić opartego o drzewo do czasu, gdy znów będzie potrzebny.

I znów ujrzałam unoszące się wysoko brwi.

– Niby tak, panienko, ale trzeba mi zapłacić za każdy dzień pobytu konia w stajni.

Wysupałam pokaźną ilość gotówki, co skutecznie ukróciło dalsze protesty, i po chwili siedziałam już ze swoim skromnym bagażem u boku na wysokiej ławeczce pojazdu zwanego gigiem, dzierżąc lejce w dłoniach odzianych w skórkowe rękawiczki. Powóz miał tak wysokie koła, że zamiast zadu widziałam z góry grzbiet zwierzęcia. Koń był wyjątkowo nietypowo umaszczony – szarobrązowy z żółtawym odcieniem.

– Jak on ma na imię? – spytałam Bokobrodziastego, który wciąż stał obok dyszla, trzymając uprząż.

Odwrócił głowę i nie pierwszy raz podczas naszej rozmowy odniosłam wrażenie, że powstrzymuje się od śmiechu, chociaż nie miałam pojęcia, co jest źródłem tej wesołości.

– Toż to kobyła – wyjaśnił. – A wołamy na nią Jezzie. Prawda, Jezzie?

Szarpnął za uprząż na znak reprimendy. Potem zluzował chwyt, a ja ruszyłam w drogę. Jezzie, a może jednak Jessie, nie dosłyszałam wyraźnie... Jezzie vel Jessie wzięła sprawy w swoje ręce czy też raczej swoje kopyta, wyjeżdżając z zagrody żwawym kłusem, mimo że ściągnęłam lejce. Na szczęście zmierzałyśmy w dobrym kierunku i niemal niezauważalnie znalazłyśmy się poza granicami miasteczka, na wiejskim trakcie. Ogromne koła wirowały z zawrotną prędkością, pokonując zrytą koleinami drogę. Kołysanie i wysokość siedziska przyprawiły mnie szybko o mdłości.

Ściągnęłam mocniej lejce, żeby wymusić na brudnożółtej klaczy przejście do stępu, jednak jedyną jej reakcją były wygięcie szyi – bardzo ładnie to wyglądało – i nieco elegantsze, godne kłusaka przebieranie kopytami. Okoliczni mieszkańcy zajęci pracami w przydomowych ogródkach patrzyli w niemym zdumieniu na mknący z prędkością wichru zaprzęg. Jestem pewna, że Jezzie, gig i ja tworzyliśmy malownicze trio na sielankowym tle złotych pól i zielonych żywopłotów, ja jednak daleka byłam od delectowania się artyzmem sceny, ponieważ targany wiatrem kapelusz obluzował mi się na głowie, a klacz zaczęła toczyć z pyska pianę, której strzępy padały na moją twarz niczym białe motyle zwiastujące nieszczęście. Jezzie wykazywała wszelkie oznaki zamiaru przejścia w galop i gdyby dopięła swego, z pewnością wylądowałabym razem z wozem w rowie. Nawet w kłusie

wysoki gig chybotął się na wzniesieniach, nieomal unosił się w powietrze, zjeżdżając z pagórków, i przechylał się zawadiacko za każdym razem, kiedy pokonywaliśmy zakręt. Pragnę nadmienić, że wnętrzości podchodziły mi do gardła ze strachu... Nie, z graniczącego z paniką przerażenia, a ja sama szczerze żałowałam swej buńczucznej deklaracji, że umiem powozić. Co z tego, że trzymam lejce, skoro Jezzie gra im na nosie?

Kolejna chybiona metafora. Ale nie ma co teoretyzować, kiedy trzeba przejść do działania. Ściągnęłam oburącz lejce najmocniej, jak dałam radę, a następnie w akcie desperacji zaczęłam szarpać nimi raz lewą, raz prawą ręką w nadziei, że jakoś okiełznam Jezzie.

W ten sposób udało mi się wymóc na narowistym żółtym potworze, by nie przeszedł z szaleńczego kłusu do galopu. I nagle, po wyjściu z kolejnego straszliwego wirażu, moje zamglone oczy ujrzwały na horyzoncie wioskę – czyżbym dotarła do Threefinches? Nie było innej możliwości. A więc teraz trzeba w jakiś sposób przymusić Jezzie, by zwolniła...

Gorzej! Musiałam sprawić, żeby ta kobyła z piekła rodem zatrzymała się i umożliwiła mi opuszczenie pojazdu! Inaczej poniesie mnie aż do Currywort i Harechase, i Bóg wie, dokąd jeszcze.

Niech diabli porwą to bydłę! Uświadomiłam sobie, że jej pełne imię to z pewnością Jezebel! Ani myślę pozwolić, żeby ta krnąbrna przedstawicielka końskiego rodu zrobiła ze mnie pośmiewisko! Wszelkie moje obawy zniknęły w przyływie złości tak nagłej, że niewiele myśląc, podniosłam się z siedziska, by przygotować się do konfrontacji. Rzuciłam na pobocze parasolkę i torbę podrózną, a kiedy znalazłam się w granicach Threefinches, szarpnęłam z całych sił za lejce w nadziei, że przekłeta Jezebel zwolni na tyle, że uda mi się wyskoczyć i dołączyć do wyrzuconych przed chwilą przedmiotów. Niestety, przeliczyłam się, toteż przełożyłam lejce do jednej ręki, ściągnęłam je tak mocno, jak się dało, a w drugą chwyciłam bat i z całych sił przejechałam nim po grzbiecie bezczelnej kreatury.

Skutek tej akcji okazał się w pewnym stopniu zadowalający. Klacz bryknęła, wierzgnęła i stanęła dęba, przerywając swój szaleńczy bieg, a ja zdążyłam wyskoczyć z powoziku, zanim ten zderzył się z impetem z końskim zadem, co zapewne wyrzuciłoby mnie w powietrze jak pocisk, skutkując poważnymi obrażeniami. Dałam nura w bok na trawiaste pobocze. Wylądowałam na brzuchu z głośnym plaśnięciem, zaryłam twarzą w trawie i przetoczyłam się na plecy, unosząc pozbawioną kapelusza głowę, by ujrzeć, jak Jezebel zarywa się kopytami w ziemię, zawraca i przechodzi w upragniony galop, ciągnąc za sobą pusty gig. Pognała w stronę Dorking, jak się domyślałam – z powrotem do stajni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przyłgnęłam skronią do ziemi tylko na chwilę, żeby ochłonąć. Jednocześnie usłyszałam za sobą kroki zbliżających się w moją stronę ludzi oraz chór przekrzykujących się męskich głosów.

- Damulka wyleciała z wozu jak z procy!
- Mogła se kark skręcić.
- Widzieliście, jak ten żółty kuń zasuwa?
- To nie kuń, ino żółty chart.
- Paniusia chyba leży zabita.
- A może zemgląła.

Urażona chciałam usiąść i oświadczyć im, że nie tak łatwo mnie zabić i że nie mam zwyczaju mdleć, jednak ku mojemu zaskoczeniu ciało odmówiło współpracy. Wzdrygnęłam się tylko, mamrocząc coś pod nosem.

- Rusza się.

Zobaczyłam ciężkie buciory otaczających mnie wieśniaków i poczułam odór alkoholu bijący z ust osobników, którzy się nade mną pochylili.

- Zanieśmy ją do środka.
- Niech który wezwie doctora.

Czyjeś krzepkie, acz niepozobawione szacunku dłonie pochwyciły mnie pod pachy i za stopy. Mogłabym wprawdzie zacząć kopać i krzyczeć, odzyskałam już bowiem siły, jednak w tej samej chwili uruchomił się również ponownie mój umysł, podpowiadając mi, że za chwilę zostanę wniesiona do pubu, czyli jedyne miejsce, w którym ludzie pracy mogą się za dnia napić czegoś mocniejszego. W normalnych okolicznościach żadna szanująca się kobieta nie przekroczyłaby progu takiego przybytku, a gdyby się nawet odważyła, zostałaby wyszydzone i zmuszona do odwrotu. Tymczasem los, przybierając postać Jezebel, otworzył przede mną możliwość bezkarnego wstępu do pubu. I to nie pierwszego lepszego, tylko prawdopodobnie jedyne w całym Threefinches!

Zamknęłam zatem oczy i odegrałam istotkę o wiele bardziej bezbroną, niż byłam w istocie. Mocarni mężczyźni wniesli mnie do wnętrza i ułożyli na stojącej przy kominku ławie z wysokim oparciem. Ktoś przyniósł jakąś cuchnącą substancję, żeby podsunąć mi ją pod nos zamiast soli trzeźwiących, lecz pokręciłam głową, odepchnęłam dłoń dzierzącą smrodliwy specyfik, uniosłam powieki i usiadłam, udając, że przychodzi mi to z przeogromnym trudem.

Tęgi brodaty mężczyzna w fartuchu, najprawdopodobniej właściciel gospody, podbiegł do mnie z poduszką, żebym miała na czym oprzeć plecy. Obdarzyłam go przepelnionym wdzięcznością uśmiechem.

- Czy sznowna pani łyknie troszku brandy?

- Nie, dziękuję. Poproszę o wodę.

– Jack! Woda dla sznownej pani! – ryknął w stronę jakiegoś popychadła i przystanął obok mnie, kiedy zdołałam trzęsącymi się (i to naprawdę!) dłońmi ściągnąć rękawiczki. Cienka koźlęca skórka uległa całkowitemu zniszczeniu w kontakcie z lejcami Jezebel, a wewnętrzna strona dłoni była czerwona i obolała. Z całą pewnością wkrótce pojawią się sińce.

Przyjęłam z wdzięcznością chłodną szklankę, ujęłam ją oburącz i zaczęłam saczyć, rozglądając się wokół. Połowa bywalców szynku ustawiła się półkolem obok właściciela, przypatrując mi się nie bez sympatii, pozostali obserwowali mnie zza stołów, nie podnosząc się z miejsca. Wszyscy oprócz jednego. Wysoki mężczyzna ze szczeciniastym zarostem i opadającą na oczy burzą szorstkich brązowo-siwych włosów siedział przy stole pod ścianą, skupiwszy całą uwagę na stojącym przed nim jasnym lub ciemnym piwie czy jakimś innym ulubionym szkodliwym napitku.

Oświadczyłam rzeźkim głosem szynkarzowi:

- Chyba mam już siłę wstać.

- Ale może lepiej niech sznowna pani poczeka na doctora...

Mimo jego protestów chwyciłam go pod rękę, bo znajdował się tuż przy mnie, i udało mi się dość pewnie wstać i utrzymać na nogach. Wśród gapiów rozległy się ciche wyrazy uznania. Kiwając głową i strojąc wdzięczne minki, odezwałam się do nich przymilnie:

– Serdecznie panom dziękuję. Czy któryś z was mógłby się pofatygować po należące do mnie torbę, kapelusz i parasolkę? Mam wrażenie, że spadły obok dro...

Zanim skończyłam mówić, pół tuzina kandydatów na bohaterów tłoczyło się już przy drzwiach. Gdybym weszła tu o własnych siłach, każda prośba o pomoc wzbudziłaby w nich głęboką podejrzliwość. Życie bywa doprawdy bardzo dziwne.

Starając się nie uśmiechać zbyt szeroko ani nie okazać rozbawienia, zwróciłam się do szynkarza, którego ręki wciąż jeszcze się trzymałam:

– Myślę, że spróbuję się przejść po sali.

– Jeśli sznownej pani nic nie jest...

– Czuję, jak dzięki pańskiej gościnności przybywa mi sił. – Drobiąc kroczyki, ruszyłam na przód, napierając od czasu do czasu na jego rękę, żeby nadal czuł się niezastąpiony. Wyszedszy na środek, mogłam się przyjrzeć z bliska wysokiemu, niechlujnemu wyrobnikowi (sądząc po jego powalnym, zwyczajnym odzieniu) o twarzy ocienionej długą grzywką. Mijając stolik, przy którym siedział, przystanąłam i zwróciłam się do właściciela, jakby właśnie przyszła mi do głowy nowa myśl:

– Sądzę, że będę potrzebowała pomocy w drodze do zajazdu. Jest tu takowy?

– To paninka podróżuje sama? – Nagle przestałam być „sznowną panią”, a brwi mojego dzielnego towarzysza poszybowały równie wysoko jak brwi Bokobrodziastego.

Z trudem zachowując słodycz w głosie, zapytałam:

– A co innego mogłam robić na trakcie?

– Myślałam, że wyjechała paninka na przejażdżkę i rozjechała się paninka z możliwościami.

– Przynajmniej miał poczucie humoru. – Chyba nie myśli paninka o tym, żeby samotnie spędzić noc w publicznym domu noclegowym?

Weszłam mu w słowo już mniej lukrowanym tonem:

– A gdzie mam spędzić noc, w stogu siana? Z pewnością może mi pan polecić jakiś przyzwoity zajazd, w którym mogłabym się czuć bezpieczna.

– W okolicy jest ino jeden dla wszystkich przyjezdnych! – Z pewnością sarkałby dalej, gdyby nie to, że na progu pojawiła się zziębnięta grupka mężczyzn niosących kapelusze, torbę podróżną i parasolkę oraz pewien młodzik, który krzyknął: – Dochtór nie może przyjechać, bo rodzi dziecko!

W gospodzie rozległy się salwy śmiechu, po czym powstał ogólny rozgardiasz, co na chwilę odwróciło ode mnie uwagę właściciela. Korzystając z okazji, wierzgnęłam nogą w stronę posepnego i niegrzeszącego czystością osobnika siedzącego tuż przy mnie za stolikiem. Naturalnie rzucił mi wściekłe spojrzenie. A potem niezbyt naturalnie, jak na kogoś, kto otrzymał kopniaka w goleń, jego szare oczy rozblęły radością. Powoli odsunął się z krzesłem od stolika, po czym wstał.

– To ino kawalomtek drogi stomt – powiedział z silnym wsiowym akcentem, jakby miał usta pełne klusek. – Chemtnie paninke odprowadze. I moge ponieść panince torbe.

Odczekaliśmy chwilę, żeby bezpiecznie oddalić się od pubu, zanim którekolwiek z nas się odezwało. Pierwszy zrobił to Sherlock, mówiąc swoim zwykłym, arystokratycznym tonem:

– Brawo, Enolu. Wymyśliłaś świetny plan, żeby wejść do pubu.

– To nie było zamierzone – wyznałam z westchnieniem.

– Więc z pewnością to nie zbieg okoliczności, że włożyłaś zieloną suknię, na której nie widać śladów trawy?

Spojrzałam na swoją jedwabną wierzchnią spódnicę, pozaciąganą i porozdzieraną, po czym skrzywiłam twarz w grymasie.

– Twoje nakrycie głowy też się nieco sfatygowało – dodał mój braciszek.

Usztyniane drutem wstążki były w oplakany stan, jednak udało mi się przywrócić je z grubsza do formy, zanim ponownie włożyłam kapelusz, toteż uznałam, że Sherlock nie powinien dłużej ze mnie kpić.

– Zrobiłam z siebie pośmiewisko. Zamknijmy temat. Powiedz lepiej, czy dowiedziałeś się czegoś, siedząc w pubie? Tylko mów szeptem – uprzedziłam, ponieważ dotarliśmy już do wioski i przechodziliśmy blisko stłoczonych obok siebie chat, których szczytowe okienka łupały na nas spod wyjątkowo niskich strzech niczym ciekawska praczka z głową omotaną chustką.

– Przede wszystkim wiem, że Rudcliff ma opinię bawidamka. – Sherlock rzeczywiście ściszył głos. – Jednak niewiele kobiet schodzi z tego świata i zostaje spopielonych wskutek niewierności męża. Czy przyjechałaś tutaj tylko po to, żeby się mnie czepiać?

– Nie. Przeprowadziłam własne małe śledztwo. Krążą plotki, że pierwsza lady Rudcliff, domniemana nieboszczka, została w istocie, cytuję: „zabrana przez czarny ekwipaż”.

Sherlock gwizdnał cicho i chociaż nie widziałam jego czoła ukrytego pod wiejską grzywką, jestem przekonana, że uniósł wysoko brwi.

– Koniec cytatu – dopowiedziałam z irytacją w głosie. – Mógłbyś mi wyjaśnić, co może oznaczać „czarny ekwipaż”? – To oczywiste, że znał odpowiedź.

– Trochę przedwcześnie na wysnuwanie wniosków, zwłaszcza że Rudcliff ponownie się ożenił.

– Niektórzy mężczyźni chwalą sobie stan małżeński, Sherlocku.

Rzucił mi spojrzenie równoznaczne z warknięciem.

– Czy miał z pierwszą żoną dzieci?

– Dwoje, żadne z nich nie dożyło dzisiejszego dnia.

– W takim razie zależy mu na dziedzicu. Tylko dlaczego pozbył się pierwszej żony, a potem i drugiej? – Sherlock ściszył głos do szeptu, jednak wypowiedziane przezeń słowa brzmiały ostro jak brzytwa. – To naprawdę niedorzeczne.

– Co jest takie niedorzeczne?

Nie doczekałam się nawet słowa wyjaśnienia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Oberża nosiła, jakżeby inaczej, nazwę Trzy Zięby, co podkreślały trzy niezbyt artystycznie wycięte z drewna ptasie sylwetki umieszczone nad wejściem. Szachulcowa ściana frontowa wyglądała na wiekową. Zachodziło podejrzenie, że budynek stoi tu od czasów Tudorów. Kamienne stopnie wiodące do drzwi były wytarte przez podeszwy niezliczonych podróżnych.

Ściągnawszy z głowy kaszkiet osłaniający zwichrowaną perukę, Sherlock wniósł moją torbę do przedsionka, postawił ją na podłodze, a potem uniżenie skłonił głowę, dotykając palcami grzywki. Drugą dłoń wysunął w moją stronę, więc umieściłam w niej kilka monet.

– Dziękuję, mój dobry człowieku – powiedziałam uprzejmie, a potem, jakby po namyśle dodałam: – Jak was zwą?

– Tom Dubbs, paninko. – Kiwając uniżenie głową, znów mówił tak, jakby żuł kluski.

– Tom Dubbs. A gdzie mieszkacie?

– W stajniach za pubem, prosze paninki.

– Doskonale. Gdybym potrzebowała pomocy, przyślę po was. Przy okazji też się przedstawię: jaśnie wielmożna panna Ermintrude Basilwether. – Odprawiwszy go skinieniem głowy i porozumiewawczym uśmiechem, zaczęłam się rozglądać po wnętrzu Trzech Zięb. Po chwili usłyszałam trzask zamykanych drzwi wejściowych, za którymi zniknął mój brat.

Zajazd sprawiał wrażenie przybytku oferującego typowo wiejskie udogodnienia, łącznie z dwoma fajansowymi psami strzegącymi krańców półki nad kominkiem. Przede mną wznosiły się strome i wąskie schody. Po jednej ich stronie przez otwarte drzwi widać było salę bilardową, po drugiej – pokój jadalny z długim stołem przykrytym serwetą w czerwono-białą kratę. Sądząc z porbrzękiwań i gwaru dochodzących z pomieszczenia za jadalnią, osoby prowadzące zajazd były zajęte pracami kuchennymi.

Rozejrzałam się wokół. Na stoliku w holu dostrzegłam dzwonek z rączką. Podniosłam go i potrząsnęłam. Po chwili zjawił się odziany w fartuch właściciel. Wyglądałby na typowego tłusciutkiego i jowialnego oberżystę, gdyby nie ściągnięte groźnie brwi. Być może zbyt głośno zadzwoniłam.

Ponieważ mnie nie przywitał, sama zagałam rozmowę:

– Dzień dobry, mój pocziwce. Czy znajdzie się tu dla mnie pokój?

Chociaż w moim odczuciu pytanie było proste i zrozumiałe, oberżysta podszedł bliżej i wpił we mnie wzrok, coraz bardziej marszcząc brwi, jakbym powiedziała coś zupełnie niedorzecznego.

Spróbowałam ponownie, nie łagodząc jednak tonu wyższości, co okazało się nierozsądne. Trzeba było zagadać go z pokorą i okazać kuszącą ilość gotówki. Zamiast tego rzuciłam oschle:

– Chciałabym wynająć pokój. Być może na kilka dni.

Usta właściciela zajazdu, przypominające szparę na listy otoczoną tłustymi policzkami, poruszyły się kilkakrotnie, zanim usłyszałam:

– A gdzie pani mąż?

– Nie ma męża, jestem tylko ja.

– No a pani służąca, guwernantka czy coś w tym rodzaju?

Zaczęłam rozumieć przyczyny jego nieufności i rozdrażnienie wzięło we mnie górę.

– Albo moja matka, jak mniemam? Nie. Jesteśmy same we trzy. Tylko ja, moja skromna osoba i ja.

Pokręcił głową i odwróciwszy się, ruszył w stronę kuchni, ale chwyciłam go za rękaw koszuli.

– Czyżby w gospodzie nie było wolnego pokoju?

– Dla podróżującej samotnie niezamężnej panny na pewno nie. Nie chcę brać na siebie takiej odpowiedzialności.

Niech to licho, jak mogłam nie przewidzieć tej sytuacji i nie przygotować się duchowo na starcie z tępym jak baran wiejskim oberżystą. Trzeba było zawczasu opracować plan przekonywania, zjednywania i przekupywania, zamiast dawać upust zniecierpliwieniu, jak zrobiła to niedawno Jezzie.

– Czy drzwi waszych pokoi są pozbawione zamków? – Miałam ochotę wydobyć z ukrycia sztylet i pomachać nim przed nosem uparciucha na dowód tego, że potrafię sama się obronić, jed-

nak coś mi mówiło, że zrozumie to opacznie. Dlatego uderzyłam w jeszcze bardziej arystokratyczne tony: – Czyżbyście nie rozumieli, z kim macie do czynienia? Rozmawiacie z szacowną Ermintrude Basilwether, bratanicą... Czy nie słyszeliście o księciu i księżnej Basilwether?

– Ha! Jeśli to prawda, to niech pani przenocuje u swoich jaśniepańskich znajomych.

– Doskonale, tak właśnie zrobię! – Nie mając pewności, czy wykorzystuję nadarzającą się okazję, czy jeszcze bardziej popadam w śmieszność, warknęłam: – Skoro odmawiacie mi gościny, moglibyście chociaż zapewnić mi transport. Proszę znaleźć kogoś, kto mnie zawiezie do Dunhench Hall.

Zachwycony, jak się domyślałam, możliwością splawienia mojej osoby, oberżysta zaoferował mi staroświecki kryty faeton z równie wiekowymi koniem i woźnicą. Pozbawiona możliwości rozmowy z tym ostatnim, skróciłam sobie czas przejazdu, rozglądając się po okolicy. Surrey oferowało krajobrazy pełne łagodnych wzniesień, przypominających zalane słońcem zielone morskie fale, na których unosiły się białe staczkki wiejskich zagród. Przed każdym z domków znajdował się ogródek z rabatami kwiatowymi, klombami róż i mleczną krową, a między tym wszystkim wiły się spokojne kanały porośnięte liliami wodnymi. Był to zielony, sielski zakątek Anglii, gdzie nie czyhało na podróżnych żadne niebezpieczeństwo.

Tak mi się przynajmniej wydawało, dopóki nie ujrzałam Dunhench Hall.

Kiedy dostrzegłam czarne kominy i szare kamienne szczyty mającące pomiędzy czerwonym listowiem buków, pomyślałam, że dwór o wiele lepiej wpasowałby się w otoczenie, gdyby stał na targanych wiatrem wrzosowiskach wśród turni i skalistych urwisk. Woźnica wjechał na podjazd przez otwartą bramę o ciężkich skrzydłach z kutego żelaza, podwieszonych na masywnych kamiennych słupach kruszących się ze starości, pokrytych plamami porostów i zwieńczonych rzeźbionymi w kamieniu wyobrażeniami czegoś, co mogło być jelenimi głowami, gdyby nie to, że ich poroża obłamały się i runęły na ziemię jak konary niektórych sękatych drzew flankujących drogę dojazdową.

Środkowa część budynku, kiedy już ukazała się moim oczom w pełnej okazałości, sprawiała wrażenie równie sędziwej, mimo że w jej grubej, obrośniętej bluszczem kamiennej fasadzie stare okna wymieniono na nowoczesne. Zauważyłam też, że skrzydła rezydencji dobudowano stosunkowo niedawno, podobnie jak kolumnowy portyk przed starymi dębowymi drzwiami.

Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte od wewnątrz storami, a na każdym ze skrzydeł drzwi wejściowych powieszono ozdobiony czarnymi wstęgami wieniec z gałązek cisu.

Koń przeszedł w stęp, a mój powóz wjechał na ostatni łuk okrągłego podjazdu prowadzącego pod portyk. Spodziewałam się zobaczyć na środku obsianego trawą placyku tradycyjną fontannę, okazało się jednak, że ustawiono tam cokół, a na nim naturalnej wielkości posąg pięknego mężczyzny w melodramatycznej pozie. Rozpoznałam w nim romantycznego poetę i emigranta lorda Byrona. Frapujący wybór, pomyślałam, ale czas naglił, więc nie zastanawiałam się dłużej nad jego znaczeniem. Rozklekotany faeton przystanął, chwyciłam więc torbę i wysiadłam. W tej samej chwili woźnica ruszył w drogę powrotną i oto stałam samotnie przed wejściem do Dunhench Hall. Nikt mi nie wyszedł na spotkanie, z czego należało się chyba cieszyć, ponieważ nie miałam żadnego pomysłu na to, jak wytłumaczyć swoją obecność. Gdybym przewidziała, dokąd trafię, przywdziałabym żałobne szaty. Nawet posąg poety, co zauważyłam z zaskoczeniem i rozbawieniem, miał na ramieniu czarną opaskę, a przy drzwiach zawieszono dzwon. Autentyczny mosiężny dzwon z sercem owiniętym szczelnie wygłuszającą je żałobną wstęgą.

Pokonawszy kilka niskich stopni z czarnego granitu, zauważyłam, że przyozdobione kirem wieńce powieszono na drzwiach tak, by zakrywały kołatki. Dostojna rezydencja tonęła w oznakach żałoby, co oznaczało, iż pogrążona w bólu rodzina nie życzy sobie, aby zakłócano jej spokój dzwonieniem czy stukaniem do drzwi. Uznałam więc, że goście, którzy mieliby do domowników jakąś sprawę, powinni sami sobie otworzyć i wejść do środka.

Ujęłam jedną z dwóch mosiężnych gałek i okazało się, że da się ją przekręcić. No cóż, nic mi nie przyjdzie ze sterczenia przed wejściem. A skoro chcę w wiarygodny sposób uzasadnić swoją niespodziewaną wizytę, najlepiej będzie okrasić wyjaśnienia elementami prawdy.

Uchyliłam ciężkie dębowe skrzydło i wślizgnęłam się do wysokiej sieni. Odruchowo przystanąłam i skierowałam wzrok ku górze, gdzie znajdowały się arkadowe okna, jedyne, których nie zasłonięto. Ich szybki przepuszczały do wnętrza dość światła, bym mogła dostrzec strop dwuspado-

wego dachu i biegnące w poprzek belki. Znajdowałam się w zabytkowym pomieszczeniu, w którym mógłby zapewne ucztować sam Beowulf. Na wszystkich otaczających mnie ścianach zawieszono pokrytą matową patyną historyczną broń – miecze, topory wojenne, piki, kordelasy, samurajskie miecze i budzące grozę mauretańskie bułaty. Nad orężem rozmieszczono ciasno imponującą kolekcję portretów przodków, prezentujących się nader nobliwie w girlandach z czarnej krepy. Najstarsze z malowideł były za małe i ciemne, bym mogła im się dokładniej przyjrzeć. Ale tuż nad olbrzymim kominkiem, którego półkę również udrapowano w czerń, pysznił się imponujących rozmiarów współczesny portret olejny przedstawiający wyjątkowo przystojnego mężczyznę – czyżby znów był to lord Byron? Cichutko podeszłam bliżej, żeby przyjrzeć się obrazowi, pełna wątpliwości, czy wieszcz nosił kiedykolwiek wojskowy mundur, w dodatku z tyłoma elementami w postaci złotych galonów i epoletów, karmazynowej szarfy i szabli. Nawet złocona rama, której kunsztowne zdobienia sprawiały wrażenie niemalże barokowych, nie była w stanie odciągnąć uwagi patrzącego od mocy bijącej z przedstawionej na obrazie postaci.

Na dolnej krawędzi ramy zobaczyłam grawerowaną tabliczkę metalową, na której z całą pewnością zamieszczono nazwisko sportretowanego. Pochyliłam się w jej stronę, mrużąc oczy, by odczytać w przygaszonym świetle...

Z mroków Dunhench Hall odezwał się nagle głuchy, niosący się echem grobowy głos:

– Kim pani jest?

Przyznaję, że podskoczyłam jak spłoszona sarna, wykonując w powietrzu półobrót, i stanęłam twarzą w twarz z przyczyną mojego przerażenia. W cieniastym korytarzu zauważyłam najpierw biały gors koszuli, a następnie, w miarę jak zbliżała się w moim kierunku, nienagannie odzianą postać o tak imponującym wzroście, iż mógłby to być Sherlock – ale nie był. Dostrzegłam pociągłą, pełną szacunku twarz o niezbyt kształtnym nosie i wyłupiastych jak u pekińczyka, ponurych oczach.

– Proszę pani? – zagadnął kamerdyner, ponieważ musiał to być przedstawiciel tej profesji. Przystanął z rękami splecionymi z tyłu, lekko skłoniwszy głowę.

Pocieszyłam się w duchu, że półmrok na pewno ukrył widoczne na mojej sukni dowody nie-subordynacji Jezzcie.

– Jestem szacowną Ermintrude Basilwether – odparłam najwynioślej, jak tylko dałam radę, bo zbierało mi się na śmiech. – A pan to...?

– Brindle, panno Basilwether. Z przykrością muszę panią powiadomić, że rodzina nie przyjmuje gości.

– Zapewniam pana, Brindle, że gdybym wiedziała o panującej w domu żałobie, nigdy bym tu nie przyjechała – skłamałam, nadając głosowi nieco bardziej przyjazne brzmienie. – Jednak skoro już tu jestem, muszę skorzystać z gościnności państwa Dunhenchów, ponieważ odprawiłam swojego człowieka.

W wyłupiastych oczach pojawiła się konsternacja, choć reszta twarzy pozostała niewzruszona.

– Obawiam się, że nie do końca rozumiem, łaskawa pani.

Udałam, że ogarnia mnie trzymane siłą woli w ryzach wielkopańskie zniecierpliwienie.

– Czy mogę usiąść i dostać coś, co mnie orzeźwi po trudach długiej podróży?

– Oczywiście, panno... ee... Basilwether. Oczywiście, proszę pani. – Wziął ode mnie torbę podróżną i parasolkę, odłożył je na stoliczek, po czym poprowadził mnie przez wysoką, ponurą sień do nieco mniejszego, choć równie ponurego salonu z zasłoniętymi oknami i lustrami przykrytymi czarną krepią. Wskazawszy mi miejsce przy stoliku na cokole, przeprosił na chwilę i wybiegł z pomieszczenia.

Fotel, w którym spoczęłam, wysoki, masywny dębowy antyk, nie zapewniał dużej wygody, czekałam jednak cierpliwie zadowolona, że dano mi czas na zebranie myśli. Wprawdzie planowałam zatrzymać się w Trzech Ziębach, czyż jednak nie dowiem się znacznie więcej, goszcząc w samym Dunhench Hall?

Kiedy już uznałam, że gra jest warta świeczki, wniesiono posiłek. W pokoju pojawiła się z obficie zastawioną tacą zażywna, uśmiechnięta jejmość w średnim wieku, od której biło kojące matczyne ciepło, mimo że miała na sobie ponurą suknię z czarnej bombazyny.

– Nazywam się Dawson, jestem tu gospodynią, proszę pani – powiedziała, schyliwszy

głowę, po czym postawiła tacę i rozmieściła na blacie zapowiedź wspaniałej uczy: filiżankę bulionu wołowego, półmisek kanapek, maślaną babkę, ciasteczka waniliowe, solone migdały, lemoniadę, wiśnie w czekoladzie, no i – rzecz jasna – dzbanek herbaty. Odsunęła się nieco i stojąc ze złożonymi na fartuchu rękami, patrzyła, kiwając głową z aprobatą, jak ściagam i odkładam rękawiczki, a następnie zabieram się do pałaszowania z nieco większym zapałem, niż należałoby się spodziewać po damie. – Czy przyjechała pani z daleka? – spytała, nalewając mi herbaty.

– Zaledwie z Londynu, ale w drodze doznałam wielu trudów i upokorzeń. – Postanowiłam odegrać rolę obrażonej na cały świat ekscentryczki z wyższych sfer. – Przyjechałam do Threefinches z prostym i niewinnym zamiarem poczynienia pewnych badań genealogicznych, licząc na to, że zatrzymam się w zajeździe, jednak kiedy tylko się tam zjawiłam, odesłano mnie z kwitkiem, jakbym była kobietą o zszarganej opinii! Tylko dlatego, że jestem już w wieku niewymagającym podróży z przyzwoitką!

Pani Dawson, niczym wielka czarna kwoka, wydała z siebie serię współczujących gdaknięć. Zdradziła też chęć oddalenia się, ale ją zatrzymałam.

– Czy może mi pani, z łaski swojej, powiedzieć, kto umarł i pogroził dom w żałobie?

Jej dłonie złożyły się jak do modlitwy.

– Nieszczęsny los zabrał lady Felicity Dunhynch, proszę pani.

– Coś takiego! Samą panią domu? Jakże mi przykro. Czy była posunięta w latach?

Kręcąc przecząco głową, Dawson zaczęła zdradzać oznaki autentycznej rozpaczki.

– Nie, proszę pani, wręcz przeciwnie. Nasza uroczą młodą pani zgasła w ciągu jednego dnia, a zmogła ją jakaś straszliwa gorączka.

Zakryłam dłonią usta, pozorując przerażenie. Domyślałam się, że łaskawy czytelnik rozumie, dlaczego udawałam całkowity brak wiedzy w tej kwestii.

– Ależ to okropne! Kiedy to się stało?

– Nasz anioł zgasł w minioną niedzielę.

– Ach tak? Więc pewnie wczoraj ją pochowano?

Ale zamiast udzielić odpowiedzi, Dawson bąknęła:

– Pani wybaczy. – I wybiegła z salonu, jakby poczuła dochodzący z kuchni swąd spaleniźny. Zanim zdążyły się za nią domknąć drzwi, skoczyłam na równe nogi, przemknęłam na paluszkach przez pokój i zaczęłam nasłuchiwać w nadziei, że gdzieś niedaleko rozpocznie się rozmowa.

I tak się stało. Usłyszałam grobowe pomruki kamerdynera, a potem głos przejętej gospodyni i słowa, które udało mi się zrozumieć:

– Przysłali ją tu nam z zajazdu, niestety, bo bali się skandalu, widząc jej poszarpaną suknię i sponiewierany kapelusz. Pewnie uznali, że brała udział w jakiejś awanturze.

Przyznam się, że policzki zapłonęły mi żywym ogniem – liczyłam na to, że nieład mojego ubioru umknie uwadze służby – ale słuchałam dalej. Kamerdyner wymamrotał coś pytającym tonem, na co padła odpowiedź:

– Wygląda na porządną osobę. Twierdzi, że prowadzi jakieś badania gene... genio... jakieś badania. Ale gość w domu to w tej chwili naprawdę wielki kłopot. Co jaśnie pan powie, kiedy zobaczy ją przy stole podczas kolacji?

– Zobaczysz kogo? – wtrącił się arystokratyczny, sardoniczny głos, którego wcześniej nie słyszałam.

– Wasza lordowska mość! – sapanęli równocześnie gospodyni i kamerdyner.

Bywają chwile, kiedy wykazuję się daleko posuniętą rozważą. Nadeszła jedna z nich. Bezszelstnie porzuciłam stanowisko podsłuchu przy drzwiach i ponownie zajęłam miejsce przy stole. Nasunęłam rękawiczki na dłonie i próbując przybrać minę znudzonej damy, błogosławiłam ironię losu, który kazał pozasłaniać w domu wszystkie lustra (z obawy, że dusza nieboszczki może się w którymś z nich przejrzeć, co poskutkowałoby uwięzieniem jej w domu po wsze czasy), uniemożliwiając mi obejrzenie własnego, budzącego grozę odbicia.

Chwilę później, tak jak – truchlejąc w duchu – oczekiwałam, drzwi salonu ponownie się uchylły i ukazał się w nich sam hrabia Dunhynch.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odziany w nieskazitelny i poważnie wyglądający garnitur z szarego wełnianego sukna, z czarną opaską na ramieniu, stanął w drzwiach w pozie, w jakiej widziałam go na portrecie wiszącym w sieni. Mimo braku wojskowych insygniów rozpoznałam go bowiem w okamgnieniu i przyznałam w duchu, iż rzeczywiście jest zabójczo przystojny. Nie podobało mi się wprawdzie to, że zmierzył mnie od stóp do głów chłodnym wzrokiem, ale w końcu można się było tego spodziewać, bądź co bądź byłam w jego domu intruzem.

Po chwili pokonał dzielącą nas niewielką odległość.

– Panna Ermintrude Basilwether?

Podniosłam się z fotela, ale zamiast zgiąć się w ukłonie, podałam mu do uściśnięcia dłoń obciążoną w koźlącą skórkę. Chciałam go trochę zbić z tropu. Ale to on wprawił mnie w konsternację, pochylając się i składając na rękawicze pocałunek.

Spiesznie cofnęłam dłoń, czując, jak pąsowieją mi policzki.

– Wasza lordowska mość! – zapiszczałam, ponieważ strach podniósł mi głos o oktawę lub dwie, a wskutek tego, że kolana ugięły się pode mną bez mojej zgody, klapnęłam z powrotem na fotel.

– Rozjaśnimy trochę te egipskie ciemności – powiedział wyraźnie zde gustowany żalobnym półmrokiem. Zapalił stojącą na stole lampę i zajął fotel naprzeciwko. – Panno Basilwether, czy będzie pani uprzejma zdradzić mi, jakież to zdarzenie doprowadziło pani jakże uroczy strój do takiej dewastacji?

Nie wyczułam w jego głosie kpiny, więc... czemu nie? Opowiedziałam mu o wszystkich swoich perypetiach, pomijając jedynie milczeniem prawdziwy powód mojego przyjazdu oraz spotkanie z Sherlockiem. Miałam zamiar ubawić nieco hrabiego i chyba mi się udało. Uśmiechnął się, kiedy opisywałam mu Bokobrodziastego, wyszczerzył zęby, słysząc, jak Jezzie katapultowała mnie przed pubem, a nawet zachichotał, kiedy relacjonowałam mu utarczkę z właścicielem zajazdu. Gdyby nie to, że był w ciężkiej żalobie, z pewnością głośno by się roześmiał.

Myślę jednak, że hamowały go bardziej wymogi etykiety niż ból po stracie żony. Snując opowieść, obserwowałam jego oczy niemal równie czarne jak czupryna, inteligentne, przenikliwe, duże, szeroko rozstawione nad wydatnymi kośćmi policzkowymi. Na portrecie brakowało niezwyklego ognika, który czasem je rozświetlał. Nie sądzę zresztą, by jakkolwiek artysta zdołał oddać tak ulotny szczegół na płótnie. Nienaganna powierzchowność i sposób bycia hrabiego, od świeżo wykrochmalonego kołnierzyka po ujmujący uśmiech, sprawiały, że wydawał się wzorcem kindersztuby i dobrego smaku. A jednak błysk pojawiający się w jego spojrzeniu sugerował coś zgoła innego.

Cechowała go trudna do określenia maniera, jakaś zbyt duża pewność siebie. Kiedy wyjaśniałam mu, jakim cudem trafiłam do Dunhench Hall, i zaczęłam przepraszać za swoje najście, przerwał mi:

– Oczywiście, że może się pani tu zatrzymać tak długo, jak tylko pani sobie zażyczy, no bo czyż ma pani inne wyjście? Ale zabraniam pani noszenia żaloby, jest pani jedynym barwnym i zabawnym zjawiskiem, jakie od dłuższego czasu tu oglądam. Poinstruję Dawson, żeby się jak najtroskliwiej panią zajęła. – Wstał, ukłonił się i opuścił salon, zanim zdążyłam zamknąć otwarte bezwiednie usta i cokolwiek wydukać w odpowiedzi.

Pocziwa Dawson rozpoczęła swoje zadanie od oprowadzenia mnie po Dunhench Hall, pokazując mi wszystko, prócz – rzecz jasna – ukrytych na tyłach pomieszczeń dla służby. Jednak pokój dzienny, główny salon, jadalnia, bawialnia (a raczej „wybawialnia”, w której damy mogły się na chwilę uwolnić od dymu cygar), pokój muzyczny (gdzie stał spowity w czarną materię fortepian z zamkniętą klapą), sala bilardowa, gabinet myśliwski i biblioteka zostały mi dokładnie zaprezentowane, a ja starałam się jak najszczerzej uśmiechać, spoglądać z zachwytem, ochać i achąć, jakbym nigdy w życiu nie widziała wspanialszej rezydencji. Dunhench Hall był naprawdę klasą samą w sobie, jeśli chodzi o liczbę jelenich poroży zdobiących marmoryzowane ściany oraz niedźwiedziej skór zalegających na parkietach. Najlepsze jednak było jeszcze przede mną. Udałyśmy się na górę po wyłożonych chodnikiem koralowej barwy głównych schodach do wilgotnej, przepojonej boskimi woniami oranżerii ze szklanym dachem, tonącej w blasku słońca (wnioskuję, że szklarnie są

zwolnione z obowiązku zasłaniania czarną krepu), z której przechodziło się do prywatnego saloniku, gdzie – jak się domyślam – pan i pani Rudcliff mogli napawać się urodą storczyków w zacisznym odosobnieniu. Ściany tego przyjemnego pokoiku zdobiły liczne delikatne i zwiewne malunki będące balsamem dla moich oczu, umęczonych ciemnymi i ponurymi portretami z parteru.

– Prześliczne akwarele! – zawołałam, i to całkiem szczerze, podziwiając kolejno: dziecko bawiące się ze szczeniakiem, łódkę pod wierzbą, dziewczynę w różanym ogrodzie, damę zajętą lekturą, kotka na parapecie; scenki sztampowe, a jednak zachwycające, dzięki subtelnej kresce i znakomitemu wyczuciu kompozycji. – Kto je namalował? – spytałam, nie znalazłszy na żadnym z obrazków podpisu artysty.

– Jak to kto? Lady Dunhench, panno Basilwether. – Głos Dawson przycichł na wspomnienie drogiej zmarłej. – Miała wielki talent. Możemy przejść dalej? Myślę, że spodobały się pani pokoje gościnne, które dla pani przygotowaliśmy.

Przyjęłam propozycję z należytym entuzjazmem i po chwili znalazłyśmy się w długim korytarzu prowadzącym do pokoi sypialnych, które urządzono i nazwano na cześć wszystkich kolorów tęczy. Pokój zaaranżowany w czerwieni nosił nazwę Makowego, pomarańczowy – Morelowego i tak dalej. Każdy był ucztą dla oka, o ile, rzecz jasna, ktoś lubi taką powódź rozmaitych odcieni jednej barwy na tapetach, dywanach, zasłonach, abażurach i pościeli.

– Który by pani najbardziej odpowiadał, kochanie? Erm... panno Basilwether?

– Ojej, aż trudno mi się zdecydować.

– No to umieścimy panią w Pokoju Paprociowym, pasującym do pani sukni.

– Bardzo lubię zieleń – przyznałam – chociaż moja suknia nadaje się obecnie do wyrzucenia.

– Ależ skąd, kochanie... to znaczy panno Basilwether. Nie miną dwa pacierze, jak przygotujemy dla pani nową wierzchnią spódnicę. – Ujęła mnie troskliwie za łokieć, kierując w głąb korytarza, a doszedłszy do drzwi, wyszukała w zawieszonym u paska pęku stosowny klucz i wpuściła mnie do pokoju, a raczej apartamentu składającego się z buduaru, garderoby i sypialni, urządzonego z wielkim smakiem. Wszystko było tu utrzymane w spokojnych, pastelowych barwach: brzoskwińowej, ecru, blad różowej, kremowej, cytrynowej i białej. Przyglądałam się delikatnym „krzeselkom dla dam”, misternie rzeźbionym, z tapicerowanymi okrągłymi siedziskami i oparciami, półokrągłej kanapie powielającej krzywiznę stojącego przed nią szerokiego okrągłego pufu, koronkowe abażury... Nad toaletką wisiało okrągłe lustro w falowanej złotej ramie. Przepyszna biała leżanka wyglądała jak zaprojektowana, by otaczać drzemającą osobę niczym burty łodzi. Nawet szafy były pomalowane na biało.

Dawson podreptała w ich stronę i otworzyła jedną z nich, ja natomiast zatrzymałam się przed sporą akwarelą pozostawioną na sztaludze.

– Czy to pokoje lady Dunhench? – spytałam, czując się trochę dziwnie i ścisząc głos do szeptu, jakbym się bała przepłoszyć ducha.

– Tak, panno Basilwether – przytaknęła Dawson zajęta wyjmowaniem ubrań z szafy.

– I ta akwarela jest również jej dziełem?

– Tak, proszę pani.

Buduar lady Felicity można by nazwać pracownią, pełno w nim było stolików, koszyków i obrotowych stojaków z akcesoriami malarskimi. Ale moją uwagę przykuła akwarela odmienna od tych, które tu widziałam. Malunek przedstawiał kobietę w rdzawoczerwonej amazonce dosiadającą gniadego konia na tle chaty i leśnego krajobrazu, jednak kompozycja była okropna i pełna szkolnych błędów. Chrapy zwierzęcia niemal wychodziły poza lewą krawędź arkusza, kierując wzrok patrzącego poza obraz. Artystka nie wydawała się zainteresowana wiernym oddaniem wizerunku konia czy budynku, namalowanych wyjątkowo nieudolnie. Mający w tle las był równy, płaski i monotony – dlaczego nie domalowano jakiegoś pagórka lub choćby pasących się w oddali owiec? Drzewa wyglądały topornie, z maźniętymi ciemną farbą prostymi konarami sterczącymi pod dziwnym kątem, bez żadnych malowniczych krzywizn. Ściągnęłam brwi, szukając usprawiedliwienia dla utalentowanej przecież pani domu.

– Czy to obrazek sprzed lat? – spytałam Dawson.

Gospodyni odwróciła się w moją stronę z całym naręczem fatałaszków w ramionach.

– Ten? Nie, farba jeszcze nie zdążyła wyschnąć. Pani namalowała go w dniu, w którym... –

urwała przejęta i minęła mnie w pośpiechu, nie dokończywszy zdania. Widać było, że chce jak najszybciej opuścić pokoje swojej nieszczęsnej chlebobawczyni. – Tędy, proszę pani. – Jej głos drżał, gdy wskazała mi kierunek.

Kiedy wyszłam za nią na korytarz, uświadomiłam sobie, jakie miała zamiary.

– Z pewnością nie spodziewa się pani, że będę nosić ubrania po nieszczęśliwie zgasłej nieboszczce!

– A dlaczego by nie, kochanie? Co jej teraz z nich przyjdzie? – Dawson pozwoliła sobie na nieoczekiwaną poufałość. Jednak w jej spokojnym na pozór głosie pobrzmiwała nutka hysterii.

– Ale ja jestem dość wysoka, jak pani widzi.

– To nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia.

Więcej niż nutka. Cały akord hysterii. Uznałam, że najbezpieczniej będzie milczeć, i udałam się za nią do Pokoju Paprociowego jak posłuszny osiołek do stajni. Ale myśli galopowały w mojej głowie w wielu kierunkach.

Dawson poleciła lokajowi przynieść na górę moją torbę i parasolkę oraz wezwać pokojówkę o imieniu Jill. Słuchając budzących niepokój poleceń, których udzielała dziewczynie, pochyliłam się, by żadna z kobiet nie zorientowała się, co robię, wyciągnęłam z gorsetu sztylet i schowałam go szybko w torbie, zapewniając samą siebie stanowczo i cicho, że nie ma możliwości, by Jill odkryła, że mój gors wypełniają szczelnie papier, banknoty i inne niezbędne mi przedmioty. Nie, nie powinienam się niczego obawiać.

Dawson pomogła mi zdjąć zieloną suknię, a Jill powiesiła na krześle mój zapasowy strój, czyli nankinową suknię z falbankami, oświadczając, że jest uroczy, ale nie dość elegancki na kolację. A zatem, kiedy Dawson uzbrojona w nożyczki, igłę i nici zajęła się zastąpieniem mojej podartej spódnicy wierzchniej podobną, „pożyczoną” z jednej z sukien wyjętych z szafy, Jill podjęła wyzwanie uczynienia mnie godną współbiesiadowania z hrabią i kazała mi przymierzać po kolei wieczorowe stroje Flossie. I chociaż swobodnie się w nie mieściłam, zgodnie z moimi przewidywaniami wszystkie były za krótkie, czemu należało w jakiś sposób zaradzić.

W trakcie kilkugodzinnych przeróbek i przymiarek rozmowa w naturalny sposób zesłała na tematy związane z modą. Wyraziłam podziw dla ubiorów lady Felicity, przemycając przy okazji pytania na jej temat. Jill i Dawson bardzo chętnie i ciepło wspominały swoją byłą panią jako promyczek słońca, śpiewające ptaszę i zesłanego z niebios anioła. Sterując rozmową w stronę konkretniejszych informacji, dowiedziałam się, że Felicity lubiła układanie bukietów, przejażdżki faetonem po parku, wyklejanie szkatulek muszelkami i temu podobne damskie rozrywki. Odkryłam, że śniadaniowe bułeczki najbardziej smakowały jej z dżemem z jeżynomalin, że nie znosiła cynaderek z fasolą czy bez niej i była miłośniczką lodów. Jednak nie udało mi się poznać szczegółów jej śmiertelnej choroby i rozstania z doczesnością. W tej kwestii zarówno gospodyni, jak i pokojówka zbywały mnie ogólnikami, jakby opowiadały o jakiejś fikcyjnej postaci.

Było to bardzo deprymujące.

Nie mogłam przypisać tej zdawkowości ograniczeniu umysłowemu rozmówczyń, ponieważ obie zdradzały przejawy żywej inteligencji. Jill na przykład sprytnie dopasowała na mnie niektóre z sukien po nieboszczce, ściskając zbyt luźne partie szerokim sznurowanym pasem. Z długością był mniejszy kłopot, ponieważ ostatnie trendy w modzie dopuszczały, by rąbek spódnicy kończył się tuż pod kostką, zamiast wlec się po ziemi, więc problem okazał się mniejszy, niż sądziłam, chociaż trzeba było naciągnąć dół sukni.

Koniec końców Jill z zadowoleniem ubrała mnie w zwiewną kreację w kolorze czerwonego wina, obnażającą ramiona i obojczyki. Potem zapięła mi pod szyją prześwitującą pelerynkę i zabrała się do ujarzmiania moich rozwichrzonych włosów. Przez cały czas podejmowałam dalsze próby podtrzymania rozmowy, wpytując o lorda Cadogana. Czy chlebobawca obu pań miał jakieś słabostki i dziwactwa? Niewiele się dowiedziałam.

Kiedy Jill przejechała sto razy szczotką po moich niesfornych splotach w nadziei ich uładzenia, udało jej się doprowadzić je do jako takiego porządku i upiąć na czubku głowy, zabezpieczywszy je całą armią metalowych spinek i klamerek. Uzupełniła moją koafiurę jedwabnymi różami dopasowanymi barwą do różowej aksamitnej szarfy, ukrywającej brak w środkowej części sukni jak pas smokingowy. Po zdjęciu pelerynki przyjrzała mi się krytycznym okiem, by orzec, że wyglądam „zniewalająco”, jednak zaraz potem pytała, czy życzę sobie oprószenia twarzy i ramion pudrem ry-

żowym. Odmówiłam. Zarówno Jill, jak i pani Dawson stwierdziły, że jestem śliczna jak obrazek, i wyraziły żal, że nie mogą sama tego docenić, jako że wszystkie lustra w domu spowijał kir. W ciichości ducha ośmieliłam się zadać temu kłam: nikt nie zasłonił lustra w sypialni lady Felicity. Następnie obie panie pozwoliły sobie odejść, kłaniając się nisko i zostawiając mnie sam na sam z własnymi myślami.

A myśli te były zróżnicowane i niepokojące do tego stopnia, że wyciągnęłam zza głębokiego dekoltu w kolorze wina papier i ołówek, by część z nich zanotować. Oto co napisałam:

• Jeśli Flossie zgasła w wyniku tak bardzo zjadliwej choroby, że konieczne było spopielenie jej zwłok, dlaczego jej sypialni nie odkażono, nie zamknięto na trzy spusty i nie zarządzono kwarrantanny?

- Dlaczego lustro w jej pokoju (ale w żadnym innym) pozostało niezasłonięte?
- Dlaczego jej ostatnia akwarela wygląda tak dziwnie?
- Dlaczego Dawson i Jill włożyły tyle zapachu w ubranie mnie w stroje nieboszczki?
- Dlaczego nie chcą mówić wprost o jej odejściu?
- Dlaczego hrabia zaprosił mnie na kolację? Przecież jest pogrążony w żałobie.
- Jak powiadomić Sherlocka, gdzie obecnie przebywam?

Chociaż po spisaniu listy pytań wsunęłam ją pod gors czerwonej jak wino sukni, myśli kołatały się w mojej głowie tak niespokojnie, że zaczęła mnie drażnić agresywna zieleń wystroju przydzielonej mi sypialni. Opuściwszy ją, zesłam na parter, odszukałam salonik ze stolikiem na jednej nodze i usiadłam przy nim w fotelu. Jak na każdym takim stoliku w szanującej się angielskiej rezydencji i tu także znalazło się miejsce na złowrogo wyglądającą Biblię, figurkę greckiej bogini trzymającej w dłoniach tackę na karty wizytowe, wazon z kwiatami, kilka małych fotografii w stojących owalnych ramkach i srebrną tacę na popołudniową pocztę. Na górze stosiku korespondencji leżał list z wypisanym na maszynie adresem. Przyglądając mu się z zaciekawieniem, stwierdziłam, że znam adres nadawcy, również wystukany na maszynie. Był to list, który Tish obiecała wysłać do Caddiego.

Narzuciwszy sobie wewnętrzną dyscyplinę (nie miałam bowiem wiarygodnego wytłumaczenia tego, że przeglądam cudze listy), postanowiłam skupić uwagę na czymś innym. Spostrzegłam leżący na blacie sporawy przedmiot, w którym z trudem można się było dopatrzeć podobieństwa do książki ze względu na bogato zdobione, pikowane aksamitne okładki z reliefowymi medalionami. Kiedy jednak wzięłam to poduszkowate dziwo do ręki, otworzyło się samo i po chwili gapiałam się na fotografię wsunięte w tekturowe okienka. Po raz pierwszy w życiu miałam do czynienia z albumem zdjęć i przyznaję, że trafił mi się wyjątkowo okazały egzemplarz. Na początku znajdowały się pełne smug i plam srebrzyste dagerotypy, pamiętające chyba narodziny sztuki fotograficznej przed niemal półwieczem. Były to zdjęcia Larimera Traska Rudcliffa, piątego hrabiego Dunhench, oraz jego żony Olgi Thorpe Rudcliff.

Zapaliwszy lampę, by ułatwić sobie oglądanie zdjęć, przeskoczyłam kilka pokoleń Rudcliffów, by skoncentrować się na nowszych papierowych podobiznach, utrzymanych w odcieniach sepii, w poszukiwaniu mojego gospodarza Cadogana Burra Rudcliffa numer dwa. I znalazłam go na obowiązkowym zdjęciu ślubnym w towarzystwie damy będącej zgodnie z podpisem jego pierwszą żoną, Myzellą Haskell Rudcliff. Miała na sobie zwoje białego materiału i wydawała się lekko przyduszona szydełkowymi koronkami i kwiatami pomarańczy. Pan młody pozował w cylindrze i fraku. Jakimś dziwnym sposobem udało mu się zachować wesoły wyraz twarzy, mimo że musiał trwać w bezruchu przez całą minutę.

Następne w kolejności było pośmiertne zdjęcie Cadogana Burra Rudcliffa Pierwszego, prawdopodobnie ojca Caddiego, ułożonego w trumnie tak misternie zdobionej, że mogłaby uchodzić za sarkofag.

Po jednym zdjęciu pośmiertnym ukazywały mi się kolejne. Cadogan Burr Rudcliff Trzeci, zapewne syn Caddiego, owinięty w biały całun, zgasły w wieku dwóch i pół lat. Potem jakaś seniorka rodu Rudcliffów imponującej tuszy, być może matka Caddiego. Następnie mała dziewczynka, Angelica Myzella Rudcliff, z pewnością jego córeczka, która przeżywszy trzy lata, zmarła na dyfteryt i spoczęła w trumience wyłożonej białymi falbankami i koronkami.

Na kolejnych kartach albumu natrafiłam na jeszcze jedno ślubne zdjęcie, na którym Cadogan Burr Rudcliff Drugi stał w całej okazałości nad siedzącą na krześle drobną Felicity Glover Rudcliff alias Flossie. Rozpoznałam ją od razu, ponieważ wyglądała dokładnie tak jak jej bliźniaczka Letitia Glover, moja klientka, chociaż o wiele bardziej kobieco w tradycyjnej białej sukni z kaskadami koronek i w wianku z pąków róż przytrzymującym welon.

Kilka czarnych kart wciąż czekało na wypełnienie, jednak pamiątka ślubu była ostatnim zdjęciem w rodzinnym albumie. Zamknęłam go zatopiona w myślach.

Nie było w nim pośmiertnej fotografii Flossie.

Co jeszcze bardziej znamienne, brakowało też zdjęcia martwej Myzelli, pierwszej żony hrabiego.

Spostrzeżenie to zaburzyło mój spokój ducha. I to bardzo.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kolacja jeszcze bardziej pogłębiła moją dezorientację. Lokaj wskazał mi krzesło – a raczej coś w rodzaju bogato zdobionego tronu z oparciami – na szczycie długiego stołu nakrytego białym obrusem, na którym pyszniły się kryształowe i srebrne naczynia godne większej okazji. Zająłem miejsce i czekałem, zerkając na pusty fotel na przeciwległym krańcu blatu

Lord Cadogan Rudcliff zjawił się haniebnie spóźniony, zajęty przeglądaniem zgarniętej po drodze popołudniowej poczty. Jeden z listów – ten od Tish, jedyny pisany na maszynie! – cisnął w ogień, nie rozerwawszy nawet pieczęci. No proszę. Caddie naprawdę był prostakiem.

Odłożywszy resztę korespondencji na konsolę, spojrział w moją stronę i uklonił się z przesadną grzecznością, zanim lokaj pomógł mu się usadowić na tronie *vis-à-vis* mojego. Choć w jadalni płonęła chyba cała setka świec – w żyrandolu, w świecznikach na stole i na kredensie – pomieszczenie wydało mi się mroczne i ogromne, co od razu nasunęło skojarzenia z pierwszą kolacją, którą mały lord Fauntleroy spożywał w towarzystwie swojego srogiego dziadka. Odniosłam wrażenie, że jestem równie bezbronna jak tamto anielskie dziecko i że podobnie jak ono jestem bytem fikcyjnym. Wiedziałam przecież, że jestem uzurpatorką, śmiesznym przebierańcem w pożyczonej sukni, a na dodatek uwierała mnie świadomość, że głęboki dekolt obnaża chudość moich ramion i szyi.

– Czy dobrze się pani czuje dzisiejszego wieczoru, panno Basilwether? – spytał lord Rudcliff nadzwyczaj ugrzecznionym i fałszywym tonem.

– Wyśmienicie i jestem waszej lordowskiej mości wdzięczna za gościnę.

– Proszę mi mówić Caddie.

W tej samej niefortunnej chwili, kiedy narzucał mi się ze swoją raczej onieśmielającą poufałością i kiedy stawiano przede mną talerz zupy żółwiowej, zauważyłam znajdującą się na środku stołu elegancką platerowaną paterę na owoce, która – choć nie była większa ani bardziej przeładowana tandetnymi ornamentami niż najpowszechniej spotykane tego rodzaju naczynia – od razu wzbudziła mój niepokój. Odlewanej nogi patery nie zdobiły bowiem sztamkowe łabędzie, pastuszkowie czy amorki. Nie, była to replika posągu, który stał przed frontem Dunhynch Hall! Ozdobą środka stołu mojego gospodarza była jego dostojna i lśniąca miniaturowa podobizna.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że ustawiona przed domem statua również przedstawia Caddiego. Zapomniałam o jej istnieniu, teraz jednak mój umysł od razu skojarzył posąg, ziejący pychę portret z głównej sieni oraz widniejący przede mną element zastawy stołowej, podsuwając mi myśl, że Caddie jest zapatrzony w siebie nawet bardziej, niżbym to mogła podejrzewać.

Z miejsca obudził się we mnie duch przekory, jednak udało mi się utrzymać w roli niezbyt rozgarniętej damy. Spojrzałam na oświetlony rzęsiście stół i zawołałam:

– Och, jakaż piękna ozdoba środka stołu! Zapewne jest pan wielbicielem lorda Byrona.

– Lorda Byrona? Daleko mi do tego! – zareagował żywo mój gospodarz. – Lord Byron był niewieściuchem z koślawą stopą!

Niewinnie zatrzepotałam w jego stronę rzęsami.

– Ależ figura dźwigająca owoce to Byron jak żywy!

Z przyjemnością odnotowałam, że poczerwieniały mu policzki. Mimo że miał przerośnięte ego, nie był na tyle bezczelny, by się przyznać, że wzmiankowany przedmiot ukształtowano na jego podobieństwo. Zaperzył się tylko:

– Do diaska z przeklętą paterą! – Ale w okamgnieniu opanował się i odzyskał dobre maniere i udawany urok osobisty. – Ale nie mówmy już o mnie. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tobie, Ermintrude – zwrócił się do mnie po imieniu z równą nonszalancją, z jaką sięgnął po sucharek, by zagryźć łyk zupy. – Gdzie się wychowywałaś?

– We wszystkich możliwych miejscach między Walią a Szkocją. – Pragnąc skierować rozmowę na inne tory, postanowiłam poruszyć temat przepysznego dania, którym się właśnie raczyłam. – Przyznam, że zupa żółwiowa to dla mnie wielka zagadka. Jak się wydobywa żółwia ze skorpury?

– Myślę, że dama nie powinna zaśmiecać sobie tym główki. Powiedz mi, Ermintrude, czy jesteś krewniaczką Basilwetherów z Belvidere w hrabstwie Essex?

Ojej. Wybór pseudonimu okazał się w tych okolicznościach nad wyraz nieprzemysłany.

– Bardzo daleką – odpowiedziałam. Na całe moje szczęście w tej samej chwili podano rybę, co na jakiś czas zwolniło mnie z konieczności składania wyjaśnień. Do każdego dania lokaj nalewał nam do kieliszków inny trunek, wolałam jednak sączyć wodę.

– Nie lubisz wina, Ermintrude? A może znajomi mówią ci Trudy?

Pominęłam pierwsze pytanie milczeniem, by udzielić odpowiedzi na drugie:

– Nie, jeśli chcą uniknąć obrażeń ciała.

Wybuch śmiechu był stanowczo zbyt serdeczny jak na niedawno owdowiałego męża, co jeszcze bardziej wzmogło moje skrępowanie. W jego natarczywym spojrzeniu i przesadnym zainteresowaniu moją osobą było coś perfidnego, wyrachowanego, a nawet drapieżnego.

– Moja matka była przyjaciółką jej księżęcej mości Wilhelminy Basilwether – powiedział. – Cóż to za wspaniała dama.

Słyszac drwinę w jego głosie i nie mając pojęcia, jak brzmi imię mamy Tewky’ego (choć „Wilhelmina” była nawet w jej przypadku stanowczo zbyt staroświecka), znalazłam się w kropce. Nie mogłam bezpiecznie stwierdzić, że w życiu nie słyszałam o lady Wilhelminie, chociaż wiedziałam, że mógł ją sobie wymyślić. Więc odpowiedziałam wymijająco.

– Oczywiście, że znam księcia i księżnę. Czy Wilhelmina to imię jego matki?

– Tak, w rzeczy samej! A jakie łączy was pokrewieństwo? To twoja babka?

– Stryjeczna.

– Doprawdy? Nieprawdopodobna wiadomość, gdyż taka księżna nie istniała w naszej rodzinie.

Teraz ja oblałam się rumieńcem i ogarnęła mnie wściekłość, że drań tak umiejętnie i skutecznie zapędził mnie w kozi róg.

– No cóż... – zaczęłam kręcić – widać myślałam o mojej stryjecznej babce Mehitabel. Nigdy nie miałam głowy do pamiętania rodzinnych paranteli.

– A jednak przyjechałaś do Threefinches, żeby badać genealogię swojego rodu?

A niech to diabli porwą! Wpadłam we własne sidła! Wyteżywszy całą swoją siłę woli, odrzekłam wyniośle:

– Tak, ponieważ pragnę pokonywać własne słabości.

Ponownie parsknął głośnym i nieprzyjemnym śmiechem. Zastanawiałam się nawet, czy nie należałoby unieść się godnością i wyjść z lodowatą miną, jednak zjawił się lokaj z pieczystym, czyli daniem mięsnym, którym był zajac w czerwonym winie, podany z purée z rzepy. Wprawdzie już całkowicie straciłam apetyt i nawet wniesienie mojego ulubionego dania nie mogłoby go przywrócić, jednak postanowiłam zająć się zawartością talerza z udawanym zapałem i przez dłuższą chwilę nie podnosiłam oczu na siedzącego naprzeciwko współbiednika.

Caddie podobnie jak ja zachowywał przez jakiś czas milczenie, więc mogłam się dalej dąsać. Wreszcie przyszedł jednak czas, kiedy musiałam zobaczyć, co robi mój gospodarz, i spojrzałam na drugi koniec stołu.

Caddie przyglądał mi się bezceremonialnie z jadowitym uśmiechem na ustach, oparłszy łokcie na blacie.

– A zatem, moje kochanie – zagał bez najmniejszego skrępowania – kim naprawdę jesteś?

– Z pewnością nie jestem pańskim kochaniem – odparowałam, zanim jeszcze dotarł do mnie sens jego pytania.

– No dobrze, ale wytłumacz mi, dlaczego siedzisz przy moim stole ubrana w drugą najlepszą suknię wieczorową mojej żony?

Spojrzałam na niego wilkiem po części dlatego, że wspomniał o nieszczęsnej Felicity w tak obojętny i pozbawiony żalu sposób, ale głównie dlatego, że nie miałam pojęcia, co mu odpowiedzieć. Jeszcze nigdy nie dałam się aż tak haniebnie przechytryć.

Lord Cadogan uśmiechnął się do mnie krzywo z dalekiego krańca stołu. Miałam ogromną ochotę czymś w niego rzucić.

– Może ci pomogę – powiedział tonem, w którym pobrzmiwało więcej triumfu niż chęci pomocy. – Ponieważ całe życie poświęciłem studiom nad płcią piękną, uważam, że jesteś o wiele młodsza, niż osoba, za którą chciałabyś uchodzić. Ze względu na wysoki wzrost udaje ci się czasem wmówić postronnym, że jesteś już kobietą, chociaż jeszcze niedawno byłaś małą dziewczynką, prawda? Zbiegłaś z domu przed surowym papą, zgałdem?

Z całego jego wyводу najbardziej zafrapowała mnie – ze względu na swoją niecodziennosc – fraza: „studia nad pcią piękną”.

Mój gospodarz porzucił już wszelkie pozory grzeczności.

– Odpowiadaj! Jesteś uciekinierką, prawda?

– Muszę nią być, skoro jest pan znawcą i tak twierdzi.

– Nie przekomarzaj się ze mną! – Podniósł się z miejsca i zobaczyłam, że tłąca się do niedawna iskierka groźby w jego oczach zapłonęła żywym ogniem. Stawałam twarzą w twarz z niejednym rozzłoszczonym mężczyzną, ale tym razem było coś zupełnie nowego. W furii tego usiłującego mnie zastraszyć (i jakże przystojnego!) arystokraty pobrzmiwał jakiś mrozący krew w żyłach ton. – Jak się nazywasz?

Z przestachu udzieliłam mu nazbyt zuchwałej odpowiedzi:

– Czemu pan pyta? Co pan robi z uciekinierkami?

Pochyliwszy głowę jak ruszający do natarcia byk, zaczął powoli zmierzać w moją stronę.

– Trzymam je pod kluczem, aż same zaczynają skomleć, że chcą wrócić do domu!

Spojrzał na mnie tak, jakby miał mnie za chwilę pochwycić! Zerwałam się z krzesła i sięgnęłam po sztylet, który zawsze nosiłam w gorsecie... a niech to wszyscy diabli! Odważna suknia nie wymagała gorsetu, więc byłam bezbronna. Odwróciłam się na pięcie i rzuciłam do ucieczki, ale zderzyłam się z lokajem, który właśnie wnosił do jadalni tacę z deserami. Nastąpiła erupcja czekoladowo-waniliowego wulkanu, który zalał lepką lawą mnie i służącego (miałam nadzieję, że hrabiego Dunhencha także, choć nie było czasu tego sprawdzić), a po chwili usłyszałam wypowiedziany niezbyt głośno rozkaz: – Łapcie ją!

Lokaje wykonali go bez najmniejszego wahania, jakby chodziło o zabranie ze stołu jakiegoś naczynia. Ciekawe, jakie inne niegodziwe polecenia wypełniali dla niego w przeszłości.

– Zamknijcie ją w jej pokoju.

I tym sposobem zostałam wyprowadzona z jadalni przez dwóch trzymających mnie za ręce osiłków. Próbowałam, rzecz jasna, stawiać opór, jednak nie mogłam podjąć prawdziwych starań, by się wyslizgnąć z ich uchwytu, ponieważ skąpa i zwiewna suknia od razu by się ze mnie zsunęła. Nie mogłam też krzyżeć, gdyż nienawistny Caddie podązał tuż za nami i położywszy mi na ustach łapę, przyciskał ją tak mocno, że nie byłam nawet w stanie jej ugryźć.

Aż niespodziewanie przyszła chwila, w której z radością przestałabym się szarpać, jednak przymusiłam się, by dalej wic się w ich żelaznym uścisku. A kiedy wszyscy trzej wepchnęli mnie do pokoju, przekręcili w zamku klucz i odeszli, z poczucia obowiązku rzuciłam się z pięściami na więżące mnie drzwi, krzyżąc w ślad za oprawcami:

– Wstyd, panowie! Dunhench, nie jest pan dżentelmenem!

Po czym zgasiłam lampę gazową i pozwoliłam sobie na uśmiech. Owszem, byłam lekko rozżalona, że mnie tak bezceremonialnie potraktowano, jednak poczucie upokorzenia słabło wobec świadomości, że znalazłam się tam, gdzie najbardziej chciałam trafić. Rudcliff i jego damscy bokserzy nie dogadali z panią Dawson szczegółów i zamknęli mnie nie w tych pomieszczeniach, co trzeba. Może zasugerowali się tym, że miałam na sobie suknię lady Felicity? Zostałam bowiem uwięziona w jej apartamencie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Poszukiwanie było pasją mego życia. Już jako mały szkrab włóczyłam się po zagajnikach Ferndell, wypatrując różnych ciekawych znalezisk: kolorowych kamyków, sroczego gniazda, może nawet szkieletu... Teraz, zrzuciwszy z siebie pożyczone fatałaszkę i wskoczywszy w szlafrok, byłam gotowa z takim samym zapalem wziąć się do przeszukiwania pokoi lady Felicity.

Najpierw jednak, ujrzawszy siebie w wielkim okrągłym lustrze nad jej toaletką, zatrzymałam się na chwilę i zmarszczyłam czoło. Skoro pani domu zmarła w swojej sypialni, dlaczego w pierwszej kolejności nie zasłonięto znajdującego się tu lustro? Wszystkie inne dokładnie przykryto kirem, a o tym jednym zapomniano.

Wyglądało na to, że jednak nie pożegnała się z życiem, a jeśli nawet, to nie w tym miejscu.

Hm.

Zanotowałam w pamięci, że trzeba będzie się nad tym później zastanowić, po czym przystąpiłam do tropienia śladów, choć nie bardzo wiedziałam, czego szukam. Zajrzałam do wszystkich buteleczek i słoiczków z mlecznego szkła stojących na komodzie. Uniosłam bieżnik z lnianego płótna, sprawdzając, czy nie ma tam ukrytego listu. Wsunęłam ręce pod halki i pończochy we wszystkich szufladach komody. Podeszłam do biurka lady Felicity, obejrzałam kałamarz, przeczytałam wszystkie poczynione przez nią notatki („Potrzebne mi są: karmin alizarynowy, szarość Payne’a, róż pompejański, indygo”) i obejrzałam w lustrze suszkę do papieru w nadziei, że odbiły się na niej jakieś podejrzane słowa – niczego takiego nie zauważyłam. Przeszukałam jej ubrania, zajrzałam za ciężką szafę, potem za lustro i za wiszące na ścianach obrazy. Podniosłam każdy róg dywanu. Sprawdziłam, czy okrągłe tapicerowane oparcia i siedziska delikatnych krzesełek nie mają ukrytych kieszeni. Zbadałam, jak solidne jest łóżko z czterema kolumnami, przyklękłam, żeby zajrzeć pod łóżko, ba, nawet wyciągnęłam stojący tam nocnik.

Przebiegając z pokoju do pokoju jak pies gończy, który nie może złapać tropu, z pół tuzina razy minęłam stojące na sztaludze ostatnie, niezwykle frapujące, akwarelowe dziełko lady Felicity i za każdym razem ściągałam na jego widok brwi. W tym nieporadnym bohomazie było coś zastanawiającego, coś, co przykuwało moją uwagę. Dlaczego namalowała coś tak... tak dyletanckiego, żeby nie powiedzieć, tak brzydkiego?

W końcu postanowiłam zapalić świecę i dokładniej przyjrzeć się szczegółom: koniowi w nienaturalnej pozie, spiczasto zakończonym drzewom, które wyglądały zupełnie jak...

Wielkie nieba!

Wyglądały jak duże litery.

Malowidło lady Felicity było sprytnie zaszyfrowaną wiadomością.

Kiedy już wiedziałam, że czubki drzew skrywają litery, z łatwością odczytałam biegnący u góry krajobrazu napis: INANE.

Inane?

Obejrzałam dolną część obrazka w nadziei, że znajdę tam coś, co rozjaśni mi w głowie. Chcąc podkreślić ukryte w czubkach drzew litery, lady Dunhynch... nie, nazwijmy ją Flossie – zaczęłam już o niej myśleć z czułością... Flossie subtelnie pociągnęła je kredką Conté. Byłam pełna podziwu dla jej pomysłowości, kredka Conté jest bowiem często wykorzystywana do podkreślania cieni w akwarelach. Obejrzałam dokładnie dolną część arkusza w poszukiwaniu jej śladów i od razu natrafiłam na A wpisane między koński łeb a szyję, z wodzami zamiast kreski. Muśnięcia na habicie amazonki i jej buta do konnej jazdy wsuniętego w strzemię układały się w dość wydłużone S. Końskie przedudzie i udo tworzyły Y. Narożnik chatki: L. Jej drzwi: kanciaste U. Okno z upiętymi na krzyż firaneczkami: M.

ASYLUM

INANE ASYLUM? Na pewno nie. Chodziło o INSANE ASYLUM, czyli zakład dla obłąkanych.

Och. Och, niebioso, litości, nie. Poczułam przeszywający całe moje jestestwo zimny dreszcz. Ale niestety – o straszliwe fatum! – tak, to mogło być prawdą. Teraz zrozumiałam znaczenie tajemniczego czarnego ekwipażu: był to feralny powóz, którym przyjeżdżali nocą porywacze, by wywieźć ofiarę tam, gdzie czekał ją los gorszy niż śmierć.

Wciąż stałam przy sztaludze skamieniała z przerażenia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Wzdrygnęłam się, mimo że osoba po drugiej stronie robiła to delikatnie, wręcz nieśmiało.

– Kto tam? – zawołałam, kiedy odzyskałam panowanie nad głosem.

– Dawson, panno Ermintrude. Och, panno Ermintrude, poszłam zdjąć kapę z pani łóżka i okazało się, że panią zamknęli tutaj! Nie miałam z tym nic wspólnego, panno Ermintrude!

– Nic się nie stało, Dawson. – Jak każda szanująca się ekscentryczna arystokratka potraktowałam uwięzienie jak błahostkę. – Dam sobie radę, jeśli tylko zechce mi pani przynieść z pokoju moje ubrania. Wolałabym spać we własnej koszuli nocnej.

Wcale nie miałam zamiaru iść do łóżka. Planowałam w jakiś sposób stamtąd się wydostać. Nie miałam jednak najmniejszej ochoty uciekać półnago, a reszta ubrań Flossie była na mnie za duża.

Dawson zakwiliła cicho:

– Ale nie odważę się otworzyć zamka, panno Ermintrude. Jeśli wykorzysta pani okazję, żeby czmychnąć, jaśnie pan wyrzuci mnie z roboty i przyjdzie mi przymierać głodem jak bezdomnemu kocisku!

Odpowiedziałam wyniośle:

– Daję słowo, pani Dawson, że jestem ponad takie nieczyste zagrania. Stanę przy oknie. Proszę się najpierw do mnie odezwać, by się upewnić, że tam jestem, a potem uchyli pani drzwi, wrzuci moje rzeczy do środka i ponownie zamknie mnie na klucz.

– Dobrze... No to... spróbuję, moja złota.

– Dziękuję, pani Dawson – odrzekłam znacznie cieplejszym tonem.

W oczekiwaniu na jej ponowne przyjście przechadzałam się po pokoju, bijąc się z myślami i kwestionując wszystkie dotychczas wysnute wnioski, ponieważ wizja czarnej kaleszy unoszącej w dal przedstawicielkę wyższych sfer wydawała się nieznośnie melodramatyczna. Przecież pojazd ani nie musiał być czarny, ani nie musiał być kaleszą. Równie dobrze nadawałby się do tego celu dowolny ekwipaż: berlina, lando, victoria, faeton i tak dalej. Słyszałam, jak szeptano po kątach, że do zakładów dla obłąkanych wysyłano często kobiety, których obecność była dla krewnych niewygodna. Każdy dobrze prosperujący mężczyzna mógł tam zamknąć sprawiającą kłopoty niewiastę pod którymś z tysiąca różnych pretekstów: nerwowość, wybujała duma, czytanie francuskich powieści, kontakty z medium spirytystycznym, strach przed ciemnością, nieposłuszeństwo, zanik wydzielania potu, zbyt częste wybuchy śmiechu – wystarczył którykolwiek z powszechnie uznanych objawów hysterii. Jedynym wymogiem formalnym było zdobycie podpisów dwóch lekarzy, z których jeden mógł być zarządcą którejs z tych piekielnych instytucji. Raz usunięta w ten sposób żona – bo najczęściej były to żony – zostawała ze zrozumiałych względów wymazana z pamięci krewnych i znajomych.

Ale skąd Flossie mogła wiedzieć, że czeka ją taki właśnie los?

Bo wiedziała o tym na pewno. Nie da się inaczej zinterpretować słów ukrytych przez nią na akwareli. I chociaż nie znalazłam w jej pokoju innych poszlak, uświadomiłam sobie nagle, że jednak tam były. Przedmioty, na które nie natrafiłam, nabrały nagle znaczenia dzięki swojej nieobecności. Nie jest przecież możliwe, żeby pewne nieodzowne elementy damskiej bielizny, o których głośno się nie mówi, trafiły z nieboszczką do grobu – czy w tym przypadku do krematorium. Ale jeśli Flossie pozostawała przy życiu i została gdzieś siłą wywieziona, to jest rzeczą oczywistą, iż niektóre drobiazgi będą jej potrzebne, choćby nawet już nigdy nie miała nosić wieczorowych sukien.

W Anglii działało około setki zakładów dla umysłowo chorych. Dokąd, ach dokąd, ją zabrano?

I jak, och jak, zdołam się tego dowiedzieć?

Bardziej palącą kwestią było jednak to, jak się wydostać z Dunhench Hall, a konkretnie z pokoi, w których mnie uwięziono.

Dopiero po dostarczeniu mi przez Dawson torby podróżnej, parasolki i innych drobiazgów mogłam się nad tym spokojnie zastanowić, ponieważ najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby jednak zakraść się na palcach pod drzwi w chwili, gdy otwierała zamek, obezwładnić ją, wyrwać klucz i zamknąć ją w moim byłym więzieniu. Ale dałam kobiecie słowo, że tego nie zrobię.

Nonsens. Wystarczy przecież zakneblować jej usta, uniemożliwiając krzyki, oraz – by mieć gwarancję, że nie zerwie z ust przepaski – związać jej ręce za plecami.

Ale ile czasu minie, zanim ktoś ją znajdzie?

Aczkolwiek...

No dobrze, ale co z uczciwością i honorem?

I tak klóciłam się sama ze sobą w myślach, aż wreszcie przeoczyłam jedyną szansę na ucieczkę, podziękowałam Dawson za przyniesione rzeczy i dałam się ponownie zamknąć na klucz. Że też musiała być tak miłą istotą... Nie zasługiwała, by ją spętać i zakneblować, ściągnąć na nią nieprzyjemności, skazać na wyrzucenie z pracy i los zagłodzonego bezdomnego kota.

Można by się spodziewać, że chaos panujący w mojej głowie trochę przycichnie, ale gdzie tam. „Niech cię licho porwie, Enolu, że wykazałaś się taką głupotą!” – zaskrzeczał wojowniczo wewnętrzny głosik, wywołując we mnie irytację na samą siebie.

Kolejny absurd. „Doskonale sobie poradzisz sama, Enolu”. Głos matki odezwał się nagle głośno i wyraźnie, jakby przemawiała do mnie zza grobu.

W efekcie natychmiast się uspokoiłam, po czym odzyskałam zdolność jasnego myślenia i sprawnego przekuwania myśli w czyn. Zaczęłam od tego, że się przebrałam, nie w koszulę nocną, ale w swoją wygodną i skromną zieloną suknię dzienną, świeżo pozszywaną i połataną. Następnie zgasiłam wszystkie światła, dając postronnym obserwatorom do zrozumienia, że kładę się spać. Zajęłam miejsce przy oknie, nasłuchując cały czas, czy w korytarzu nie rozlegną się czyjeś kroki. Ale za drzwiami panowała cisza. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się już do ciemności i zaczęłam coś widzieć, odchyliłam draperie zasunięte z okazji „niefortunnego kresu życia” Flossie i wyjrzałam na zewnątrz.

Noc była ciemna, bezksiężycowa i bezgwiezdna. Niewiele mogłam dostrzec poza portykiem oświetlonym przez latarnie gazowe znajdujące się po obu stronach głównego wejścia.

Mrok mógłby się stać moim sprzymierzeńcem albo wrogiem, jednak nie wpływało to na wybór drogi ucieczki. Miałam cztery możliwości:

- Numer jeden: wydostać się przez komin. Lubię się wspinać i nie boję się pobrudzić, co jednak będzie, jeśli się tam zaklinuję? Byłam szczupłą, ale być może nie aż tak jak kominiarze, będący w większości mocno małoletni.

- Dwa: zjechać do piwnicy, wykorzystując szyb zsypu do pościeli – ale wówczas pojawi się nowy dylemat, jak się wymknąć niepostrzeżenie z podziemi. Ponadto traktowanie zsypu jak zjeżdżalni było ulubioną rozrywką małych dzieci. Oszacowałam szerokość szybu z tą samą myślą, co poprzednio: a jeśli się zaklinuję?

- Trzy: wyjść przez okno – ale ponieważ widać było przez nie portyk, wywnioskowałam, że znajduję się w nowo dobudowanym skrzydle rezydencji, którego ścian nie pokrywały pnącza umożliwiające bezpieczne zejście na dół. Innym rozwiązaniem byłoby stanąć na zewnętrznym parapecie, chwycić się gzymsu, podciągnąć na dach i przepelznąć do starej, obrosniętej bluszczem części domu. Ponownie spojrzałam za szybę. Wzdrygnęłam się i pokręciłam głową: wyjątkowo ryzykowna przeprawa, zarówno podciąganie się, jak i pełznięcie. Przyznawałam wprawdzie rację Darwinowi, że jesteśmy spokrewnieni z szympanсами, jednak natura nie wyposażyla mnie w przeciwstawne paluchy u nóg.

- Cztery: zwiesić się z okna i zejść jak pajak po murze. Ale jak? Przyglądałam się ścianie i nie miałam zielonego pojęcia, co robić. Kamienie, z których zbudowano mury, były gładko ociosane i nie mogły zapewnić stopom i dłoniom należytego oparcia. Nie dostrzegłam ani rynny, ani ułatwiających wspinaczkę przypór, ani – niestety – bluszczu. Co zrobić, żeby dostać się na dół?

I wtedy mnie olśniło: odpowiedź była tak oczywista, że aż klepnęłam się dłonią w czoło za karę, że nie pomyślałam o tym wcześniej. Posłużę się sprawdzoną, staroświecką metodą, wiążąc zaimprowizowaną linę z prześcieradeł i poszewek.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oczywiście musiałam poczekać do późnych godzin nocnych, by mieć pewność, że wszyscy mieszkańcy Dunhench zapadli w głęboki sen. Nie mogłam przyświecać sobie lampą, bo ktoś mógłby zauważyć moje poczynania, jednak czas mi się nie dłużył i nie czułam ani senności, ani nudy zajęta związaniem rogów płóciennej pościeli. Zadanie to okazało się trudniejsze, niżby się mogło wydawać, zwłaszcza w egipskich ciemnościach. Łączyłam prześcieradło z prześcieradłem, poszewkę z poszewką, wplatając między nie wyszywaną wełną kapę i ciągnąc z całych sił za końce, by wzmocnić węzeł, ten jednak od razu w jakiś magiczny sposób się rozsypywał. Pomyślałam z goryczą, że mój brat Sherlock z pewnością napisał jakiś pean na temat wyższości węzłów stosowanych przez żeglarzy i alpinistów, lecz w swoim nowym więzieniu nie mogłam liczyć na brata ani na jego peany. Co robić?

„Enolu, myśl” – rozległ się w mojej głowie głos ducha matki.

Gdy posłusznie zaczęłam wysilać umysł, przypomniały mi się nowomodne agrafki, które widziałam w górnej szufladzie toaletki lady Felicity. Niewątpliwie trzymała je tam na wypadek pilnej potrzeby spięcia dwóch kawałków ubrań.

Aha.

Podziękowałam w duchu zarówno Flossie, jak i mojej matce, po czym zajęłam się zabezpieczaniem miejsc, w których doważałam cięższe tkaniny, ale przede wszystkim wzmocniłam solidnie poczwórny supeł mocujący moją linę do filaru masywnego łoża. Następnie nałożyłam kapelusz, przypięłam go zwykłymi już szpilkami, przepasałam się szarfą z fioletowego szlafrocza Flossie, przywiązałam do niej swoją torbę podróżną, wcisnęłam do niej parasolkę, otworzyłam okno i wyrzuciłam na zewnątrz wykonaną przez siebie linę, po czym wdrapałam się tyłem na parapet i zaczęłam się po niej spuszczać.

Ponieważ mam wielką wprawę we wspinaczce, dość szybko sunęłam w dół, zaliczając kolejne prześcieradła, poszewki, narzuty i tym podobne. Na moje szczęście, ponieważ związana naprędce „lina” pękła, zanim zdołałam dotrzeć na parter, a ja runęłam na ziemię. Dzięki temu, że zdążyłam już przywyknąć do tego typu sytuacji, nie wrzasnęłam z przerażenia. Zresztą nie spadałam z wysoka i wylądowałam na trawie, a najbogatsza w tłuszczową wyściółkę część mojej anatomii skutecznie zamortyzowała uderzenie. Podniosłam się, otrzepałam i zaczęłam obmyślać, jak wrócić do Threefinches.

Na rowerze? Marzenie ściętej głowy, z całą pewnością nikt z domowników nie zostawił na zewnątrz welocypedu, z którego mogłabym skorzystać. Konno? W stajni zapewne jest pies stróżujący, który podniesie raban i obudzi śpiących na stryszku chłopców stajennych. A może trafię na jakimś pastwisku na pozostawionego samopas konia i pojedę nim na oklep? Żeby mnie poniósł jak Jizzie? Nie, dziękuję.

Czyli środkiem transportu będą własne nogi.

Uporawszy się z tym zagadnieniem, ruszyłam żwawo – niemal biegiem – w stronę podjazdu oświetlonego przez latarnie przy portyku. Mijając posąg Caddiego, zachowałam się jak dzieciak i pokazałam mu język. A potem pożegnałam się z Dunhench Hall raz na zawsze i pospieszyłam w stronę bramy.

Noc była tak ciemna, że początkowo nie dostrzegałam niczego poza własnym cieniem, a po krótkiej chwili nie widziałam już dosłownie nic. Wiedziałam, że jestem na podejździe, ponieważ słyszałam chrzszczący mi pod stopami żwir, dzięki czemu mogłam korygować kurs, jeśli znosiło mnie na trawę. Wyciągnęłam schowany w torbie parasol i machałam nim na boki, aby uniknąć zderzenia z niespodziewaną przeszkodą, chociaż miałam nadzieję, że będzie nią dopiero brama.

O to, jak pokonam tę ostatnią, nieszczęśliwie się martwiłam. Wystarczy, że się na nią wdrapię. No tak, ale trzeba się liczyć z utrudnieniami w postaci egipskich ciemności i mojej spódnicy, która mogłaby zahaczyć o któryś z kutyh esów-floresów. Niech diabli porwą damskie spódnice, owoc jakiegoś złośliwego spisku mającego na celu uniemożliwienie kobietom wyjście naprzeciw przygodom, że o konieczności przełazenia przez bramę nie wspomnę...

Zaraz. Przecież ją widać.

Podświetlona z zewnątrz przez jakiś nikły płomyczek potężna konstrukcja zdobna w filigranowe zawijasy (męska karykatura koronkowej roboty) wychynęła z mroku w bliskiej odległości ode

mnie.

Co więcej, poczułam zapach rozgrzanej blachy – światło pochodziło z latarni. Kiedy moje oczy przywykły do nieoczekiwanego, choć mizernego światła, zauważyłam majaczącą za kutymi ozdóbkami ludzką sylwetkę. Należała do wysokiego, szczupłego mężczyzny, stojącego... Nie, przyjrzawszy się mu, stwierdziłam, że się pochyla, niemal przykuca, najwyraźniej się skradając.

Odruchowo moja dłoń zaczęła się przemieszczać w stronę schowanego w gorsiecie sztyletu. Ale w połowie drogi zatrzymał ją toczący się w mojej głowie proces myślowy. Przypomniałam sobie, jak wielkim błędem jest wyciąganie pochopnych wniosków, kiedy brakuje dostatecznej liczby danych. Przesunęłam się bezszelestnie i stanęłam na miękkiej trawie. Wstrzymując oddech, przekradłam się bliżej niezidentyfikowanego osobnika. Dostrzegłam, że postawił na ziemi tak zwaną ślepą latarkę z zabudowanymi trzema ściankami i czwartą ruchomą, dzięki czemu światło padało z niej tylko w jednym kierunku, a w razie potrzeby można było ją zasunąć. Wymarzony sprzęt dla włamywacza. Tajemniczy osobnik usiłował otworzyć jakimś szpikulcem wiszącą na bramie kłódkę.

Przysunęłam się jeszcze bliżej i spostrzegłam pod daszkiem tweedowej czapki znany mi skądinąd profil. Uśmiechnęłam się i powiedziałam cichutko:

– Daj sobie spokój, Sherlocku, mogę przeleźć górą.

Ku mojej nieskrywanej radości podskoczył jak spłoszony zając. Wrażenie spotęgowały związane na kokardę troczki przytrzymujące w górze boczne klapy czapki. Zerwał się na równe nogi tak gwałtownie, że potracił czubkiem buta latarnię, która oblała się z brzękiem o bramę.

– Ciii! – syknął w moją stronę, jakbym to ja była sprawczynią hałasu. Ale okazało się, że jest za późno na uciszanie kogokolwiek, ponieważ w ciemności rozbłysnął płomycek jakiejś innej świecy, bardzo blisko nas, i zaczął się przemieszczać od strony czegoś, co przypominało okno...

Stróżówka!

Ale nie było czasu na besztanie się za bycie głupią gęsią. Podkasałam spódnicę i rzuciłam się w stronę bramy, dopadając jej w chwili, gdy brat zasunął ściankę latarni, by nikt nas w ciemności nie dojrzał.

Niestety, sami również niczego nie widzieliśmy.

Kiedy przewiesiłam się przez górną część bramy, poczułam chwytające mnie pod pachy dłonie brata. Przeciągnął mnie na drugą stronę, jakbym ważyła tyle co piórko. No i oczywiście zgodnie z obawami zahaczyłam o coś spódnicą. Uwolnił mnie, szarpnąwszy materiał, by od razu potem rzucić się w podskokach do biegu, unosząc mnie w ramionach.

– Puść mnie – zaprotestowałam.

I puścił, ale tylko dlatego, że potknął się o coś i upadł, a ja rymśniełam jak długa na ziemię. Padłam na wznak z zapartym tchem, a po chwili poczułam na twarzy jakieś przedziwne łaskotanie. I gdyby sprawca tego dyskomfortu nie parsknął mi w twarz, zdradzając, że jest koniem, z pewnością wrzasnęłabym z przerażenia, kiedy tylko odzyskałam oddech w płucach. Usiadłam na trawie, a bydlę zaczęło ogryzać mi kapelusz. Początkowo chciałam natręta przegonić, jednak zmieniłam zdanie. Chwyciłam za pasek policzkowy uzdy i podciągnęłam się, by wstać.

– Sherlocku... – szepnęłam w czerń nocy z drżeniem w głosie, przepełniona obawą, że uderzył się w głowę i zrobił sobie krzywdę, a może nawet wyzionął ducha, skręciwszy kark.

Nie widziałam go. Spostrzegłam za to migocące wśród drzew światelko latarni. Stróż postanowił nas poszukać.

Po chwili odezwał się jakże dobrze mi znany, nieznoszący sprzeciwu głos.

– Tutaj, Enolu. Włącz na wóz!

Wymacałam w ciemnościach koński bok i zaczęłam się przesuwając w stronę brata.

– Nic ci nie jest?

– Wsiadaj na wóz! – Smukła, żyłasta i zaskakująco silna dłoń opadła znad końskiego zadu, chwyciła mnie za ramię i podniosła. Po chwili moje błądzące po omacku ręce natrafiły na jakąś drewnianą konstrukcję. Wgramoliłam się na nią, a może do niej, po czym Sherlock zawrócił konia, trzasnął batem i ruszyliśmy powoli w drogę.

Powoli, ponieważ otaczający nas mrok uniemożliwiał szybką ucieczkę. Nie mogłam wyjść z podziwu, że Sherlock w ogóle daje radę powozić w tych warunkach. A możliwe było i to, że koń sam kierował wozem. Jego pobratymcy wykazują się wielkim samozaparciem i wyczuciem kierunku, kiedy mają ochotę wrócić do stajni.

Po kilku minutach Sherlock zatrzymał konia, zabezpieczył lejce i zeskoczył, żeby zapalić latarnie umieszczone na dwóch przednich rogach pojazdu. Do tego czasu udało mi się przybrać w miarę pionową pozycję. Z zachowania brata wywnioskowałam, że nie ma już potrzeby przekradania się w milczeniu, więc spytałam:

– A cóż to się stało z Tomem Dubbsem? – Sherlock nie miał na głowie peruki i był odziany w tweedowy strój godny bawiącego na wsi dżentelmena.

– Tom Dubbs spełnił już swoją misję. – Sherlock wdrapał się z powrotem na kozioł i sięgnął po lejce, po czym cmoknął, dając koniowi znak do ruszenia truchtem. – Stróż z pewnością poszedł powiadomić o wszystkim swojego pana – dodał. – Myślisz, że wyślą za nami pościg?

– Wątpię. Lord Caddie nie sprawia wrażenia energicznego. A jeśli nawet każe nas szukać, nie mamy powodu do obaw, skoro przeistoczyłeś się z ubogiego syna tej ziemi w dżentelmena, którym w każdym calu jesteś.

– Prawda. – I z tym lakonicznym stwierdzeniem odzyskał autorytet wielkiego Sherlocka Holmesa.

Mój wzrok poszybował w stronę bezgwieздnego nieba.

– Czy będąc Tomem Dubbsem, ustaliłeś, jakie były okoliczności domniemanej śmierci lady Felicity Rudcliff?

– Nie, ale Tom Dubbs dowiedział się o tajemniczej młodej damie, która została zatrzymana jako uciekinierka w Dunhench Hall. Miejskowa służba nie ociążała się zbytnio ze zrobieniem z ciebie głównego tematu plotek w Threefinches. A ja nie byłem pewien, czy można liczyć na to, że taki kobieciarz jak Dunhench odstawi cię jutro rano na komisariat.

– Dziękuję, że po mnie przyjechałeś, ale... na miłość boską, co zamierzałeś zrobić po otwarciu kłódki?

– To już teraz bez znaczenia, prawda? – Innymi słowy Sherlock sam nie miał pojęcia, co by zrobił. – Domyślam się, że uciekłaś, czepiając się bluszczu.

– To już teraz bez znaczenia. – Zachowując pełną powagę, zmieniłam szybko temat. – A jednak mój pobyt w Dunhench Hall, choć krótki, okazał się bardzo owocny. Mam powody przypuszczać, że siostra naszej klientki żyje, ale została zamknięta w zakładzie dla umysłowo chorych. Musimy ją stamtąd wydostać, zanim stanie jej się krzywda.

Liczyłam na okrzyk podziwu, ale się nie doczekałam. Sherlock spytał jedynie, tonem tak obojętnym, jakby chodziło o paczkę doręczoną pod niewłaściwy adres:

– W którym zakładzie?

– Tego nie zdradziła. A to może świadczyć o dwóch różnych możliwościach: albo nie wiedziała, albo nazwy zakładu nie dało się zmieścić na obrazie.

– Enolu – rzekł tonem, który od biedy można by uznać za pełen czułości – nabrałaś wzorem Watsona nieznośnego zwyczaju opowiadania historii od końca. Proszę cię, zacznij od początku i zdaj mi szczegółową relację ze swoich odkryć.

I tak zrobiłam. Noc litościwie ukryła moje rumieńce, kiedy wspomniałam o niewymownych częściach garderoby, które zniknęły z pokoi lady Felicity. Powiedziałam bratu o niezasłoniętym lustrze, o braku zdjęć pośmiertnych w albumie ze zdjęciami, o dziwnym zachowaniu służby, zwłaszcza Dawson. Bardzo dokładnie opisałam zaszyfrowany w akwareli tekst, a także dałam bratu do zrozumienia, że lord Caddie nie jest szczególnie miłym człowiekiem. Snując opowieść, patrzyłam na wyłaniające się z mroku parkany, żywopłoty i trawiaste zbocza, za którymi wszystko tonęło w nieprzeniknionych ciemnościach. Podobnie jak większość faktów dotyczących losów lady Felicity.

– Jestem bardzo ciekawa, co nasz kochany Caddie przedłożył w urzędzie jako akt zgonu. Zamierzam się tam jutro wybrać zaraz po otwarciu.

– Nie musisz. Zajmę się tym – odparł Sherlock.

– Ależ chcę tam się udać.

– Urzędnik z pewnością chętniej rozmówi się z mną niż z tobą.

– Trudno, i tak tam pójdę. Jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć.

– Dziękuję – odpowiedział wyniośle.

– Nie ma za co.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Resztę nocy spędziliśmy w zajeździe – tym samym, z którego tak niegrzecznie mnie odprawiono, kiedy nie byłam pod opieką brata. Rano, mimo niewyspania, postanowiliśmy udać się co rychlej do urzędu stanu cywilnego pełni obaw, że po spożyciu śniadania lord Cadogan może jednak podjąć jakieś niegodziwe kroki.

Miałam kłopot z wybraniem odpowiedniego stroju. Moja zielona suknia została ponownie zmaltrretowana i nie nadawała się do użytku. Musiałam się zadowolić drugą, o barwie jaskrów. Niestety, jako kobieta, która wyrosła już z dziecięcego wieku, nie mogłam się pokazać publicznie bez kapelusza. A jedyny, który ze sobą zabrałam, ten z zielonymi wstążkami, przedstawiał się fatalnie. Odprułam wszystkie zniszczone ozdóbki i wysłałam na ulicę w pożałowania godnym sfatygowanym nakryciu głowy, pocieszając się myślą, że po powrocie do Londynu znów przeistoczę się w modną młodą damę.

Co nastąpiło szybciej, niż się spodziewałam, za sprawą dokumentów, które udostępnił nam do wglądu urzędnik stanu cywilnego. Korpulentny władca papierowego imperium wysłuchał nas uważnie – Sherlock poprosił o świadectwo ślubu i zgonu Myzelli Haskell Rudcliff, ja o te same dokumenty dotyczące Felicity Glover Rudcliff – po czym flegmatycznie rozpoczął poszukiwania, dając nam jasno do zrozumienia, że to nie my jesteśmy w Threefinches najważniejsi.

Ale co tam, koniec końców pokazał się ponownie i wręczył nam komplet dokumentów. Zauważyłam przy okazji, że akt zawarcia małżeństwa spisano na niemal kwadratowym kremowym druku z ozdobną kwietną bordiurą, natomiast świadectwo zgonu było długą i wąską kartą szarego papieru, ozdobionego bardziej stonowanymi szlaczkami.

Sherlock studiował papiery dotyczące Myzelli, stojąc, natomiast ja przysiadłam na twardej ławce i zagłębiłam się w lekturze dokumentów Flossie, wynotowując skrzętnie istotne punkty: nazwisko duchownego, który udzielił jej ślubu, datę uroczystości i tak dalej. Bardziej frapujące okazały się jednak dla mnie zapiski dotyczące domniemanej śmierci lady. Ze świadectwa zgonu wynikało, że zgłoszenia o jej przedwczesnym odejściu dokonał jej mąż, któremu w rubryce „zajęcie” wpisano „hrabia Dunhench”, a jej – „żona”. Zgasła w wieku dwudziestu lat, przyczyną śmierci była gorączka. Zgłaszającego ten smutny fakt (Caddiego) opisano następująco: „Jego lordowska mość, cieszący się dobrym zdrowiem, nie osiągnął jeszcze wieku średniego, jest powściągliwy i wyniosły w obejściu”. Miejsce zamieszkania opisano lakonicznie jako Dunhench Hall. Do deprymującego szarego zgłoszenia dołączono, zgodnie z wymogami prawa, medyczne świadectwo śmierci.

Tu jako przyczynę zgonu wymieniono gorączkę nieustalonego pochodzenia.

Pod oświadczeniem widniał podpis: „Dr nauk med. John H. Watson”.

Doktor Watson? Nasz poczciwy doktor Watson?

W sumie czemu nie? Surrey nie dzieli przecież od Londynu jakaś nieprzebyta odległość. No a w Anglii nie ma chyba wielu praktykujących lekarzy podpisujących się jako John H. Watson.

Opanowawszy chęć wydania z siebie pisku i uspokoiwszy rozbiegane oczy, podeszłam do Sherlocka i pokazałam mu dokument. Jego brwi wyraźnie się uniosły.

– A kto podpisał medyczne świadectwo zgonu pierwszej żony Rudcliffa? – spytałam.

– Nikt. Ten wymóg istnieje zaledwie od dziesięciu lat. Lord Rudcliff złożył oświadczenie, że lady Myzella skonała wskutek zapalenia mózgu. Myślę, że czas ruszać w drogę powrotną do Londynu. Chyba przyznasz mi rację?

Przyznałam mu ją bez wahania.

Dopóki znajdowaliśmy się w Threefinches, nie poruszaliśmy tej kwestii, wiedząc, że ściany mają uszy. Dopiero kiedy wynajęty woźnica przywiózł nas do Dorking, odważyliśmy się wysłać dwa telegramy. Jeden do panny Letitii Glover z prośbą o stawienie się na Baker Street 221B po szesnastej i drugi do doktora Watsona, którego poprosiliśmy o oświadczenie, czy ostatnio (jeśli w ogóle) wystawił świadectwo zgonu Felicity Glover Rudcliff, lady Dunhench. Zaraz potem wskoczyliśmy do pierwszego pociągu zmierzającego do Londynu. Wykupiliśmy cały przedział dla siebie.

I wreszcie mogliśmy pogadać bez obaw.

– Rozpoznałbyś podpis Watsona, prawda?

– Jestem przekonany, że tak. To, co mi pokazałaś, nie zostało skreślone jego ręką. Trzeba

jednak zebrać więcej dowodów, zanim zaczniemy drażyć temat.

Zamilkł i zatopił się w myślach. Ja tymczasem, odporna jak zawsze na wymogi etykiety, podciągnęłam nogi na siedzenie i zapadłam w sen. Obudziłam się dopiero na Victoria Station.

I tam nasze drogi się rozeszły. Sherlock udał się do gabinetu doktora Watsona, a ja pobiegłam do swojego lokum w Klubie dla Pań, żeby czym prędzej nałożyć porządny kapelusz! Rzecz jasna po kąpieli, rozczesaniu włosów i zmianie garderoby. Kiedy kilka godzin później stawiałam się na Baker Street, byłam damą w każdym calu w sukni z rdzawoczerwonego muszliny *de laine* z lamówką w kolorze starego złota i olśniewającym, najmodniejszym kapeluszu przypiętym do koka z tyłu głowy, z zadartym w górę, przypominającym dziób okrętu rondem, spod którego wylewała się kaskada jesiennych kwiatów.

– Masz na głowie coś, co przypomina fregatę stęsknioną za galionem – oznajmił Sherlock, kiedy weszłam do jego bawialni. Był ubrany w nieskazitelny miejski strój o kroju, który od dziesięciolecia nie ulegał kaprysom mody.

– I ja się cieszę, że cię znowu widzę. Czy Watson się odezwał?

– Jeszcze nie.

– Niedobrze. – Odłożywszy na bok parasolkę i rękawiczki, usiadłam przy biurku brata, żeby sporządzić szkic, który z pewnością w niedługim czasie okaże się bardzo przydatny. I rzeczywiście, po chwili z dołu dobiegł nas dźwięk dzwonka, po czym pani Hudson wprowadziła do gabinetu pannę Letitię Glover.

– Panno Glover. – Sherlock ujął jej obciążoną rękawiczką dłoń i skłonił głowę z najwyższą atencją.

– Witam panią. – Kiedy uściśnęłam jej dłoń, uśmiechnęła się, jakby dawała mi do zrozumienia, że moje powitanie jest dla niej miłsze. Miała na sobie ubiór zbliżony do tego, w którym widziałam ją po raz pierwszy: męski w kroju, ale kobiecy w barwach (tym razem dominowały kolory śliwki i brzoskwini). Spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem. Bładość jej twarzy kontrastowała z różowym kołnierzykiem, a z szeroko otwartych oczu wyzierał niepokój.

Chcąc ją nieco uspokoić, upomniałam ją łagodnie:

– Proszę nie poddawać się rozpacz, panno Glover. Wiele wskazuje na to, że pani podejrzewania były słuszne i siostra żyje.

– Być może istnieje kilka przesłanek, by podejrzewać taką ewentualność – wtrącił Sherlock apodyktycznym tonem. – Bardzo proszę, niech pani usiądzie.

Posłuchała jego prośby i jednocześnie najwyraźniej odzyskała głos, bo patrząc to na mnie, to na Sherlocka, krzyknęła:

– Och! Czego się dowiedzieliście? Proszę mi natychmiast powiedzieć!

Sherlock rzucił mi spojrzenie, które mówiło więcej niż słowa, przekazując zadanie kontynuowania rozmowy z ujmującą młodą kobietą, skoro rozbudziłam w niej nadzieję.

Przysunęłam się do naszej klientki z krzesłem, usiadłam naprzeciwko i zaczęłam opowiadać:

– Odwiedziłam Dunhench Hall, zawarłam znajomość z lordem Cadoganem Rudcliffem, człowiekiem, który mimo maski uroczego dżentelmena potrafi być czasami nad wyraz niemiły. Widziałam na przykład, jak cisnął pani list w ogień, nie fatygując się nawet go przeczytać.

Sapnęła z wrażenia i zakryła usta odzianymi w rękawiczki dłońmi.

– Ponadto bez żadnego powodu przetrzymywał mnie pod kluczem. I to w apartamentach pani siostry.

Żrenice Tish Glover rozszerzyły się tak, że niemal nie było widać tęczęwek. Pochyliłam się lekko w jej stronę, pragnąc wzbudzić w niej większe zaufanie.

– Panno Letitio, czy pani talent malarski dorównuje zdolnościom siostry?

– Ależ skąd, nigdy w życiu! – Podjęła wątek i odsunawszy palce od ust, zaczęła kreślić w powietrzu esy-floresy. – Flossie nie tylko potrafi doskonale odtworzyć dowolnie wybrany przez siebie temat, ale jest także mistrzynią kompozycji! Usiłowała mi nawet wyjaśnić, na czym polega zasada złotego podziału i jak należy przełożyć ją na spiralę przypominającą skorupę ślimaka, ale nie byłam w stanie tego pojąć! Chociaż mimo to byłam pełna uznania, z jakim wdziękiem przedstawia malowane motywy, zachowując proporcje i miękkość linii.

Pokiwałam energicznie głową.

– Ja też w podobny sposób odebrałam jej malarstwo. Dlatego wyczułam, że coś jest nie tak, kiedy zobaczyłam to... proszę wybaczyć toporność mojego szkicu... kiedy znalazłam coś tak nieudolnego na sztalugach w jej pracowni... to znaczy w jej buduarze.

Tish obrzuciła wzrokiem mój ołówkowy szkic i wykrzywiła twarz w grymasie odrazy.

– Co też Flossie strzeliło do głowy, żeby coś podobnego namalować?

– Też tak od razu pomyślałam. Ale kiedy przyjrzałam się jej obrazkowi bliżej, zauważyłam, że niektóre partie zaznaczyła kredką Conté w ten oto sposób. – Podłożywszy pod szkic książkę, podkreśliłam ukryte na widoczku litery. Sherlock, który stał za krzesłem panny Glover, przyglądał się z zaciekawieniem. Kiedy litery ułożyły się w słowa ZAKŁAD DLA OBŁĄKANYCH, Tish ponownie zasłoniła usta, by zdusić pełen przerażenia okrzyk.

Sherlock zamruczał:

– Coś niebywałego.

– Tak – zgodziłam się. – To wyjątkowo zagadkowa sprawa. Musiała się w jakiś sposób domyślić, że mąż planuje zamknięcie jej w zakładzie.

Sherlock miał odmienne zdanie.

– O ile nie była to aluzja do jej poprzedniczki, lady Myzelli.

Tish ponownie zdławiła szloch.

– Sherlocku, przestań się mądrzyć – upomniałam szorstko brata. – Jestem przekonana, że Flossie żyje, o czym świadczy zniknięcie pewnych przedmiotów z szuflad jej komody.

Tish wstrzymała oddech i spojrzała na mnie błagalnie. Sherlock brnął jednak z uporem:

– Jakich konkretnie przedmiotów?

Czyżby chciał wywołać na mojej twarzy rumieniec? A niech go. Bez wahania odpaliłam:

– Takich, których raz w miesiącu potrzebuje młoda żyjąca dama.

No i prowokator sam oblał się pąsem. Nie powiem, widok czerwonych policzków i bladego arystokratycznego nosa sprawił mi wielką frajdę. Brat szybko odwrócił głowę.

Tish spytała znękanym głosem:

– Ale gdzie ją wywiózł? Do którego zakładu dla obłąkanych?

– W rzeczy samej jest to nie lada dylemat – Sherlock błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą i z pewnością rozwinąłby wątek, lecz w tej samej chwili zabrzączał dzwonek u drzwi wejściowych, a nasza trójka zamilkła i nadstawiła uszu.

Chwilę później na schodach rozległ się tupot chłopiących stóp. Sherlock wyszedł na korytarz, by przyjąć gońca. Niebawem wrócił, trzymając w dłoniach arkusik papieru.

– Liścik od Watsona – wyjaśnił – potwierdzający zarówno nasze podejrzania, jak i zasadność naszych nadziei. Nigdy nie słyszał o Felicity Glover Rudcliff. Jej świadectwa zgonu nie sposób uznać za ważne, ponieważ widniejący pod nim podpis został sfalszowany.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tish bardzo chciała ruszyć na poszukiwanie siostry jeszcze tego dnia, wręcz natychmiast, błagając nas o podanie adresów wszystkich zakładów dla obłąkanych w hrabstwie Surrey. I choć serdecznie jej współczułam, ostudziłam jej zapał, zauważając, że lord Cadogan zesłałby żonę w nieco odleglejsze od domu miejsce, na przykład do Londynu, w którym było bez liku zakładów dla obłąkanych (nazywanych dawniej domami wariatów), sanatoriów, szpitali dla chorych umysłowo i podobnych instytucji zajmujących się imbecylami, idiotami i innymi osobami zdradzającymi objawy upośledzenia. Tish przypomniała mi, że siostra wybrała nazwę „zakład dla obłąkanych”. Wyraziłam zdanie, iż Flossie zdecydowała się na takie określenie, ponieważ było krótkie w porównaniu z nazwami instytucji typu Zakład Zamknięty dla Niebezpiecznych Szaleńców w Saint Marlebone czy Przystań dla Idiotów i Imbecyli w Earlswood. Tish potaknęła, szepcząc przy tym:

– Ach, biedna, kochana Flossie.

Sherlock, który przysiadł na kanapie i odpłynął gdzieś myślami, składając i rozkładając wiadomość od Watsona, nagle podniósł się z miejsca.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ustalić miejsce jej pobytu – oznajmił władczym i nieznoszącym sprzeciwu tonem, po czym skłaniając lekko głowę, wyciągnął rękę w stronę drzwi, dając naszej klientce do zrozumienia, że powinna już wyjść.

Tish pozostała jednak na krześle.

– Nie ruszę się stąd, chyba że w roli współuczestniczki poszukiwań mojej siostry.

– Ależ to absurd – rzucił Sherlock z właściwym sobie wdziękiem. – Zamiast wojażować od jednego domu wariatów do drugiego, lepiej najpierw wy badać sprawę w Dunhench, co mam zamiar zrobić.

– Oczywiście, proszę się tym zająć. Ja tymczasem mam zamiar, jak pan to ujął, wojażować.

– Tish spojrzała mu w oczy, zacisnąwszy wargi i unosząc dumnie brodę.

Sherlock odpowiedział wyniośle, jakby próbował wyjaśnić coś małemu dziecku:

– Czy ma pani brata, wujka czy innego szacownego mężczyznę, który mógłby pani towarzyszyć?

– Nie mam na świecie nikogo prócz Flossie, a ona ma tylko mnie.

– Tym bardziej powinna pani zadbać o swoje bezpieczeństwo. Czy nie przyszło pani do głowy, jakie zagrożenia mogą czyhać na samotną kobietę odwiedzającą tego typu miejsca? – Jego protekcyjny ton był nie do zniesienia.

– Nie będzie sama – przerwałam mu. – Udamy się tam razem.

Sherlock momentalnie zmienił zachowanie i odwrócił się w moją stronę. Jego piorunujące spojrzenie rozczuliło mnie, zamiast przerazić, podobnie jak reprimenda:

– Enolu, nie bądź niemądra!

W nagłym przypływie sympatii do Sherlocka obdarzyłam go uśmiechem.

– Raczej za późno, bym stała się inna, mój drogi braciszku. – Podniosłam się z krzesła, sięgnęłam po rękawiczkę i parasolkę, a potem wyciągnęłam rękę w stronę Tish. Dziewczyna wstała i wsunęła mi dłoń pod ramię.

Sherlock zaoponował, podnosząc głos:

– Ale co wy możecie we dwie zdziałać?

– To się okaże

– Dziękuję za zainteresowanie moją sprawą, panie Holmes.

Trzymając się pod rękę, Tish i ja wymaszerowałyśmy z mieszkania Sherlocka.

Zatrzymałyśmy się w pobliskiej herbaciarni, by pokrzepić się życiodajnym naparem i zjeść późny lunch, na który złożyły się kanapki z pastą rybną, pudding roly-poly i plasterki jabłek maczane w miodzie. Tish zwróciła się do mnie:

– Panno Holmes...

– Proszę mi mówić Enolu albo Eudorio bądź Hadassah, a nawet ladaco. – Opanował mnie beztroski nastrój. – Wiesz, Tish, bardzo polubiłam zarówno ciebie, jak i Flossie, chociaż jej wcale nie znam, a ciebie bardzo słabo.

Słowa te wywołały na jej ustach uśmiech, mimo że nie opuszczał jej lęk o losy zaginionej siostry.

– Czuję się zaszczycona tym, że obdarzasz mnie względami, Enolu, i jestem pewna, że Flosie czułaby to samo. – Posmutniała. – Przyznam ci się, że nie mam pojęcia, jak się dostać do zakładu dla umysłowo chorych.

– Ja też. Ale spytamy Watsona.

– A na domiar złego mam niewiele pieniędzy.

– Ja mam ich pod dostatkiem, prawie tyle, co teraz miodu na rękach. – Zdążyłam już ubrać palce kleistą substancją. – O to się nie martw. Powiedz mi, Tish, jeśli się nie pogniewasz, gdzie kupujesz kamizelki w tak uroczych barwach?

– Zlecam ich szycie krawcowej. To moja jedyna ekstrawagancja. – Tish najwyraźniej nie miała apetytu, natomiast opróżniła już drugą filiżankę herbaty. – Zaczęłam się tak ubierać – dodała poważnym tonem – by wyróżniać się na tle siostry. Skoro ona bez szczególnego wysiłku olśniewała urodą, postanowiłam, że mój wygląd musi być inny. Teraz, zważywszy na okoliczności, czuję się podle z powodu swojej małostkowości.

– No i po co? Przecież to zupełnie normalne, że chcemy być sobą, a nie udawać kogoś innego. Ja też kieruję się tą zasadą. Zanim zaczęłam się przebierać za dorosłą, byłam budzącym zgorzelenie stworzeniem biegającym w pumpach.

Tish omal nie parsknęła śmiechem.

– Chciałabym się ubierać tak jak ty – dodałam, i to w pewnym stopniu szczerze. Od czasu do czasu na pewno mogłabym się tak nosić, chociaż ostatnio stałam się gorącą zwolenniczką najnowszych kierunków w modzie, ponieważ po kilku dekadach królowania krynolin i tiurniur wreszcie pojawił się trend podkreślania pionu. A byłam przecież wysoka i szczupła.

Kiedy posiłek dobiegł końca (na znak czego usłużny kelner postawił przed nami miseczki z chłodną, skropioną sokiem cytrynowym wodą do obmycia palców), przywołałyśmy dorożkę i udałyśmy się do gabinetu doktora Watsona. Poczciwy lekarz rozpromienił się na mój widok i z troską w głosie spytał o stan zdrowia Sherlocka. Dowiedziawszy się, że znacznie się poprawił, zajął się sumiennie sprawą, z którą do niego z Tish przyszłyśmy, pomstując na bezczelnego drania, który ośmielił się podrobić jego podpis na oficjalnym dokumencie, i zapewniając nas, że chętnie powiedziałby temu osobnikowi to i owo do słuchu. Wkrótce ruszyłyśmy w dalszą drogę zaopatrzone w spis londyńskich zakładów dla osłabionych na umyśle. Towarzyszyło nam echo prośb o zachowanie szczególnej ostrożności. Gdyby nie to, że poczciwy doktor musiał się pilnie zająć niemowlęciem, u którego wysypka pieluszkowa przerodziła się w ostry stan zapalny, z pewnością byłby gotów dotrzymać nam towarzystwa.

Ponieważ zbliżał się wieczór, było już za późno na podjęcie dalszych działań. Ponadto moje niewyspanie dawało o sobie znać wzmożonym ziewaniem, od którego rozboleła mnie szczęka. Tish i ja pożegnałyśmy się więc uściskiem dłoni przed kamienicą, w której Watson prowadził praktykę, umawiając się na spotkanie nazajutrz, czyli w sobotę.

– W soboty tak czy inaczej biorę sobie pół dnia wolnego – oznajmiła Tish.

– Pracujesz w biurze?

– Ostatnio w niepełnym wymiarze godzin. Wolę pisać na maszynie w domu. Byłam prze szczęśliwa, kiedy wreszcie udało mi się zaoszczędzić dość pieniędzy, by sprawić sobie własną.

– I zadbać o jakże oryginalne i niezwykle ładne karty wizytowe.

Kiedy się rozstawałyśmy, wciąż się uśmiechała.

Nazajutrz skoro świt włożyłam, inspirując się ubiorem Tish, skromną bluzkę, spódnicę i żakiet. Nie miałam jednak kamizelki i fularu niezbędnych do zachowania pełnego podobieństwa. Wśród moich kapeluszy brakowało także melonika, musiałam zatem zadowolić się prostą słomkową panamą. Kiedy zgodnie z umową spotkałyśmy się na śniadaniu, Tish otaksowała mój strój wzrokiem, uśmiechnęła się nieznacznie i taktownie powstrzymała od komentarza.

Tego ranka obie byłyśmy poważne i milczące, ponieważ zadanie, które sobie wyznaczyłyśmy, zapowiadało się raczej ponuro. Skończywszy posiłek i dopiwszy herbatę, udałyśmy się do szpitala pod wezwaniem Najświętszej Panny z Betlejem, szacownej instytucji znanej pod potoczną nazwą Bedlam, gdzie – jak poinformował nas doktor Watson – w każdy dzień tygodnia z wyjątkiem niedziel można było odbyć wycieczkę z przewodnikiem oprowadzającym zainteresowanych po oddziałach i pokazującym im pacjentów jak zwierzęta w ogrodzie zoologicznym.

Dorożka zatrzymała się przed potężną kamiennie-ceglaną fasadą budynku głównego, spra-

wiającego wrażenie czegoś pośredniego między fabryką a twierdzą. Perfekcyjna symetria okien, szczytów i wieżyczek była z pewnością świadomym zaprzeczeniem chaosu panującego w umysłach podopiecznych mieszczącej się tam instytucji. Po przekroczeniu imponującej bramy w okalającym całość zabudowań wysokim białym murze zostałyśmy zatrzymane przez strażnika, któremu wyjaśliśmy cel naszej wizyty i wręczyłyśmy stosowną opłatę. Przyprowadził nam przewodniczkę, dorodną niewiastę w bładoniebieskim pielęgniarskim kitlu, niemal całkowicie przykrytym prostym i sztywnym białym fartuchem. Jedynie jej czepiec zdobny w falbanki i wstążki oraz pełen zadowolenia z siebie uśmiech wskazywały na jej przynależność do wyższego rangą personelu szpitala.

– Jesteśmy zainteresowane wyłącznie oddziałami kobiecymi – poinformowałam ją. – Ufam, że stosujecie tu podział na płcie. Czy tak jest w istocie?

– Tak, nie inaczej. – Przeprowadziła nas przez masywne drzwi wejściowe i skręciła w lewo. Nie potrafiłabym odtworzyć kolejności etapów zwiedzania, ponieważ zachowałam w pamięci wyłącznie oderwane obrazy jak echa koszmaru sennego. Kobiety, wiele kobiet o pustym spojrzeniu, które nie komunikowały się między sobą, a jednak zachowywały się głośno, wydając jęki, krzyki, piski i monotonne buczenie. Tej ciekła ślina z ust, tamtej zaschła pod nosem zielonkawa skorupa. Większość pensjonariuszek miała na sobie podarte suknie, które nie osłaniały należycie ich ciał, a wszystkie bez wyjątku były bose.

– Biedulki nie mogą nosić butów, ponieważ mogłyby nimi rzucać, stwarzając zagrożenie. Zazwyczaj tkwią pograżone w otępieniu, jednak od czasu do czasu okazują wojownicze zapędy, zwłaszcza w porze kąpieli.

Niezależnie od wieku wszystkie sprawiały wrażenie starych za sprawą udreńczonych twarzy i nędznych, skołtunionych włosów wiszących w niechlujnych strąkach. Niektóre stały jak posągi w podartych i połatanych ubraniach, patrząc niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Inne siedziały na ławkach nieruchomo, jakby były zrobione z drewna, jeszcze inne leżały pośrodku kamiennej posadzki, kuląc się z zimna, mając za poduszkę tylko własne ramię. Wiele z nich, niezależnie od przyjętej pozy, miało na dłoniach wielkie, pozbawione kciuków rękawice z pikowanej skóry.

– Niektóre tak szarpią ubrania własne i współtowarzyszek, że musimy im zakładać specjalne osłony na ręce. Ale staramy się traktować je uprzejmie. Był czas, że trzymano je w łańcuchach. Ale dziś już się tego nie praktykuje.

Oglądałyśmy kolejne sale zastawione wąskimi pryczami i równie skromne łóżka ciągnące się przez całą długość korytarzy.

– Wydawałoby się, że mamy miejsca pod dostatkiem, jednak liczba przywożonych nam bezbronnych istot przerasta nasze możliwości.

Niektóre pacjentki czaiły się pod łóżkami, usiłując się ukryć. Jedna z nich, o obwisłym i pomarszczonym ciele – byłam tak wstrząśnięta, że natychmiast odwróciłam wzrok – była golutenka.

– Ojej. – Nasza przewodniczka potrząsnęła dzwonkiem, by przywołać kogoś do sali, a potem szybko poprowadziła nas dalej. Zdaje się, że właśnie od tamtej chwili zaczęłyśmy się z Tish trzymać za ręce.

Mijałyśmy kobiety oddzielone od pozostałych kratami, odziane w dziwnie bezkształtne, ciężkie suknie z grubo watanego płótna. Jedna z nich zawodziła bez chwili przerwy: „Zabiłam swoje dziecko... Zabiłam swoje dziecko!”. Inne syczały, warczały, wyły lub wykrzykiwały pod naszym adresem obelgi, często ubliżając nam w przerażająco ohydnych słowach.

– Te nieszczęsne istoty są w bardzo złym stanie. Musimy je zamykać w celach, żeby nie zrobiły nikomu krzywdy, i szyjemy im ubrania z grubych materiałów, utrudniające ich rozdarcie i zadawanie sobie ran. Sztywny ubiór jest lepszy niż kaftan bezpieczeństwa i pozwala umieszczać nadpobudliwe pacjentki w celach bez konieczności zakuwania w łańcuchy, dzięki czemu mają jaką taką swobodę ruchów.

Nawet nie jaką taką. Niektóre jak dzikie zwierzęta w klatce rzucały się z impetem na kraty, bezskutecznie próbując nas dosięgnąć i wrzeszcząc w amoku. Ogolone niemal na łyso głowy i powiększone źrenice odbierały im jakiegokolwiek pozory człowieczeństwa.

– Strzyżemy je na krótko, inaczej nabawiłyby się wszawicy. A przed każdą kąpielą musimy je odurzać lekami. Pacjentki z innych oddziałów kąpią się co tydzień.

Nie pamiętam, czemu przyglądałam się najpierw: czy krzątanie w pralni, w której zatrudniano najbardziej godne zaufania pensjonariuszki, czy gimnastyce na podwórku, gdzie rozebrane do

pantalonów kobiety przymuszano do ćwiczenia pajacyków, czy gotowaniu w wypełnionej pensjonariuszkami bedlamowskiej kuchni.

– Niebożęta mają u nas lepszy wikt niż większość londyńskich robotnic.

Pokazano nam salę oddziału wodolecznictwa, zastawioną wyposażonymi w najrozmaitsze urządzenia wannami, pomieszczenie wypełnione sprzętem do elektrogalwanizacji oraz kaplicę.

– Trzymamy ich niedzielny przyodziewek pod kluczem, żeby go nie zniszczyły.

Wolałabym nie pamiętać widoku, który czekał na nas w kolejnej sali, gdzie przebywały unieruchomione pacjentki, z pozakładanymi na głowy, tułowia albo kończyny sztywnymi pancerzami.

– Oddział histeryczek.

– Histeryczek? – wymamrotała Tish.

– Kiedy stają się nadmiernie pobudzone, mają paroksyzmy śmiechu, śpiewają nieprzyzwoite piosenki albo usiłują wyrwać sobie włosy z głowy lub okaleczać się w inny sposób, trzeba ograniczyć im ruchy.

– I żadne z nich nie odzyskują zdrowia? – spytałam błagalnym tonem. – Nie wracają do rodziny?

– Przeciwnie. Te, które trafiają tu z powodu obłądu połogowego, często udaje się wyleczyć w ciągu trzech do dwunastu miesięcy. Na obłąd moralny skutecznie działa zachęta do lektury Pisma Świętego. Natomiast osobom, które postradały zmysły z powodu przepracowania, nieodwzajemnionej miłości, niemilego zachowania męża i temu podobnych zgryzot, bardzo często można przywrócić zdrowie, otaczając je życzliwością. Najprzyjemniejszy oddział zostawiłam na koniec. Tędy proszę. – Wprowadziła nas do sali, która nie była tak spartańsko urządzona ani tak zatłoczona jak inne. Kilkanaście pań ubranych całkiem normalnie, choć skromnie, siedziało w podniszczonych fotelach lub na krzesłach przy stolikach. Część z nich łątała jakieś części garderoby, niektóre szydełkowały albo robiły na drutach, kilka zajętych było lekturą. Kiedy weszłyśmy, podniosły na nas wzrok i powitały uśmiechem. Przewodniczka przedstawiła nam każdą z nich, a one grzecznie zamieniły z nami kilka zdawkowych frazesów.

Tish wypuściła z uścisku moją dłoń, sięgnęła do swojego woreczka po zdjęcie Flossie i pokazała je obecnym.

– Czy któraś z pań widziała moją siostrę?

Pokręciły współczująco głowami, a jedna z nich, Irlandka, powiedziała:

– Jeśli trafiła w takie miejsce jak to, panienko, to zastanie ją pani bardzo odmienioną.

– Mogłam wam od razu powiedzieć, że tu nie przebywa – naburmuszyła się przewodniczka.

Powstrzymałam się od uszczypliwej uwagi, że być może została opłacona, by wprowadzić nas w błąd, natomiast Tish wyjaśniła z prostotą:

– Musiałam sama to sprawdzić. Czy widziałyśmy już wszystkie przebywające tu kobiety?

– Wielkie nieba, a skąd! Przecież nie zaprowadzę pań do obory, w której doją krowy, ani do budynku szpitalnego pełnego zakaźnie chorych, ani na oddział, gdzie trzymamy osoby, które odmawiają noszenia ubrań, prawda?

Rzuciłam okiem na twarz Tish, po czym oznajmiłam:

– W takim razie nasza wizyta dobiegła końca.

Przewodniczka wskazała nam drogę do wyjścia i milcząc, rozstałyśmy się w bardzo sztywnej atmosferze.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy znalazłyśmy się w oddzielającym nas od świata wnętrzu dorożki, Tish puściły nerwy i zaczęła płakać. Skurczyła się w sobie jak więdnący kwiat i ukryła twarz w dłoniach. Usiadłam obok, podałam jej chusteczkę, otoczyłam ramieniem, przyciągnęłam do siebie i zaczęłam lekko klepać po plecach, usiłując dodać jej otuchy, chociaż nabrzmiewająca w gardle gruda uniemożliwiała mi powiedzenie czegokolwiek sensownego. Wkrótce jednak znękana dziewczyna wyprostowała się, otarła twarz chusteczką i przeprosiła mnie łamiącym się głosem za chwilę słabości.

– Ależ nie ma za co – odparłam, wymawiając słowa z równym trudem jak ona. – Sama mam ochotę się rozbeczeć.

– Na myśl, że Flossie... w tak... potwornym miejscu... – rozkleiła się ponownie.

– Ciii... – Zaczęłam ją znów głaskać. – Porozmawiamy o tym po powrocie do domu.

Miałam na myśli Klub dla Pań, w którym wynajmowałam pokój. Od razu zaprowadziłam Tish na górę, żeby oszczędzić jej wstydu pokazywania zgromadzonym w bawialni damom czerwonych od płaczu oczu. Kiedy znalazłyśmy się w bezpiecznym azylu mojego nieco spartańsko urządzonego mieszkanka, wskazałam jej miskę i dzbanek, by obmyła twarz zimną wodą, zadzwoniłam po pokojówkę i poprosiłam o herbatę. Potem usadziłam Tish w jedynym fotelu, a sama przycupnęłam na drewnianym krześle za biurkiem i sięgnęłam po papier i ołówek.

– Kolejna z twoich list? – spytała głosem tak pełnym ciepła i życzliwości, niemalże przekornym, że aż się uśmiechnęłam.

– Tak, kolejna z moich list. – Zaczęłam pisać.

ABY ODSZUKAĆ FLOSSIE:

- Odwiedzić kolejne zakłady dla obłąkanych? Okupić nikłą nadzieję oglądaniem kolejnych ludzkich nieszczęść? Nie ma żadnej gwarancji, że zobaczymy zaginioną, ponieważ z całą pewnością przekupiono personel, by trzymał ją w ukryciu. Zresztą złożenie wizyt we wszystkich takich instytucjach zajęłoby nam kilka miesięcy.

- Rozesłać wszędzie zdjęcia z prośbą o identyfikację? Gra niewarta świeczki. Caddie na pewno zapłacił pracownikom za milczenie.

- Gdyby nawet udało nam się ją odnaleźć, to czy byłybyśmy w stanie ją rozpoznać? Jak długo trwały pobyt w takim miejscu mógł wpłynąć na jej wygląd?

W tej samej chwili wypuściłam ołówek z ręki i objęłam głowę dłońmi, ponieważ mój umysł pograżył się w chaosie nowych myśli.

– Wielkie nieba, powinnam od razu o to spytać! – wykrzyknęłam. – Tish, na jaki oddział mogła trafić Flossie?

– Moja siostra nie powinna się znaleźć na żadnym oddziale...

– Pomyślmy, jakiego pretekstu użyłby Caddie, żeby ją umieścić w zakładzie zamkniętym? Czy zachowywała się ekscentrycznie?

– Enolu, oczywiście, że nie! Moja siostra była... jest... aniołem!

Zrozumiałam, że skierowałam pytanie pod niewłaściwy adres, ale tak czy siak zaczęłam pisać:

- Histeria? Słowo wytrych na określenie każdego przejawu nadmiernego pobudzenia.

- Obłąd moralny? Eufemistyczna nazwa cudzołożnych myśli lub skłonności. Kolejne słowo wytrych dla zazdrosnych mężów.

- Erotomania, jeśli była w nim zakochana?

- Oziębłość, jeśli nie była?

- Zakładając, że Caddie postąpił podobnie ze swoją pierwszą żoną Myzellą, wypytać jej

krewnych, za co skazał ją na karę. I gdzie?

Eureka!

Zadałam Tish pytanie, czy jesteśmy zgodne co do tego, by dać sobie chwilowo spokój z odwiedzaniem dalszych zakładów.

– Jak najbardziej. Zresztą jutro jest niedziela.

Rzeczywiście. Instytucje publiczne, takie jak urzędy stanu cywilnego, biblioteki, sądy i szpitale dla obłąkanych były w tym dniu nieczynne dla osób z zewnątrz. Lecz nic nie stało na przeszkodzie, bym złożyła wizytę Haskellom.

Nazajutrz przyodziana w bardzo dystyngowany seledynowy kostium podróżny zjrzałam na Baker Street, żeby porozmawiać z Sherlockiem. Nie zastałam go jednak, co więcej, dowiedziałam się, że od piątku nie było go w domu. Zostałam mu zatem bilecik – „Jadę odwiedzić Haskellów w St. John’s”, plus data – i udałam się na dworzec, by wsiąść do pociągu zmierzającego do hrabstwa Surrey. Na szczęście udało mi się minąć Dorking (i jego rozpasane stajnie oraz Jezebel). Wysiadłam na następnej stacji, gdzie zjadłam lunch i wynajęłam na resztę dnia lekki powozik z woźnicą. Kiedy stangret usadowił się na koźle, powiadomiłam go, iż pragnę odwiedzić okolicznych Haskellów w celu uzupełnienia drzewa genealogicznego swojej rodziny.

– Mam nadzieję, że w okolicach St. John’s przetrwali jeszcze jacyś Haskellowie?

– W rzeczy samej, panienko! – Szeroką, rumianą twarz zażywnego i jowialnego jegomościa okraślił szeroki uśmiech. – Haskellowie już dawno zapuścili w St. John’s korzenie i ani myślą się stąd wynosić. Równie dobrze można by się spodziewać, że jakiś zagajnik spakuje manatki i przeprowadzi się gdzieś indziej. Do kogo chce panienka najpierw zajechać?

Tym razem z góry wszystko obmyślałam. Nie mogłam prosić o zawieszenie do matki Myzelli, ponieważ od razu rozeszłyby się plotki, miałam także świadomość, że męskich członków rodzin trudno namówić na szczerą pogaduszkę, więc odpowiedziałam:

– Najchętniej odwiedziłabym jakąś samotną krewną lub wdowę, jeśli to możliwe, osobę starszą.

– W takim razie udamy się do samej wielmożnej pani Haskell.

Przystałam na to i po chwili rozkoszowałam się kojącą przejażdżką przez urocze wiejskie krajobrazy Surrey. Jakże inną od eskapady, którą zafundowała mi Jezzie! Chłonąc widoki z okna powozu, skonstatowałam, że St. John’s jest wyjątkowo malowniczą osadą, natomiast najbliższy cel mojej wyprawy – bo zjechaliśmy już z głównej drogi na wiodący doń podjazd – to duży, sprawiający wrażenie gościnnego wiejski dworek o bielonych ścianach. Tytuł „wielmożna pani” był zwrotem grzecznościowym, więc nie musiałam się obawiać spotkania z wyższymi sferami.

Powozący zatrzymał się przed wejściem, otworzył drzwiczki pojazdu i pomógł mi wysiąść z taką atencją, jakbym była laleczką z kruchej porcelany, a następnie oddalił się, by poszukać męskiego towarzystwa w stodole lub stajni. Nie zdążyłam jeszcze zapukać, kiedy drzwi się uchyliły i uśmiechnięta służąca w kraciastej sukience zaprosiła mnie do środka.

– Tak się cieszę, że nie otworzył mi kamerdyner – wyznałam szczerze.

Niespeszona dziewczyna skwitowała to śmiechem.

– Nie, to tylko ja, Sally, panienko. Proszę wejść. Pani Haskell jest w ogrodzie.

Nie musiała wskazywać mi drogi, ponieważ hol wiódł na przestrzał od głównego wejścia do drzwi kuchennych. Opuszczając budynek, zwróciłam uwagę na wypucowaną do czysta wiejską kuchnię, jakże podobną do królestwa pani Lane w Ferndell Hall, domu mojego dzieciństwa. Pani Haskell, którą zastałam zajęta zbieraniem opadłych na ziemię gruszek, nieszpułek i jabłek, przypominała jako żywo samą panią Lane. Podświadomie spodziewałam się, że gospodyni będzie zgrzybiałą, niesprawną staruszką, tymczasem powitała mnie krzepka niewiasta o białych, potarganych przez wiatr włosach, krzątająca się pod drzewami bez kapelusza i rękawiczek. Jej dłonie pokrywał sok z przejrzałych owoców, przyciągając roje spragnionych słodczy os i pszczoł.

– Użądła panią! – zawołałam.

– Już to zrobiły. Ktoś mógłby powiedzieć, że to kara boska za pracę w niedzielę. Ale ja tam myślę, że Pan Bóg się nie pogniewa, bo szkoda marnować takie dobre owoce, zamiast je zebrać i przerobić na wyśmienity cydr. – Odstawiwszy koszyk, wyprostowała się i przyjrzała mi się badawczo, acz z wyraźną aprobatą. Sondowała mnie spojrzeniem od czubków wypolerowanych buci-

ków po modny kapelusz. Wołałam nie wręczać jej wizytówki, żeby nie poczuła zażenowania, ujmując ją w powalane palce. Uśmiechnęłam się i poddałam dalszej lustracji.

Przerwała ją nagle:

– Przyjechała tu pani taki kawał z miasta? – Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– W rzeczy samej.

– A w jakim celu? I kim pani jest?

– Nazywam się Enola Holmes i chciałabym panią wypytać o parę spraw.

– A nie jest pani przypadkiem jaśnie panienką Enolą Holmes? – Był to leciutki przytyk do mojego arystokratycznego wyglądu.

– Nie, jestem najzwyczajszą Enolą.

– A dlaczego chce mnie pani wziąć na spytki, najzwyczajsza Enolu?

Od razu zaczęłam żałować, że nie mogę odparować tej pełnej werwy kobiecinie w równie bezpośredni sposób, jednak losy Myzelli Haskell za bardzo leżały mi na sercu, bym uległa skłonności do żartów. Odpowiedziałam:

– Jestem przedstawicielką rodziny Felicity Glover Rudcliff, drugiej żony hrabiego Dunhacha. Poinformował on listownie krewnych o niedawnym zgonie swojej małżonki i o spopieleniu jej zwłok. Bliscy mają wątpliwości co do prawdziwości tego oświadczenia i pragną wy badać, co naprawdę spotkało zarówno ją, jak i pierwszą żonę hrabiego.

Pani Haskell zaczerpnęła wielki haust powietrza, po czym wypuściła je powoli z płuc, podreptała do pobliskiej pompy, umyła ubrudzone sokiem dłonie i wytarła je w fartuch. Skinęła na mnie, bym podążyła za nią, i obie przeszłyśmy do położonej w zacisznym końcu ogrodu kamiennej ławki. Przysiadła na niej, dając mi kolejny niemy znak, bym zajęła miejsce obok. Zrobiłam to, ale nie odważyłam się odezwać pierwsza.

Po dłuższej chwili pani Haskell powiedziała:

– Myzella była moim skarbem, moją dumą, moją ukochaną wnuczką. I każdy dzień przedłużającego się ponad miarę żywota każe mi boleć nad jej losem.

Jej słowa zapadały w ciszę ciężko i głucho jak kamienie. Bez wątpienia miała ważny powód, by mówić o tej sprawie z goryczą. Czekałam w pełnym napięcia milczeniu, ledwo śmiąc odychać.

Po chwili podjęła wątek równie grobowym tonem.

– My, naiwni i prości ludzie ze wsi... jej rodzice, rodzeństwo i kuzyni, niczego nie podejrzewaliśmy. Nie zdołaliśmy odkryć prawdy o tym, co ją spotkało, aż wreszcie... było... za... późno.

Każde wypowiedane słowo sprawiało jej coraz większą trudność. Pokiwałam głową i odwróciłam się do niej, by spojrzeć jej w oczy, ponaglając ją błagalnym gestem, by nie przerywała opowieści.

Po chwili przymusiła się znowu do mówienia.

– W jaki sposób ta pani... proszę mi przypomnieć jej imię...

– Felicity.

– Dość niefortunne imię dla kobiety będącej żoną Rudcliffa. – Choć w jej głosie pobrzmiwała gorycz, udało jej się odzyskać nad nim pełną władzę. – Jak to się stało, że jej rodzina nabrała podejrzeń? Przecież my do końca byliśmy ślepi na prawdę.

– Felicity zostawiła szyfrowaną wiadomość. Zdradzić pani jej brzmienie?

– Tak.

– Były to słowa: zakład dla obłąkanych.

– Wielkie nieba! Jak się zdołała zorientować? – Wielmożna pani Haskell, porzuciwszy wszelkie pozory powściągliwości i dystansowania, odwróciła się ku mnie z ogniem w oczach. – Biedna dziewczyna, musiały do niej dotrzeć plotki na temat Myzelli, która miała tak wrażliwe i czułe serce, że podążyła do grobu za swoją ukochaną, maleńką Angelicą... A nawet nie do grobu, bo jej zwłoki zbezczeszczono i zamieniono w popiół. Chociaż my, ciemni jak tabaka w rogu wieśniacy, dalej niczego nie podejrzewaliśmy, to doktor Simons wiedział o wszystkim i przez blisko dekadę dźwigał na sumieniu fakt, że dał się przekupić i zastraszyć lordowi Cadoganowi. Zgodził się podpisać dokument zsyłający naszą kochaną ptaszynę do zakładu zamkniętego z powodu nerwowej gorączki.

Kolejne określenie na histerię.

– Zsyłającego dokąd? – spytałam z większym podekscytowaniem, niż powinnam. Przecież to może być kluczowa informacja umożliwiająca odszukanie Flossie!

Leciwa pani Haskell uśmiechnęła się żałośnie, domyśliwszy się przyczyny mojego nagłego zainteresowania. Równie dobrze mogłam wypowiedzieć swoje myśli na głos.

– Do parszywego, przeżartego zarazą szpitala nad Tamizą, panno Enolu. Zdołaliśmy tam dotrzeć, kiedy Myzella była już w szponach śmiertelnej choroby, i mogliśmy tylko dodać jej otuchy, zanim... Boże, daj jej wieczne spoczywanie... Oddała Panu swą jakże boleśnie skrzywdzoną duszyczkę. Jedyna pociecha, że choć nie mogliśmy przedstawić zarzutów hrabiemu Dunhenchowi, to doprowadziliśmy do tego, że ten tak zwany zakład został zamknięty. Budynek wyburzono i ślad po nim nie pozostał.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pogawędka z panią Haskell na ławeczce w głębi ogrodu trochę się przedłużyła. Dowiedziałam się, że jej syn, a ojciec Myzelli, mieszka z żoną w pobliskim gospodarstwie. Uznałam jednak, że nie warto ich odwiedzać, ponieważ i tak nie powiedzą mi niczego nowego, a nie chciałam ich zmuszać do wspomniania bolesnych doświadczeń. Zakończyłam wizytę przepełniona współczuciem dla całego klanu Haskellów, jednak wciąż nie miałam żadnych poszlak, które mogłyby mnie naprowadzić na ślad Flossie.

Co mogłam teraz powiedzieć Tish? Nie miałam żadnego planu działania. Pozostawało nam jedynie dreptać od jednego zakładu dla obłąkanych do drugiego z nadzieją, że jakimś cudem odnajdziemy zaginioną. Wróciłam do wynajętego powoziku, jednak tym razem patrzyłam na krajobrazy Surrey, nie ciesząc się ich urokiem. Wkrótce równie obojętnie przyglądałam się słupom telegraficznym, migającym za oknem pociągu zmierzającego do Londynu. Kiedy maszynista zwolnił, wjeżdżając na stację w Dorking, omiotłam niewidzącym wzrokiem ludzi stojących na peronie...

Jednym z nich był Sherlock Holmes.

Tym razem nie w przebraniu. Miał na sobie tweedowy strój podróżny i kraciatą czapkę.

Pograżona w żalonym otępieniu początkowo odniosłam jedynie mgliste wrażenie, że widzę coś, co jest mi znajome, jednak po chwili zamrugałam szybko, uświadomiwszy sobie, że jest to ktoś doskonale mi znany. Nabrałam głośno powietrza, skoczyłam na równe nogi i jak strzała wybiegłam z przedziału. Dopadłam końca korytarza w chwili, gdy pociąg hamował z piskiem i zgrzytem. Przepchnęłam się przed konduktora i stanęłam w drzwiach. Nie chcąc budzić sensacji, wykrzykując głośno imię i nazwisko mojego sławnego brata, wsunęłam w usta kciuk i palec wskazujący, po czym z całą mocą gwizdnęłam.

Sherlock odwrócił się w moją stronę, pomachał mu i od razu mnie rozpoznał. Oczywiście zwróciłam na siebie uwagę wszystkich znajdujących się na peronie osób. Zobaczyłam ich pełne grozy i zdumienia miny na widok eleganckiej młodej kobiety w morskich zieleniach i gustownym kapelusiku, zachowującej się w sposób niegodny damy. Uśmiechnęłam się pod nosem, patrząc jak Sherlock chwytą walizkę i – jeśli dobrze odczytałam jego mimikę – robi wszystko, żeby się nie roześmiać.

– Gdzieś ty się znowu podziewała, Enolu? – spytał z udawanym gniewem, kiedy oboje usadowiliśmy się w pustym przedziale.

– Mogłabym cię spytać o to samo – odparowałam natychmiast

– W rzeczy samej. – Miał zagadkowy wyraz twarzy. Trudno mi go było dokładnie określić, ponieważ nigdy przedtem go u Sherlocka nie zaobserwowałam. A jednak nie, nie myliłam się. Mój sławny brat wyglądał na zawstydzonego. – Chociaż mam niezbyt wiele do powiedzenia.

– Powiedz mi chociaż niewiele.

– Daj mi najpierw zapalić. – Kiedy już wypuścił z ust kłęb fajkowego dymu, nie mniej smrodliwego niż zawsze, oparł się wygodnie i zdał mi relację ze swoich poczynąń. – Wyjechałem z domu w piątek wieczorem, wczoraj zaś, udając stosunkowo trzeźwego Irlandczyka, poszedłem ubiegać się o posadę stajennego w Dunhench Hall, jednak nie zostałem zatrudniony. Zamarudziłem tam dłużej, żeby posłuchać plotek, jednak nie dowiedziałem się niczego na temat siostry naszej klientki. Wprosiłem się na podwieczorek do jadalni dla służby, licząc, że jej żeńska część będzie bardziej skłonna do rozmów, ale żadna z pań nie zdradzała chęci wyjawienia mi czegokolwiek. Jednak mowa ich ciała i zacięty wyraz twarzy nasunęły mi myśl, że kobieciny czegoś się boją.

– Czyli nie poczyniłeś postępów.

– Zaraz, zaraz, to jeszcze nie koniec moich niepowodzeń. Oddaliłem się stamtąd piechotą, ukryłem się w pobliskim lesie, wyszukałem wypełnioną liśćmi kotlinkę, w której drzemałem aż do czasu, gdy w rezydencji pogasły wszystkie światła. Wtedy zakradłem się tam i dostałem do wnętrza. Nie będę cię zanudzał szczegółami, wiedz jednak, że gdybym kiedyś musiał zmienić zawód, to z pewnością zrobiłbym olśniewającą karierę jako włamywacz. Pomyszkowałem w bibliotece, gdzie otworzyłem sejf ukryty za wielkim, acz mało pochlebnym portretem olejnym jednego z antenatów hrabiego. Przetrzałam sumiennie zawartość i sejfu, i biurka w poszukiwaniu jakiegoś prospektu czy świstka z nazwą lub adresem zakładu dla obłąkanych, w którym rzekomo wylądowała lady Felicity, czy chociażby pseudonimu, pod którym ją tam umieszczono, jednak nic takiego nie znalaz-

złem. Najdrobniejszej nawet wskazówki.

– To, że nic nie znalazłeś, nie przesądza o tym, że czegoś takiego nie ma.

– Znalazłem mniej niż nic. Po fiasku poszukiwań w bibliotece zakradłem się na górę do apartamentów lorda Cadogana, których lokalizację ustaliłem w rozmowie ze służbą. Tam usiłowałem przejrzeć, zapaliwszy smolną szczapkę, rozłożone na komodzie i stoliku nocnym papierzyska, starając się to robić bezszelestnie. Niestety, mimo starań obudziłem pana domu i musiałem salwować się ucieczką.

– Sherlocku! Czy cię zobaczył?

– Nie widział nic ponad coś, co narobiło hałasu w środku nocy, podobnie jak postawieni na nogi domownicy. Muszę przyznać, że natura obdarzyła tego człowieka potężnymi płucami. Jednak pewien dzielny służący natychmiast ruszył konno na posterunek policji, która z miejsca zaczęła przeczesywać okolicę i wypatrywać podejrzanych indywiduów. Uznałem, że najrozsądniej będzie opuścić Threefinches, i oto jestem. Czekam na sprawozdanie z twoich dokonań, Enolu.

Próbując zebrać myśli, zażartowałam:

– Możesz mi pożyczyć fajkę?

– Nonsens, Enolu. – A jednak musiał mocno walczyć z unoszącymi się kącikami ust.

– No dobrze. Tish i ja byłyśmy w Bedlam, wróciłyśmy załamane i przekonane o bezcelowości dalszych poszukiwań tego typu. Uświadomiłyśmy sobie, że Flossie może przebywać w każdym ze znanych nam zakładów, jednak szanse na to, że ją tam wypatrzymy, są równe zeru.

– Na niektóre oddziały zapewne was nie wpuszczono.

– Właśnie. Zresztą zakładam, że lord Cadogan przekupił personel, by trzymał ją w ukryciu.

– Czy udało ci się ustalić, dlaczego ją tam zamknął?

– Zaczekaj chwilę. Dziś udałam się do St. John's, żeby porozmawiać z krewnymi Myzelli.

Dowiedziałam się, że miejscowy lekarz wyznał na łożu śmierci, iż przyczynił się do umieszczenia pierwszej żony Caddiego w zakładzie dla obłąkanych...

Sherlock wszedł mi w słowo, wykazując sporą jak na jego powściągliwość ekscytację:

– W którym zakładzie?

– To już bez znaczenia. Haskellowie doprowadzili do jego zamknięcia i likwidacji jako węlgarni chorób zakaźnych. Myzella podzieliła los wielu innych pensjonariuszek tej instytucji, umierając wskutek zarazy wywołanej przez wyziewy Tamizy. Lord Cadogan poczuł się uprawniony do ponownego ożenku.

– I znów popełnił mezalians. – Sherlock przygryzł ustnik fajki i zaczął nerwowo pykać, marszcząc brew. Najwyraźniej żywił przekonanie, że nie wypada rozmawiać z przedstawicielką płci pięknej o tak delikatnej materii jak związek małżeński. – Enolu, czy nie zastanowiło cię, dlaczego poślubił Flossie Glover, mniejsza o jej urodę i talenty, skoro miał na wyciągnięcie ręki... – Tu przerwał, najwyraźniej zbyt zażenowany, by dokończyć zdanie.

Odważyłam się zrobić to za niego.

– Skoro miał na wyciągnięcie ręki każdą kobietę, od pomywaczki do damy dworu. Powiedziałabym, że ten typ mężczyzn traktuje kobiety jak przedmioty zbywalne.

Brwi strzeliły mu w górę.

– Słucham?

– Zbywalne. Jak coś, co można w każdej chwili zastąpić czymś innym, podobnie jak w przypadku bydła, kłamek do bielizny czy pionków na szachownicy. Nasza matka nauczyła mnie określać tym zwrotem pewien typ kobieciarzy.

– Ależ droga sestro! – Moja bezceremonialność wprawiła go w osłupienie.

– Kochany braciszku, przecież wiesz, że tak właśnie jest. Powiem więcej, powodem tego, że lord Cadogan nie poślubił utytułowanej damy z atutami w postaci mocnej pozycji społecznej i ustosunkowanej rodziny, był fakt, że takiej osoby trudno byłoby mu się pozbyć, gdyby uznał, że ma jej dosyć.

– No to po co w ogóle brał ślub?

– Prawdopodobnie po to, by zapewnić sobie potomka i dziedzica. Tymczasem z jakichś powodów Flossie szybko go znudziła. Myślę, że była jak na jego upodobania nazbyt prostolinijna.

Przez jakiś czas Sherlock puszczał w milczeniu kolejne kółka dymu, a kiedy fajka zgasła, nadal trzymał ją w zębach. Ja natomiast zapatrzyłam się w widoki za oknem. Pociąg przejeżdżał

właśnie przez osławioną dzielnicę nędzy Southwark. Jednak mózg podsuwał mi inne przerażające obrazy. Widziałam piękną bosą kobietę w poszarpanym ubraniu, z połową włosów wyrwaną przez towarzyski niedoli. Widziałam pozującego na dżentelmena łajdaka, jej męża, który pozbył się żony z domu jak zużytego ubrania. Oto lord Rudcliff jadący na polowanie. I lord Rudcliff w wartej krocie marynarce uśmiechający się znad kieliszka wina. Oraz lord Rudcliff spoglądający lubieżnie na służącą, która przyniosła mu coś mocniejszego na dobry sen.

Kiedy pociąg wjechał na Victoria Station, mój brat zamrugnął, podniósł się i schował fajkę do kieszeni.

– Co powiemy naszej klientce? – spytał. – To, że wyczerpaliśmy już wszystkie możliwe opcje przeprowadzenia śledztwa?

– Musi być jakiś sposób na tego drania! – Gwałtowność i głośność tego oświadczenia zaskoczyła nawet mnie, więc natychmiast złagodziłam ton. – Muszę to przemyśleć, Sherlocku. I muszę to zrobić z dala od smrodu machorki.

Zdawałam sobie (aż za dobrze) sprawę z tego, że pod wieloma względami przypominam brata. Oboje byliśmy ponadprzeciętnie wysocy, mieliśmy dolichocefaliczne czaszki, zarówno jego, jak i mnie – nad czym ubolewam – natura wyposażyła w profil cechujący się aż nazbyt wydatnym nosem. Miałam jednocześnie świadomość, że dzieli nas równie wiele, i nie chodzi wcale o różnicę płci. Z opisów jego biografa doktora Watsona wynikało, że Sherlock bardzo często zapominał o odżywianiu, zwłaszcza w chwilach, gdy jego genialny umysł pracował na najwyższych obrotach. Ja tymczasem starałam się nigdy nie opuszczać posiłków, wyznając bowiem przekonanie, iż pożywne i spokojnie strawione dania są doskonałym paliwem nie tylko dla ciała, ale także dla umysłu.

Kiedy więc wróciłam do Klubu dla Pań, zamówiłam obfitą kolację w postaci baraniego combra w miętowym sosie z pietruszką, gorących plasterków ziemniaków, pierożków z jabłkami i puddingu ryżowego. Po posiłku, zaszywszy się w swojej samotni, usiadłam za biurkiem i wyjęłam z szuflady papier i ołówek niemal równie mechanicznie, jak niektóre panie sięgają po odłożoną robotkę (mama zadbała o to, żebym nie poznała tajników dziergania, szydełkowania, wyszywania czy gry na fortepianie, bo pragnęła mieć pewność, że nie wyrosnę na domowe popychadło czy salonową ozdóbkę). Leniwie, niezależnie od mojej woli jak talerzyk na seansie spirytystycznym, moja dłoń zaczęła kreślić szkic, który po chwili okazał się paskudną karykaturą jakże przystojnego oblicza lorda Cadogana Burra Rudcliffa Drugiego.

Rozochociona nagryzmoliłam kolejny jego wizerunek, tym razem z wysuniętym językiem, potem jeszcze portrecik konny, na którym wyrzucony z siodła szybował z tylną częścią ciała w górę. Na kolejnym arkuszu przedstawiłam go biegnącego z rozwianymi połami za uciekającą kobietą, która początkowo była pomywaczką, lecz po chwili zaczęła bardziej przypominać pensjonariuszki Bedlam. Po chwili Caddie poszedł w odstawkę, a ja szkicowałam kolejne nieszczęsnice rzekomo dotknięte obłędem: bose, obdarte, upodlone, osuwające się z twardych ławek czy zalegające na posadzce jak śmieci. Jedną z nich była Flossie. Wprawdzie nie dane mi było spotkać się z nią osobiście, widziałam jednak jej fotografię i znałam dobrze jej siostrę bliźniaczkę. Zapępiałam kartę za kartą wizerunkami Flossie, a to wychudzonej i wymizerowanej, wciśniętej w grubo watowany, sztywny pancerz płócienny, a to siedzącej w łachmanach z długimi skołtunionymi włosami spływającymi na plecy, a to pełną uroku w wytwornej sukni wieczorowej, a to we wspaniałym nowym kapeluszu i żakiecie z najmodniejszymi bufiastymi rękawami. Obok niej pojawiała się Tish, elegancka i wyzywająca w meloniku, kamizelce, z wysokim kołnierzykiem i fularem zawiązanym fantazyjnie pod szyją.

Wiedziałam, że taki trans rysowniczy wieńczyło zazwyczaj wypłynięcie z zakamarków pamięci jakiegoś przydatnego szczegółu. Już dawno się przekonałam, że samo rozumowanie bywa zawodne. Zabrałam się do szkicowania następnego wyobrażenia Flossie. Tym razem dosiadała pełnego temperamentu konia odziana w gustowną amazonkę, a potem wzięłam się za Tish... ale zdążyłam jedynie narysować jej buzię, kiedy zdarzyło się coś niezwykłego.

Ktoś zapukał do moich drzwi.

Poderwałam się gwałtownie z miejsca, aż pokryte rysunkami arkusze spłynęły na podłogę, i przebiegłam przez pokój, wołając:

– Kto tam?

– Tish.

– Tish! – Otworzyłam szeroko drzwi i zaczęłam ją wylewnie witać. Radość z tej niespodziewanej wizyty kazała mi zapomnieć, że przecież nie mam dla dziewczyny żadnych dobrych wieści.

Tish weszła do środka, zobaczyła leżące u moich stóp szkice rozrzucone na chodniczku z włókna kokosowego i zawołała:

– To twoje rysunki? Przecież są cudowne! Nie podepcz ich! – Przykucnęła i zaczęła je zbierać z podłogi, przyglądając się badawczo każdemu z nich.

– Widzę, że podzielasz moją opinię o lordzie Cadoganie... Ojej! Narysowałaś i mnie!

– To nie ty – powiedziałam przekornie w nadziei, że uda mi się wywołać uśmiech na jej twarzy. – To przebrana za ciebie Flossie.

– Oczywiście. Dlatego przedstawiłaś mnie jako ślicznotkę.

Wyczuwając w jej uwadze nutkę przygnębienia, natychmiast zaoponowałam:

– Tish, ty naprawdę jesteś śliczna. – Przysiadłam obok niej na podłodze i sięgnęłam po inny rysunek, na którym uwieczniłam wieczorową suknię o barwie czerwonego wina, i zażartowałam: – To jesteś ty przebrana za Flossie.

Kiedy to mówiłam, poczułam, że gdzieś w zakamarkach mojego umysłu coś plusnęło i zaczęło bulgotać, więc nagle zamilkłam z otwartymi ustami.

Tish nie tylko się nie uśmiechnęła, ale także sięgnęła po kolejny szkic przedstawiający bosą i odzianą w łachmany kobietę.

– A tak może dziś wyglądać moja Flossie – powiedziała zbolalym głosem.

– Ojej... – wyszeptalam, a oczy otworzyły mi się równie szeroko jak czeluści mojego umysłu. – Na wszystkie moje pomysły gwiazdy...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tish i ja przegadałyśmy tego wieczoru kilka godzin. Zdałam jej relację z działań podjętych przez Sherlocka i przeze mnie w celu ustalenia szczegółów tego, co spotkało Flossie. Streściłam jej naszą popołudniową rozmowę w pociągu i powtórzyłam jego pełne obawy słowa o wyczerpaniu wszystkich możliwości. Później wyznałam jej, że zaczyna mi świtać pewna myśl, która nie ma jeszcze solidnych fundamentów, i zapewniłam, że gdyby była tak uprzejma, mogłaby mi pomóc ją urzeczywistnić. Nie spiesząc się, starałam się jak najdokładniej przedstawić swój plan. Początkowo Tish słuchała z niedowierzaniem. W miarę upływu czasu, kiedy już utwierdziłam ją w przekonaniu, że intryga ma spore szanse powodzenia, Tish reagowała coraz bardziej lęklwie, ba, była wręcz śmiertelnie przerażona, ale dzielnie zapewniała mnie, że mogłaby spróbować.

Kiedy zbliżała się północ i wiadomo było, że żadna z nas tej nocy nie zaśnie, namówiłam Tish, by dała mi ułożyć sobie włosy w wymyślną koafiurę, zwieńczyłam ją jednym z moich najelegantszych kapeluszy, naniosałam jej na wargi i policzki odrobinę różu i narzuciłam na jej męski strój lejącą się i obszytą futerkiem poloneskę. Pożyczyłam jej swoje najlepsze rękawiczki z koźlęcej skóry, wręczyłam delikatną chusteczkę z koronkowymi brzegami, poinstruowałam, jak ją chwycić pośrodku i trzymać z wdziękiem między kciukiem a palcem wskazującym (ponieważ elegancka dama musi zawsze coś trzymać). I kiedy miejskie zegary oznajmiły nadejście godziny duchów, opuściliśmy klub, by złożyć wizytę Sherlockowi.

Z zapisków doktora Watsona wynikało, że wielki detektyw ma w zwyczaju zarywać noce, poświęcając je na prowadzenie badań, rozmyślania czy eksperymenty z substancjami chemicznymi. Jednak tym razem ani u niego, ani u pani Hudson nie paliło się światło. Z różnych względów, wśród nich także dlatego, że włożyłyśmy mnóstwo wysiłku w przebranie Tish, nie miałam ochoty odejść z kwitkiem. Zaczęłam łomotać i dzwonić do drzwi, budząc panią Hudson, a po chwili także mojego brata.

Ziewając, wychynął ze swojej sypialni w szlafroku i grubych filcowych papuciach, zamrugał powiekami na widok Tish, uniósł wysoko brwi i spytał:

– Lady Felicity?

– Widzisz, Tish? – powiedziałam, robiąc wszystko, by nie zabrzmiało to triumfująco. – Możesz się tego podjąć.

– Tish? – powtórzył mój brat i od razu się zreflektował: – Panno Glover, proszę usiąść. – Odwrócił się do mnie: – Czego miałyby się podjąć?

– Odegrania roli swojej siostry.

– Rozumiem. Ale czemu uznałaś za stosowne dowodzić mi tego w środku nocy?

– Ponieważ czuję, że pierwszy i ostatni raz dała mi się przebrać za lalkę.

– I słusznie – odezwała się Tish ze swego krzesła. – Nie będzie to zresztą potrzebne. Z radością zamienię ten potworny kapelusz na bose stopy i łachmany.

Brwi Sherlocka uniosły się jeszcze wyżej, a on sam złożył się wpół, by usiąść na sofie. Następnie opuścił brwi i wpatrzył się we mnie jastrzębim wzrokiem.

– Enolu, czyżbyś wprowadzała w życie jakiś kolejny zwariowany plan?

– Najbardziej zwariowany z dotychczasowych – przytaknęłam, po czym usiadłam i zaczęłam wyjaśniać bratu szczegóły.

– Ryzykowne – stwierdził pół godziny później Sherlock, pykając fajkę z zacięciem, jakie rzadko u niego obserwowałam. – Wyjątkowo niebezpieczne. Decyzja należy wyłącznie do pani, panno Glover.

Podniosła na niego pełne niedowierzania oczy.

– Czy naprawdę sądzi pan, że mogłoby mi się to udać?

– Musi się udać, ponieważ to nedorzeczne przedsięwzięcie może się okazać naszą jedyną nadzieją na odszukanie pani siostry. Przyznam, że nie potrafię zaoferować żadnego lepszego rozwiązania.

– Więc pańskim zdaniem powinniśmy spróbować?

– Tak, pod warunkiem że zaplanujemy akcję w najdrobniejszych szczegółach. Będzie nam potrzebny wosk pszczeli, mydło, ocet, wazelina, puder ryżowy, szminka teatralna... No i kwestia pani włosów. Są identycznej barwy jak u siostry?

– Nie, ona... rozjaśnia je sokiem z cytryny – odpowiedziała Tish, rumieniąc się ze wstydu za taką szczerość. Po chwili wahania dodała: – I nie sądzę, byśmy zdołali je przekonująco splątać i skołtunić. Myślę... myślę, że najlepiej będzie je ściąć.

– Ależ droga pani! – krzyknął zbulwersowany Sherlock.

– Może pożyczyc moje peruki, dopóki jej nie odrosną – odpowiedziałam mu najłagodniej, jak potrafiłam.

„Mężczyźni zawsze się przejmują błahostkami”, pomyślałam.

– Efekt będzie tak piorunujący, że Caddie nie zwróci uwagi na to, co robię i mówię, jeśli nawet sparaliżuje mnie strach – dodała Tish.

– Słuszna uwaga. Przyprawiliście mnie obie o niezły zawrót głowy. – Sherlock zerknął w stronę leżącego na kominku perskiego bucika, jakby zamierzał ponownie nabić fajkę, ale pokręciwszy głową, odwrócił się do nas zdecydowanym ruchem. – Jest już bardzo późno. Umówmy się razem na jutro rano. W tej chwili mam kilka spraw do przemyślenia, w tym bardzo delikatną kwestię związaną z pewną andyjską kopalnią złota i niedawnym atakiem chupacabry na brytyjskiego ambasadora w Chile, przyznam jednak, że nawet ta zagadka nie ma w sobie tak wielkiej oryginalności i pomysłowości, jak planowana przygoda w Dunhynch Hall. Drogie panie, możecie liczyć na moją obecność i wsparcie.

Do rana zdążyłam się odrobinę przespać, więc emocje opadły i myśląc nieco trzeźwiej, uświadomiłam sobie, na jak wielkie niebezpieczeństwo zamierzam narazić Tish. Zrozumiałam, że jeśli chcemy ją ochronić, trzeba będzie przygotować całą akcję precyzyjnie jak wypad zwiadowczy na terytorium wroga.

Sherlock doszedł najwyraźniej do podobnych wniosków. Kiedy ponownie dotarłam na Baker Street, zobaczyłam, że wyniósł skądś wielką tablicę i ustawił przed nią krzesła. Po chwili, ku mojemu miłemu zaskoczeniu, w jego mieszkaniu pojawił się doktor Watson. Powitawszy go i nalawszy mu herbaty, rzuciłam w stronę Sherlocka:

– Widzę, że wezwałeś posiłki.

– W rzeczy samej i żałuję, że tak nieliczne. A, dzień dobry, panno Glover – powiedział na widok wchodzącej Tish. Przedstawił ją: – Panna Letitia Glover, mój przyjaciel i współnik, doktor Watson.

– Miałem przyjemność już panią poznać. – Szarmancki jak zawsze Watson wstał i ukłonił się tak zamaszycie, że omal nie rozlał przy tym herbaty.

Tish zerknęła w stronę Sherlocka.

– Czy jest wtajemniczony?

– Na razie tylko w to, że musimy uwolnić pani siostrę, która jest pani bliźniaczą kopią, z zakładu dla obłąkanych, którego adresu nie zdołaliśmy jeszcze ustalić.

– Dodam – wtrącił Watson – iż cieszy mnie niezmiernie perspektywa zemsty na krętaczu, który sfalszował mój podpis na dokumencie urzędowym.

– No proszę – podsumował Sherlock.

Odwrociłam się do Watsona.

– Skrótowno rzecz ujmując, plan przedstawia się następująco. Panna Glover przeobrazi się w swoją rodzoną siostrę, po czym obdarta, bosa i wynędzniała stanie przed obliczem swojego szwagra i wmówi mu, że uciekła z zakładu. Spodziewamy się, że lord zechce ją tam natychmiast zawieźć, co pozwoli nam ustalić, w której konkretnie instytucji umieścił żonę – rzekłam.

Doktor Watson skomentował to jedynie uniesieniem brwi i cichym gwizdnięciem.

– Właśnie – odezwał się Sherlock. – Musimy dokładnie przemyśleć każdy etap tego ryzykownego przedsięwzięcia. – Podszedł do tablicy, sięgnął po kredę, a my zajęliśmy miejsca jak grupa posłusznych uczniów. Sherlock zaczął pisać dużymi literami:

ZAŁOŻYĆ BAZĘ W POBLIŻU DUNHENCH

DOPROWADZIĆ PANNĘ LETITIĘ GLOVER DO DUNHENCH HALL, OBSERWUJĄC JĄ Z UKRYCIA

BYĆ PRZY TYM, KIEDY ZOSTANIE UMIESZCZONA W POWOZIE, I POJECHAĆ W NIM LUB ZA NIM

JEŚLI POZNAMY NAZWĘ ZAKŁADU, ZATRZYMAĆ POWÓZ, JEŚLI CEL POZOSTANIE NIEZNANY, PODĄŻAĆ ZA NIM

W JEDNYM LUB DRUGIM PRZYPADKU WATSON UŻYJE SWEGO AUTORYTETU MEDYCZNEGO, BY UWOLNIĆ LADY FELICITY

Watson, mimo napiętej atmosfery, spytał łagodnym tonem:

– Lady Felicity?

– Felicity Glover Rudcliff, hrabina Dunhench, bliźniacza siostra naszej klientki i nieszczęśliwa żona Cadogana Burra Rudcliffa Drugiego, hrabiego Dunhench z hrabstwa Surrey.

– Aha.

– Kolejna kwestia: jak się tam dostaniemy? Nie możemy się pokazać w Threefinches, ponieważ miejscowi widzieli tam już zarówno Enolę, jak i mnie, co wzbudzi niepotrzebne plotki.

– Możemy pojechać pociągiem do Woking, wynająć tam powóz i zajechać do rezydencji od strony pół – powiedział Watson. – Moglibyśmy sprawdzić, czy nie ma w pobliżu jakiegoś domku do wynajęcia.

Sherlock stwierdził z aprobatą:

– Doskonały pomysł. Boję się, że ktoś mnie tam rozpozna, więc miałbym do ciebie prośbę. Czy będziesz łaskaw przy pierwszej nadarzającej się okazji udać się tam i wyszukać nam lokum?

– Zrobię to jeszcze dzisiaj.

– Ja tymczasem mogę się udać z Tish na zakupy i dobrać jej odpowiedni ubiór – zaoferowałam.

Sherlock kontynuował:

– Kiedy przyjedziemy do wynajętej kwatery, pomogę ci nadać jej upiorny wygląd, wykorzystując kilka sztuczek podpatrzonych w teatrze.

Tish odezwała się nieśmiało:

– Ale jak się później dostanę do Dunhench Hall?

– Dobrze pytanie, bo jest to w istocie najtrudniejsza część naszej intrygi. Musimy tam się zjawić po zmroku, pod wieczór, kiedy uroczy pan hrabia będzie w domu sam, zajęty spożywaniem kolacji lub inną czynnością. Trzeba będzie przekupić albo pozbawić przytomności odźwiernego ze stróżówki. Zakładam, że pokonawszy bramę, poradzi sobie pani dalej sama.

– Myślę, że uda mi się wprowadzić w błąd kamerdynera i Caddiego. – Jej głos stopniowo nabierał mocy. – Wyglądam jak Flossie, a także niejedną raz obserwowałam ją w chwilach wzburzenia. Wiem dobrze, jak może się zachowywać i jakich użyć słów. Dość często ponosiły ją przy mnie nerwy.

– Znakomicie. – Kąciki ust Sherlocka nieznacznie zadrgały.

– A najgorsze, co może mi zrobić Caddie, to dać mi w twarz. – Sądząc z miny, nie uśmiechała się jej ani wizja rozmowy z Caddiem, ani perspektywa spoliczkowania.

– Jedno lub dwoje z nas będzie stało na czatach, by w razie czego panią obronić. Założmy jednak, że obejdzie się bez takiej interwencji i zostanie pani wywieziona z Dunhench Hall. Co dalej? Musimy założyć, że umieszczą panią w krytym powozie. Mam nadzieję, że Enola zdoła się do niego zakraść i schowa się pod siedziskiem, zanim stangret wyprowadzi go z wozowni. Kiedy pojazd ruszy, Watson i ja udamy się w ślad za wami. Tylko jak? Musimy się postarać o brek czy inny lekki pojazd i ukryć go gdzieś za bramą. Co oznacza, że będzie nam potrzebny jeszcze jeden człowiek do pilnowania konia i obserwowania stróżówki. Ktoś zaufany.

Zapadła cisza.

– Panno Glover, czy na pewno nie ma pani żadnych krewnych płci męskiej?

– Na pewno.

– Watson? Może ty znasz kogoś odpowiedniego?

Nie wyglądało na to, by znał. Natomiast ja poczułam przyjemny dreszczyk towarzyszący każdemu mojemu genialnemu pomysłowi i z miejsca oznajmiłam głośno:

– Wiem, kto nam bardzo chętnie pomoże. Tewky!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Opisane wyżej spotkanie odbyło się w poniedziałek. Przygotowania zajęły nam czas aż do piątku.

Każde z nas otrzymało inne zadanie. Ja napisałam list do Tewky'ego, wtajemniczając go w nasze plany. Watson potrzebował aż trzech dni, by wyszukać i wynająć domek, który odpowiadał naszym potrzebom. Tish i ja zajęłyśmy się szkicowaniem układu wewnątrz Dunhench Hall. Sherlock przygotował resztę dokumentacji, sporządzając niezliczone notatki i zaopatrując się w szczegółowe mapy hrabstwa Surrey oraz okolic rezydencji. Zawiozłam Tish do bardzo podłej części londyńskiego East Endu, gdzie odwiedziłyśmy kilka sklepów ze starzyzną w poszukiwaniu jak najbrzydszej sukni, a przy okazji skompletowałyśmy dla niej strój żałobny (mój pomysł), by nie ściągąła na siebie uwagi ciekawskich w trakcie podróży do Surrey. W dniu, w którym musiała pracować, wybrałam się z Sherlockiem do Belvidere, by rozmówić się z wicehrabią Tewkesbury, czyli markizem Basilwether. Mimo moich zapewnień, że mogę tam jechać sama, brat uparł się, że musi być świadkiem zawarcia układu, zanim uwierzy w jego prawdziwość.

– Szlachetnie urodzony młody dziedzic ma powozić bryczką, żeby wprowadzić w życie twoje szalone plany, Enolu? – spytał, kiedy znajdowaliśmy się już na podjeździe wiodącym do Basilwether Hall. – Przecież to absurd.

– No to wymień mi innego krzepkiego i bystrego młodego człowieka z kręgu naszych znajomych, który nie ma zajęcia i dysponuje czasem, by nam pomóc – odcięłam mu się.

W odpowiedzi usłyszałam jedynie prychnięcie. Zaraz potem rozległ się młodzieńczy głos:

– Haaalo! – Naszym oczom ukazał się Tewky z gołą głową, lecz poza tym nienagannie odziany w myśliwską kurteczkę i bryczesy płowej barwy. Przeskoczył przez balustradę, by do nas podbiec. – Witam pana Holmesa, któremu zawdzięczam powrót do domu! – Potrząsnął serdecznie ręką Sherlocka. – Co za radość znów się z panem spotkać. Czołem, Enolu! – Rozłożył ramiona, jakby chciał mnie zamknąć w braterskim uścisku.

Cofnęłam się z uśmiechem, ale zmiętygowałam go surowym tonem:

– Tewky, proszę cię bardzo, żebyś się uspokoił i uważnie nas wysłuchał. Okazuje się, że „czarny ekwipaż” to określenie powozu, którym oprawcy wywożą ludzi do zakładu dla obłąkanych. Potrzebujemy twojej pomocy.

Natychmiast spoważniał.

– Dla każdego z was dwojga jestem gotów zrobić wszystko...

– Dla obojga – poprawił go Sherlock. – I proszę nas wysłuchać, zanim złoży pan jakiegokolwiek deklarację. Możemy się przejść?

Tewky wychował się w domu pełnym służących, a ci, rzecz jasna, nieustannie swoich państwa podsłuchiwali, więc zrozumiał w lot intencję mojego brata. Zaprowadził nas na łąki dzielące ogrody od pobliskich lasów, a my przedstawiliśmy mu okoliczności sprawy. Jego reakcja była więcej niż zadowolająca.

– Chcecie tylko, żebym udał się koleją do Dorking, wynajął rączego konia i wagonetkę, podjechał pod Dunhench Hall i w razie potrzeby służył wam pomocą? Oczywiście, że to zrobię. A czy wolno mi będzie dać lordowi Cadoganowi fangę w nos?

– Tylko wówczas, jeśli ja uczynię to pierwszy – odparł Sherlock głosem cierpkim jak skwaśniałe ze starości wino. – No i rzecz jasna, tylko wówczas, kiedy książę i księżna wyrażą zgodę na to, by ich syn wziął udział w tak nedorzecznym przedsięwzięciu.

– Dlaczego nedorzecznym? Przecież to genialny plan – zaproponował Tewky ku mojej wielkiej satysfakcji. – Rodzice z radością przystaną na waszą propozycję. Już od dawna chcą mnie kształcić na woźnicę, bo tylko w tej dziedzinie przejawiam jakiegokolwiek uzdolnienia.

Chciał nas rozśmieszyć i dopiął swego. Jednak chwilę później, wewnątrz Basilwether Hall, przedstawiając rodzicom sprawę w naszej obecności, mówił całkiem serio.

– To jedyna okazja, bym mógł chociaż w nikłym stopniu spłacić dług wdzięczności wobec panny Holmes.

– Oczywiście jest to także szansa przeżycia kolejnej przygody – dodała księżna, a na jej dystyngowanej twarzy pojawił się kpiący uśmieszek. Tak czy owak ich książęce mości wyraziły aprobatę dla udziału syna w naszym spisku. Myślę, że sporą rolę odegrał tu autorytet Sherlocka Hol-

mesa.

– Wszyscy będziemy zdani na twoją pomoc – stwierdził, wręczając markizowi Tewkesbury, wicehrabiemu Basilwether, spisane odręcznie instrukcje i naszkicowaną przez siebie mapę.

Mogę się domyślać, że podczas trwających tygodni przygotowań Tish niewiele jadła. Faktem jest, że straciła apetyt w chwili, gdy dotarła do niej wieść o „odejściu” ukochanej siostry. Wtedy też zaczęła źle sypiać, co znalazło odbicie na jej wymizerowanej i bladej twarzy. Z punktu widzenia Sherlocka zwiększało to jej szanse na wiarygodne odegranie nieszczęsnej Flossie. Ja natomiast bardzo się jej stanem niepokoiłam. Dlatego w dniu, w którym mieliśmy wprowadzić nasz plan w życie, zaprosiłam ją wczesnym rankiem na śniadanie do jednego z prywatnych gabinetów jadalni Klubu dla Pań. Podano nam przepyszny posiłek, na który składały się szynka, ryba, ozór wołowy, gorące bułeczki i słodkie herbatniki. Ale chociaż zachęcałam ją usilnie, by porządnie się najadła, nie dała się przekonać. Skubnęła i przełknęła ledwie parę kęsów.

– Tish, musisz wzmocnić siły! Co się stanie z Flossie, jeśli okażesz się zbyt wątła, żeby zagrać swoją rolę?

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Przestań mnie sztorcować, Enolu, nie jesteś moją matką.

Myśl, że kojarzę się komuś z jego matką, była tak szokująca, że na dłuższy czas zamilkłam. Po śniadaniu udałyśmy się do mojego pokoju i przebrałyśmy się przed podróżą, mając w pamięci, by jak najmniej rzucać się w oczy. Z żalem wskoczyłam w nijakie fatałaszkę: kostiumik z jasnobrązowej serży i pozbawiony ozdób kapelusz przypięty do gładko zaczesanych w koczek włosów. Żałobny strój Tish zapewnił jej niewidzialność, i to od stóp do głów. Nawet twarz miała zakrytą grubą czarną woalką spływającą z runda sztywnego czarnego kapelusza.

– Wielkie nieba, prawie nie widzę, którądy idę – zamruczała, uczepiwszy się mojego ramienia, kiedy sprowadzałam ją na dół po schodach. Przeszliśmy do dorożki, w której już wcześniej kazałyśmy umieścić nasze bagaże i koszyk piknikowy.

Sherlock i Watson czekali na nas na stacji. Mój brat zdecydował się wreszcie na inne nakrycie głowy niż kraciasta czapka lub cylinder. Wprawdzie nie był w przebraniu, jednak dołożył wszelkich starań, by nie wyróżniać się w tłumie: miał na sobie brązowe, powypychane na kolanach spodnie, lekko wystrzępiony żakiet oraz mocno sfatygowany filcowy homburg. Watson natomiast nie musiał niczego w swoim wyglądzie zmieniać, ponieważ stale unikał ostentacji w ubiorze.

W trakcie powitania na peronie, odbierania bagażu i wsiadania do wagonu staraliśmy się odzywać z rzadka i cicho, rozpluwając się w banalnym zachwycie nad piękną, ciepłą, bardziej letnią niż jesienną aurą. Kiedy pociąg minął granicę Londynu, komentowaliśmy urodę wiejskich plenerów. Tish nie podnosiła woalki i prawie się nie odzywała. Konduktor uznał ją zapewne za pogrążoną w rozpacz młodą wdowę. Sherlock przeglądał gazety, a Watson i ja, zajmujący miejsca po przekątnej, gawędziliśmy niezobowiązująco dla podtrzymania pozorów.

Wysiedliśmy na stacji w Woking, miejscowości, w której nigdy nie byłam, a którą Sherlock zdawał się znać całkiem dobrze. Powierzywszy bagaż tragarzowi, udaliśmy się do czekającego na nas środka lokomocji. Brek okazał się sporym krytym pojazdem zaprzęgniętym w ni mniej, ni więcej tylko cztery konie. Był za skromny, by można go było nazwać powozem, brakowało mu także stangreta w uniformie. Woźnicą był prosty wieśniak. Pospolicie wyglądające konie nie miały błyszczących uzd ani lejców. Sam pojazd był pozbawiony ozdób czy wygodnych pluszowych siedzisk. Kiedy znaleźliśmy się w jego wnętrzu i mieliśmy pewność, że woźnica nas nie usłyszy, ośmieliłam się odezwać:

– Podróżujemy w nieco skromnych warunkach.

– Bo jesteśmy osobami o niedużych dochodach i marnym pochodzeniu – wyjaśnił Holmes.

– Zaczekajcie, aż zobaczycie domek – dodał Watson z łobuzerskim uśmiechem.

Zza woalki rozległ się nagle rozedrgany z emocji głos Tish.

– A co będzie, jeśli nie zastaniemy Caddiego w domu?

Twarcz Sherlocka ściągnęła się w wyrazie dezaprobaty, ale zanim zdołał wypowiedzieć jakąś kąśliwą uwagę, Watson pospieszył z odpowiedzią.

– Jestem pewien, że pan Holmes wszystko wcześniej ustalił, panno Glover.

– Tak właśnie zrobiłem – potwierdził Sherlock, starając się zdobyć na cierpliwość. – Lord Rudcliff przebywa w Dunhench Hall i nikogo w tej chwili nie gości.

Wóz chybotął się i podskakiwał na wyboistych wiejskich drogach. Brak jakichkolwiek resorów i zawieszenia dawał się nam niemiłosiernie we znaki. Rozmowa w każdej chwili mogła się zakończyć bolesnym przygryzieniem języka, postanowiliśmy zatem jechać dalej w milczeniu.

Podróż, którą odbyliśmy pociągiem z Londynu, wydawała się krótka w porównaniu z niemającym końca telepaniem się po polnych drogach. Jeden koń z pewnością nie dałby rady uciągnąć na nich powozu. Nieraz przywoływałam się w duchu do porządku, powtarzając sobie, że to jedyny sposób, by przedostać się niezauważenie w okolice Dunhench Hall.

W końcu Watson podniósł się, wysunął głowę przez okienko i zawołał coś do woźnicy, a ten mu coś odkrzyknął. Po paru takich wymianach zdań i kluczeniu krętymi, okolonymi żywopłotami uliczkami zatrzymaliśmy się przed naszą „kwaterą główną”.

Domek był jota w jotę taki, jak zapowiedział Watson, czyli wyjątkowo nijaki. Ze ścian odłaziły płaty tynku, odsłaniając polne kamienie. Stromy dach z dwiema lukarnami i rysujący się pod nim obrys drzwi nasuwały skojarzenia z patrzącym spode łba neandertalczykiem. Wnętrze składające się z dwóch izb, w których nie było nic prócz pieca, stołu i kilku krzesel, prezentowało się niewiele lepiej, ale było mi to obojętne. Zgłodniałam tak, że natychmiast wypakowałam z kosza piknikowego zimny, spóźniony lunch. Ku mojemu zaskoczeniu i frustracji nikt poza mną nie wykazywał większego zainteresowania jajami faszerowanymi, kanapkami z pieczoną fasolą, krakersami, sardynkami i tym podobnymi frykasami.

Zapatrzony w okno na tyłach domu Sherlock zbył oferowaną przeze mnie zimną grzanekę z serem machnięciem ręki.

– O ile się nie mylę, widać stąd Dunhench Hall.

– Zgadza się. Domek jest położony dosłownie na tyłach posiadłości hrabiego. – Wszedłszy pod dach po wypakowaniu bagaży i odprawieniu breku, Watson również machnął ręką na podaną mu przeze mnie kanapkę. – Holmesie, mam pewną myśl. Jeśli znajdziemy albo wymyślimy sposób, jak wejść na posesję od tej strony, odpadnie nam problem użerania się z odźwiernym.

– Doskonale! – zawołał mój brat, po czym obaj chwycili laski i wyszli z domku, by wrócić dopiero po zmierzchu.

Westchnęłam ciężko, odłożyłam ogryzany właśnie kawałek szwajcarskiego sera i podeszłam do Tish, która stała nieruchomo pośrodku izby jak owinięta kirem latarnia. Uniosłam grubą woalkę i próbowałam dostrzec jej twarz, jakbym wypatrywała jej w jaskini. Czerń stroju podkreślała mocno jej bladość.

– Wychodź, pokaż się, gdziekolwiek się ukryłaś! – zażartowałam, wyciągając jej z włosów spinki, by móc usunąć czarną zasłonę zakrywającą szczerlnie głowę. Kiedy pozbawiłam ją kapelusza, Tish zatrzepotała powiekami, jakby oślepił ją panujący w chatce półmrok. Ujęłam ją za rękę i zaprowadziłam do stołu. – Chodź, posiedź tu ze mną i spróbuj coś przełknąć.

Usiadła, ale jedzenia nie tknęła.

– Nie mogę.

– Naprawdę? Może chociaż kilka krakersów. – Otworzyłam puszkę sardynek.

– Nie mogę. Zemdli mnie.

Chrupiąc krakersy z sardynkami, spytałam:

– Dlaczego? Czego się boisz? Jego łajzowskiej mości Caddiego?

– Tak. Ale jeszcze bardziej... – Przełknęła ślinę, spojrzała na blat, a potem na mnie. Widziałam, że mówi z najwyższym trudem. – Jeszcze bardziej przeraża mnie wizja zakładu dla obłąkanych. To, że mnie tam zabiorą i umieścą.

– Tish, doktor Watson i mój brat zadbają o to, żeby cię tam nie zamknięto! Pomożesz nam jedynie ustalić adres, spod którego mamy przejąć twoją siostrę. Przecież to cudowne, że Flossie odzyska wolność, prawda?

– Jeśli się jeszcze jakoś trzyma. Ale... ale jeśli upodobniła się do innych...

Wreszcie dotarły do mnie skala i głębia jej przerażenia, co skutecznie odebrało mi apetyt. Odsunęłam od siebie krakersy i sardynki.

– Przyznaję, że prawie nie myślałam o tym, co będzie później – przyznałam się cicho. Gdzie miałyby się podziac Flossie, z kim miałyby zamieszkać, jeśli nie z siostrą? A jeśli udzieliło się jej otaczające ją szaleństwo i też wpadła w obłąd? Jak wówczas Tish połączy opiekę nad siostrą z pracą zarobkową?

Wzięłam głęboki wdech.

– Tish, mam ci do zakomunikowania dwie sprawy. Po pierwsze, zawsze będę ci pomagać. Po drugie, lepiej mierzyć się z kłopotami po kolei, zamiast uprzedzać fakty. – Wstałam i wskazałam jej zdecydowanym ruchem pomieszczenie obok. – A teraz czeka nas cała masa roboty.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zacznijmy od ścięcia włosów – powiedziała Tish.

„Czyli od tego, co najgorsze”, dopowiedziałam w myśli. Nie odezwałam się ani słowem, ale też nie rzuciłam się od razu do strzyżenia. Uwolniłam jej długie loki, wyciągając spinki. Rozczesawszy włosy na plecach, spłotłam wszystkie gruby na pół jarda warkocz, zaczynając od czubka głowy. Potem wzięłam nożyczki i ucięłam warkocz u podstawy. Złożyłam go Tish na kolanach, a ona przykryła go dłonią na znak pogodzenia się z losem. Jednak nic przy tym nie powiedziała ani nie podniosła wzroku.

Strzygąc to, co zostało z jej włosów tuż przy skórze, wypatrywałam łez, ale się ich nie doczekałam. Wreszcie odważyłam się spytać:

– Jak się czujesz?

– Chyba mam to dosłownie z głowy. I zaczynam w nią marznąć. Zaraz pewnie pokryje ją gęsia skórka.

Roześmiałam się, słysząc, że poprawił jej się nieco nastrój, zawinęłam jej na głowie ciepły turban z długiego szala i zaczęłam przygotowania do dalszej charakteryzacji. Sherlock taktownie wyczuł, że czułaby się skępowana, gdyby sam się tym zajął, więc udzielił mi dokładnych wskazówek.

– Przebierz się – powiedziałam. – Czas na oszpecenie skóry na kończynach i dekolcie.

– Marzę o tym.

– Zawołaj mnie, kiedy będziesz gotowa. – Wróciłam do izby, w której stał piec.

Zjadłam w samotności resztę lunchu, po czym zabrałam się do rozniecania ognia, wykorzystując przywiezione przez nas podpałkę i drewnienka. Brat przewidział każdą okoliczność i potrzebę, zadbał także o wodę, którą napełnił wszystkie znalezione na miejscu beczułki, miednice i inne naczynia. Zanurzyłam palec w stojącym na piecu garnku, by stwierdzić, że płyn jest w miarę ciepły. Czekając, aż się zagotuje, oparłam się o parapet wychodzącego na podwórze okna i zapatrzyłam na wieżyczki Dunhynch Hall, rysujące się ponurym cieniem na tle nieba.

– Gotowa! – zawołała Tish.

Chwycałam garnek i zatargałam go do drugiej izby. Kiedy odstawiłam go na podłogę, przyjrzałam się Tish z podziwem. W brudnej, szaroburej bieliźnie z drugiej ręki i wypłowiałej, obszarpanej sukni, która prawie niczego nie osłaniała, prezentowała się doprawdy przerażająco.

– Zasługujesz na medal – pochwalałam ją. – Na inwestyturę z rąk królowej.

– Za co?

– Za swoją dzielność, Tish. – Uścisnęłam ją, usadziłam na krześle, sięgnęłam po kostkę brązowego ługowego mydła domowej roboty, zanurzyłam ją w ciepłej wodzie i zaczęłam pokrywać obnażone części jej ciała warstwą piany.

– Wielce Zaszczytny Order Łażni? – zakpiła Tish.

– Gdybyż to było takie proste. Teraz musisz poczekać, aż mydło zaschnie, a tymczasem popracujemy nad dłońmi.

– Co to znaczy?

– Czy Flossie przycinała paznokcie tak krótko jak ty?

– Nie, nie musiała pisać na maszynie, więc były dłuższe... Ojej.

– O nic się nie martw. Mam na to radę. – Sięgnęłam po spory zapas dostarczonych przez Sherlocka łupin orzechów pistacjowych, dopasowałam po jednym do każdej blaszki paznokciowej, umocowałam klejem na bazie gumy, a następnie dość topornie przycięłam końce. Tish przyglądała się temu z szeroko otwartymi oczami.

– To doprawdy niezwykłe!

Jeśli w pojęciu niezwykłości mieściły się przerośnięte, rozdławające się i brudne pazurzy-ska, to miała rację.

– A teraz paznokcie u nóg, bo pójdziesz tam bosą.

Najpierw jednak wyskrobałam trochę osadów z pieca i zmiotłam nieco zalegającego na parapetach i progu kurzu i piachu. Zmieszałam je ze sobą, przyklękłam i wtarłam wszystko w stopy Tish, nadając im wygląd niemytych od wielu dni.

– Czy ludzie nie robili czegoś takiego w Biblii? – spytała Tish z przesadnie udawaną nie-

winnością.

– Zdaje się, że robili coś zupełnie innego.

– Więc nie wytrzesz mi stóp swoimi włosami? – powiedziała tak pociesznym tonem, że aż parsknęłam śmiechem.

– Tish, jesteś niepoprawna!

– No tak. A nie mówiłaś, że mi przykleisz skorupki pistacji do paznokci u nóg?

– Mówiłam. – Kiedy się z tym uporałam, mydlana piana zdążyła już zaschnąć na skórze, nadając jej spękany, zaniedbany i odrażający wygląd. Można by podejrzewać, że Tish choruje na trąd. Przez chwilę stałam, podparłszy się pod boki, i taksowałam swoje dzieło wzrokiem, jakbym była szefem kuchni przyglądającym się szczególnie udanemu sufletowi.

– Czuję się chropowata – oznajmiła Tish, ale nie było w jej głosie pretensji. Zabrzmiała w nim nutka kpiny i rozbawienia.

– Wiem, ale niestety efekt jest dość nietrwały. Musisz uważać, żeby się o coś nie otrzeć i nie pozbawić się tej delikatnej patyny. – Przekrzywiłam głowę, patrząc z podziwem na swoje dotychczasowe dokonania. – Aż żał majstrować przy czymś tak bliskim ideału – zamruczałam.

– Ale to zrobisz.

– Oczywiście.

– Co teraz zastosujesz?

– Ocet. – Poszłam do sąsiedniego pokoju po butelkę, nalałam do miseczki nieco przezroczystego płynu o drażniącym zapachu, zanurzyłam w nim palce i strzepnęłam parę kropel na Tish. – Nie mogę przesadzić, bo Caddie zauważy, że pachniesz jak fabryka korniszonów. Ojej, patrz!

W miejscach, gdzie padły krople octu, „skóra” Tish zaczęła się wybrzuszać, zastygając w twory przypominające do złudzenia czyraki i krosty. Tish przyjrzała im się z uznaniem:

– Wspaniale! Pokrop mnie jeszcze trochę.

Zrobiłam to, pomna jednak na przestrogi mojej mamy: prawdziwy artysta musi znać umiar. Kiedy uznałam, że efekt jest zadowalający, zostawiłam Tish do wyschnięcia, jakby była akwarelą na sztaludze, i znów udałam się do pomieszczenia z piecem. Roztopiłam na blasze odrobinę pszczelego wosku. Ponieważ wyznaczone mi zadanie dobiegło końca, zauważyłam, że zdążyło przez ten czas się ściemnić, a pogrążająca się w mroku skromnie urządzona chatka obudziła we mnie nagle poczucie osamotnienia. Tak bardzo chciałam, żeby Sherlock i Watson wrócili już ze spaceru albo żeby przed dom zajechał Tewky.

Właśnie, gdzie jest jego tewkowska mość? Już dawno powinien tu być.

– Nie marudź – fuknęłam na siebie pod nosem.

Ale ziarno niepokoju i czarnych myśli zdążyło już wyrosnąć w szumiący łąn. Czyżby Tewky zabłądził? Wprawdzie Sherlock udzielił mu wyczerpujących wskazówek i zaopatrzył w szczegółową mapę, może jednak coś mu się pokręciło? Może zasnął, wyjechał późniejszym pociągiem, pomylił stacje? Nie, przecież wiedziałam, że to nieprawda, bo chłopak nie był głupi. A jednak przerażające myśli wzięły górę: pewnie spotkał go wypadek albo jakiś inny kataklizm! A jeśli leży teraz w rowie połamany i zalany krwią?

W tej samej chwili usłyszałam kroki przed frontem domu. Serce zabiło mi w przypływie rozbudzonej nadziei i odwróciłam się tak szybko, że aż zafurczała mi spódnica. Okazało się jednak, że to tylko wracający z rekonesansu Sherlock z Watsonem.

– Znaleźliśmy sposób, żeby dostać się na teren majątku od tyłu! – oznajmił Watson z chłopcim entuzjazmem.

– Gdzie jest markiz Tewkesbury? – spytał Sherlock.

– I ja się cieszę, że cię widzę – odparłam.

– Enolu – jego głos nabrał stanowczości – co się dzieje z twoim młodocianym przyjacielem? Bez niego cały nasz plan weźmie w łeb.

– Nie prościej było zabrać go ze sobą do Woking? – spytał Watson.

– Nie, ponieważ karawana złożona z dwóch wozów mogłaby wzbudzić niezdrowe zainteresowanie. Tak mi się przynajmniej wydawało. Enolu, gdzie on się podziewa?

– Drogi bracie, dlaczego przypisujesz mi zdolność jasnowidzenia? – Robiłam wszystko, żeby ukryć targający mną niepokój. – Mam nadzieję, że się zjawi, kiedy skończysz zmianę wyglądu Tish na budzący grozę.

– A właśnie, jak ci poszło z panną Glover?

– Idź i sam zobacz.

Sherlock udał się do drugiego pomieszczenia. Podążyłam za nim. Usłyszałam pełne zadowolenia:

– Aha! Wygląda pani porażająco w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. – Podeszedł i zdjął jej z głowy szal, odwijając go zamaszycie, jakby dokonywał odsłonięcia dzieła sztuki, a potem cofnął się, by przyjrzeć się całości.

– Panno Glover, poświęciła pani włosy... Jestem pełen podziwu. Osiągnęliśmy budzący grozę efekt bliskości śmierci, jakże sprzyjający naszym zamysłom. Pozwoli pani, że dokonam na pani twarzy kilku ostatecznych poprawek?

Przytaknęła, uśmiechając się blado.

Po chwili przyglądałam się w niemym, budzącym dreszcze zachwycie, jak brat delikatnymi ruchami obrysowuje jej oczy sztyfcikiem węgla drzewnego, nakłada na policzki potęgujący bladość puder ryżowy, podkreśla kości policzkowe i nos szarą szminką teatralną i delikatnie muska nią górne i dolne powieki, tworząc wokół oczu cienie przywodzące na myśl oczodoły czaszki. Biała szminka uwypukliła trupią bladość warg. Na koniec natarł owłosioną część głowy tłuszczem i miałem węglowym, wskutek czego resztki jej włosów utraciły wszelkie pozory świeżości i życia. Część sterczała sztywno jak szczecina, część przylepiła się do skóry. Wreszcie sięgnął po roztopiony i schłodzony przeze mnie воск, który zaaplikował w kącikach oczu i pod nosem, formując go czubkami palców aż do osiągnięcia odrażającego efektu zaschniętego śluzu.

Kiedy się cofnął o parę kroków, by oszacować całokształt swoich osiągnięć, zaczęłam spontanicznie klaskać.

– Brawo, Sherlocku! Chylę czoło. Tish, wyglądasz tak, że sama bym się ciebie przestraszyła. Chcesz zobaczyć? – Wyciągnęłam w jej stronę lusterko.

Zawahała się przez chwilę, po czym szepnęła:

– No dobrze.

Zbliżyłam się do niej, trzymając lusterko tak, by mogła w nim dostrzec swoje odbicie. Zachnęła się i odsunęła gwałtownie, przerażona swoim wyglądem.

– Tish?

– Czy... Czy my... – Była tak wstrząśnięta, że odebrało jej mowę. – Czy naprawdę myślimy... że Flossie...

– Nie, skądże znowu! Wcale nie! – Rzuciłam się w jej stronę, by jak najszybciej ją pocieszyć, i klapnęłam na podłogę u jej stóp. – Jestem przekonana, że Flossie nie straciła włosów i nie wygląda tak upiornie. Nie jesteś nią dosłownie, ale musisz udawać, że nią jesteś.

– Ale... myślisz że... Caddie uwierzy?

Za moimi plecami odezwał się pełen mądrości, prostoduszny głos doktora Watsona.

– Jeśli lord Cadogan zachował jakieś resztki ludzkich uczuć, zobaczy w pani upiora własnej winy.

– Staniesz się urzeczywistnieniem jego najgorszych koszmarów – zapewniłam Tish. – Przerazisz go tak bardzo, że przestanie racjonalnie myśleć.

Sherlock zaś powiedział tylko:

– Do kroćset, gdzie jest młody Tewkesbury?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Promienie słońca wpadały przez szybki okna niemal prostopadle do podłogi. Watson zasiadł za stołem i zajął się jedzeniem. Sherlock przechadzał się w zamyśleniu. Tish trwała w bezruchu jak upiorna alabastrowa figurka.

– Jeśli Tewkesbury się nie zjawi w najbliższym czasie, trzeba będzie zmienić plan – powiedział głośno Sherlock, patrząc w przestrzeń.

Słońce zaczęło się chować za horyzontem.

– Jeśli jego postrzelona lordowska mość za chwilę się nie zjawi, może się okazać, że cała intryga spali na panewce!

Tymczasem słońce zniknęło za majaczącymi w oddali wzniesieniami, zostawiając po sobie poświatę o barwie starej kości słoniowej.

– Popełniłem błąd, obdarzając go zaufaniem.

– Nie obwiniaj Tewky'ego! – zawołałam. – Coś musiało mu pokrzyżować szyki!

W momencie, kiedy miałam już załamać ręce jak zdesperowana starsza pani, do moich uszu dobiegł szaleńczy, przybierający na sile tętent. Wskoczyłam przed chatkę i ujrzałam przesuwaną się w naszą stronę chmurę kurzu. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby jęknąć:

– O nie... – W mig pojęłam, co było przyczyną spóźnienia Tewky'ego. Rzuciłam się pędem naprzód i chwyciłam uzdę żółtawo umaszczonej klaczy, umożliwiając Tewky'emu zatrzymanie rozpędzonej bestii, która najchętniej pognałaby na oślep dalej, mimo że cała była zlna spienionym potem. – Wynająłeś Jezebel!

– A więc to bydlę nosi takie imię? – Tewky skulił się na koźle wagonetki, jakby uszły z niego wszystkie siły, i rzucił mi spojrzenie, które mówiło więcej niż jakiegokolwiek epitetu, którymi mógłby poczęstować Jezebel.

– Co się stało? – rzucił Sherlock, złapawszy uzdę z drugiej strony. Klacz szarpała głową, przysiadła na zadzie, brykała i zdradzała wszelkie możliwe objawy chęci ucieczki.

– Poprosiłem o szybkiego konia i nie mogę narzekać, jest szybka. Powinienem jednak doprecyzować, że koń ma być ułożony. Ta bestia gardzi narzuconym jej kierunkiem jazdy i nie trzyma się ubitego traktu.

– I widać, że nie grzeszy dyskrecją. Nie spodziewam się, by zechciała cichutko czekać na nas w ukryciu, jak to zaplanowaliśmy. – Sherlock spojrzał na klacz z wyrazem twarzy, który w mniej dramatycznych okolicznościach byłby nawet zabawny. – Ale pocieszające jest to, że do nas dołączyłeś, lordzie Tewkesbury, i że dysponujemy czymś w rodzaju środka lokomocji. Czas odbyć naradę wojenną.

Wszyscy udaliśmy się do środka, przytroczywszy przedtem Jezzie do solidnego koniowiążu i spacyfikowawszy ją workiem owsa. Tish również trzeba było nieco uspokoić, kiedy powiadomiłam ją o konieczności przeprowadzenia wspólnych rozmów, jednak kiedy owinęłam jej na powrót głowę szalem i zapewniłam, że Tewky jest zbyt zajęty pochłanianiem prowiantu, by jej się przyglądać, opuściła sąsiednie pomieszczenie i dołączyła do nas.

Sherlock zachowywał się jak na zawodowca przystało. Skrzyżował ręce na piersi, oparł się dolną częścią pleców o blat stołu i podciągnął w górę nogę, upodobniając się nieco do flaminga.

– Świetny pomysł Watsona, by panna Glover zakradła się na teren posesji przez będącą dziełem kłusowników wyrwę w ogrodzeniu, stał się po zapadnięciu zmroku całkowicie beużyteczny – stwierdził, rozmyślając na głos. – Przedzieranie się przez las wymaga światła dziennego. Trzeba więc będzie dostać się do siedziby hrabiego przez bramę. Biorąc jednak pod uwagę anarchistyczne skłonności naszego konia, trudno liczyć na to, że odzwierny nie zauważy czekającego w okolicy powozu.

– W takim razie musimy dać odzwiernemu po łbie – stwierdził Watson.

– Co jest zabiegiem ryzykownym i niehonorowym. – Sherlock skrzywił się, po czym nie spodziewanie zwrócił się do Tish. – Panno Glover, od rana nic pani nie jadła, prawda? Czuje się pani słabo?

Pokiwała głową, ale odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem:

– To bez znaczenia.

– Ma pani rację, że nie będzie to miało znaczenia, kiedy się już rozprawimy z nikczemnym

hrabią. Pytam jednak, czy czuje się pani na siłach, by przejść przez dzielący rezydencję od bramy trawnik, czy też woli pani, byśmy ją zawieźli pod same drzwi?

– Jak to pod drzwi?! – zawołałam.

– Zwyczajnie. Możemy ją ukryć w wagonetce. Watson będzie powozić. Lord Tewkesbury ma na sobie strój, w którym śmiało może się podawać za kogoś, kim w istocie jest, czyli osobę z wyższych sfer, zjawiającą się z niezapowiedzianą wizytą. Nie trzeba będzie ogłuszać odzwiernego, który bez szemrania otworzy mu bramę. A jeśli chodzi o element zaskoczenia... Enolu, panno Glover, odwiedzałyście Dunhynch Hall, więc przypomnijcie sobie, czy istnieje możliwość, by ktoś ze stróżówki przesłał do rezydencji wiadomość o przybyciu gości?

– Na przykład telefonicznie? – zażartowałam.

– Na przykład, czy kręci się tam jakieś dziecko, które mogłoby pobiec do dworu?

– Na pewno nie po zmroku.

– Podczas uroczystości weselnych – odezwała się Tish tonem świadczącym, że wspomnienia tamtych dni są dla niej udręką – powozy przejeżdżały przez otwartą bramę, a goście byli zapowiedziani przez portiera. Ale chyba nie chcemy, żeby Caddie się domyślił, w jaki sposób dotarłam pod jego drzwi.

– Nie. Ma myśleć, że żona uciekła bosą przez lasy i pola z miejsca, do którego ją niedawno zesłał. Tu się pojawia kolejne pytanie: czy da się podjechać pod ganek po trawie, by stłumić tętent kopyt i turkot kół?

Wymieniłyśmy z Tish pytające spojrzenia, a potem obie pokiwałyśmy głowami.

– Trawnik przed domem jest rozległy.

– I jeszcze jedno: czy możemy to zrobić, zgasiwszy latarnie?

Pomyślałam o latarniach na portyku.

– Być może.

Watson podsumował naszą rozmowę zdecydowanie i z optymizmem starego wiarusa:

– Najlepiej sami się o tym przekonajmy.

Tish skuliła się pod ławą wagonetki, a ja usiadłam nad nią, rozpostarłszy spódnicę jak kwoka skrzydła. Po raz pierwszy poczułam żal, że suto marszczone spódnicę, na które zużywano i po piętnaście jardów materiału, wyszły już z mody. Sherlock ze względu na swój mało reprezentacyjny ubiór przycupnął w ciemnym kącie pojazdu, natomiast Tewkesbury ulokował się z przodu, naprzeciwko nas, by pertraktować z arystokratyczną flegmą z odzwiernym. Nasz woźnica, czyli Watson, najwyraźniej ubolewał nad własną wielkodusznością, która kazała mu przed wyjazdem z chatki podać Jezzcie wiadro z wodą.

– Prrr! Stój, mówię! Prrr! – Kiedy dojechaliśmy do kutej bramy wjazdowej Dunhynch Hall, poirytowany do granic Watson zaczął dokonywać cudów, by zmusić Jezzcie do posłuszeństwa. Jego gniewne okrzyki od razu zaalarmowały odzwiernego, który wybiegł ze stróżówki.

Wicehrabia Tewkesbury markiz Basilwether wysunął głowę z pojazdu, uchylając cylindra.

– Chcę zrobić dawnemu znajomego niespodziankę, mój pocziwczce – wycedził znudzonym tonem, wznosząc się na wyżyny wielkopańskiego zblazowania.

– Tak, proszę wielmożnego pana. Oczywiście. – Zagadnięty usłudźnie rozwarł skrzydła bramy i pojechaliśmy dalej. Kiedy tylko usłyszeliśmy szcęk świadczący o tym, że brama została za nami zamknięta, Watson ponownie zaczął głośno sztorcować Jezzcie:

– Prrr! Hola! Trzymajże się podjazdu! – Pokierował ją na trawę. – Co się z tobą dzieje, parszywa gadzino? – Z najwyższym trudem zdołał zatrzymać klacz na nieoświetlonej części dziedzińca.

W tej samej chwili Sherlock i Tewky wymknęli się z powozu, żeby zgasić latarnie wagonetki, po czym – jak się domyślałam – któryś z nich chwycił Jezzcie za uzdę, by pomóc trzymającemu ją za łeb Watsonowi podprowadzić pojazd pod ganek. Nie mogę zdać dokładniejszej relacji z poczynań panów, ponieważ prawie nic nie widziałam. Musiałam zresztą zadbać o to, by wyciągnąć Tish spod siedziska, pilnując jednocześnie, by nie uszkodzić jej misternej charakterystyki z zaszniętych mydlin i wosku. Po chwili zorientowałam się, że zbliżamy się do portyku, ponieważ wewnątrz powozu rozjaśnił blask palących się tam latarni, a z mroku wychynęła przypominająca upiorka twarz stojącej przy mnie Tish. Niestety, czekało ją zadanie przekraczające możliwości i siły większości upiorów.

– Tish – odezwałam się cicho – nie wolno ci ani na chwilę zapomnieć o tym, co zrobił Caddie. – Pokiwała głową. – I myśl o tym, co by mu powiedziała na twoim miejscu Flossie. – Ponownie skłoniła przytakująco głowę. Wóz stanął w miejscu. – I wbij mu sztylet aż po rękojęść.

Rzuciła mi krótkie spojrzenie i wysiadła z pojazdu, korzystając z pomocy Sherlocka. Ja musiałam dać sobie radę sama. Tewky stał przez chwilę, przytrzymując uzdę Jezzie, po czym obaj z Watsonem odprowadzili klacz i powóz na tonący w mroku fragment trawnika. Szybciutko pobiegłam się schować między dwoma żywotnikami rosnącymi przy murze Dunhench Hall i przycupnęłam pod oknem oświetlonej rzeźniczej jadalni. Tymczasem Sherlock gdzieś zniknął, natomiast Tish, bosa, z gołą głową, upiornie blada, odziana w obnażające ją niemal nieprzyzwoicie łaćmiany, podbiegła na paluszkach do drzwi wejściowych i zapukała. Obserwując ją, zauważyłam, że wiszące na ich skrzydłach żałobne wieńce przedwcześnie zniknęły.

Tish czekała cierpliwie, jednak po chwili postanowiła ponownie zastukać, tym razem głośno i dobitnie, a po chwili załomotała w drzwi pięściami. Kiedy tylko się uchylły, dała susa do środka, wymijając kamerdynera, który wydał z siebie okrzyk nieliczący z jego posadą. Powiem więcej: to, co padło z jego ust, nie nadaje się do powtórzenia.

W tej samej chwili Tish wrzasnęła z siłą i drapieżnością, o które jej przedtem nie podejrzewałam:

– Caddie, ty zdradziecki łajdaku w pozłotce, gdzie jesteś?!

Mając pewność, że pozostanę niezauważona, ponieważ cała uwaga skupi się teraz na Tish, wyprostowałam się powoli i wyciągnawszy szyję, zajrzałam przez róg okna do środka.

Moim oczom ukazał się profil hrabiego Dunhencha, który skamieniał u szczytu skąpanego w blasku świec stołu z poobiednim cygarem w dłoni i szeroko otwartymi ustami. A kiedy drzwi rozwarły się z hukiem i do jadalni wparowała Tish, bezwiednie wypuścił cygaro spomiędzy palców. W półmroku jej niemal łysa głowa wyglądała jak obdarzona zdolnością mowy trupia czaszka.

– Ty parszywy judaszu, którego poślubiłam! – zaskrzeczała Tish, biegnąc w jego stronę i wymachując wyciągniętymi rękami. – Jak mogłeś mi to zrobić?!

Caddie natychmiast zerwał się z krzesła, omal go przy tym nie wywracając, jednak nie była to zwyczajowa reakcja dżentelmena na widok wchodzącej do pokoju damy.

– Brindle! – wrzasnął do kamerdynera – Wezwij pomoc!

W całym domu rozbłysły światła, a w korytarzach rozległy się głosy i okrzyki zaaferowanej służby, jednak wszystkie hałasy zagłuszył sopranowy głos Tish.

– Ożeniłeś się ze mną! – krzyczała. – Ślubowałeś mi wierność! Ty donżuanie od siedmiu boleści, jak mogłeś upaść aż tak nisko? Jak mogłeś posłać żonę do czubków w czarnym powozie? – Rzuciła się w stronę Caddiego, jakby chciała go chwycić.

Caddie w mało dystyngowany sposób czmychnął na drugi brzeg stołu, chociaż usiłował jeszcze zachować pozory dobrego wychowania:

– Flossie, na miłość boską, nie szalej. Opamiętaj się.

– Każesz mi się opamiętać? Kobiecte, która pamięta, że niedawno była panią? – Roześmiała się w sposób, który nawet we mnie wzbudził dreszcze, po czym wskoczyła na krzesło, z krzesła na blat i pobiegła w stronę „męża”, czyniąc straszliwe spustoszenie wśród porcelany i kryształu.

– Genialne – usłyszałam szept Sherlocka. – Byłaby z niej rewelacyjna aktorka. – Okazało się, że mój brat śledzi przebieg wydarzeń w jadalni z drugiego rogu okna.

Caddie przyglądał się biegnącej kobiecie szerokimi z przerażenia żrenicami, wbiwszy wzrok w jej zarośnięte brudem bosa stopy. Cofnął się tak gwałtownie, że potknął się o dywan i tylko cudem nie runął na ziemię.

– Brindle! Poślij po powóz! – ryknął histerycznie.

– Brzydę się tobą! Jesteś jak plugastwo, w które niechcący wdepnęłam! – wrzeszczała ochryple Tish. – Kiedy jeszcze chodziłam w butach!

Jaśnie pan kanalia odwrócił się na pięcie i popędził w stronę drzwi. Tish, nie przestając skrzeczeć, wybiegła za nim. Straciłam ją z oczu, jednak jej krzyki niosły się z korytarza aż na zewnątrz.

– Nie! Zabieraj ode mnie te swoje godne troglodyty łapska! – Najwidoczniej osaczyli ją już lokaje, ponieważ „troglodyta” było stanowczo zbyt łagodnym określeniem na gadzinowatego hrabiego Cadogana.

– Tak, zachowuj się jak wariatka, Flossie. – Ponieważ nie był już z nią sam na sam, mógł dać upust złości i okrucieństwu. – Bo zaraz wrócisz tam, gdzie twoje miejsce!

– Ale skąd ona tu się wzięła, wasza lordowska mość? – rozległ się grobowy głos Brindle’a. – Jak się stamtąd wydostała?

Serce zamarło mi w piersi zdjęte obawą, że ktoś za chwilę weźmie na spytki odźwiernego.

Ale Tish wrzasnęła:

– Na miotle! W moich czarodziejskich pantofelkach, nie widzicie ich?

Caddie eksplodował.

– Nie wymachuj tu swoimi brudnymi kulasami! Brindle, każ ją stąd wyprowadzić!

– Co z ciebie za mężczyzna? I ty się mienisz hrabią? Jesteś zwykłym tchórzem! – wydarła się na niego Tish.

– Niech jej który zawiąże buźkę.

Dobiegły nas odgłosy szarpaniny.

– Co za bydlak – mruknął Sherlock. – Ale widzę, że dziewczyna sobie z nim poradzi, więc na mnie już czas. – Przed chwilą był tuż obok, mówiąc coś do mnie albo i do siebie, a nagle zniknął w mrokach nocy.

Nie dzielając ani trochę jego wiary w powodzenie naszej akcji, nie ruszyłam się z miejsca zdjęta obawą o Tish, której nie mogłam nawet pospieszyć z pomocą. Jeszcze nie mogłam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Czas to szczególne zjawisko. Z jednej strony wydaje się, że trzymamy go w ryzach za pomocą zegarów i zegarków, z drugiej nader często przyspiesza lub zwalnia według własnego widzi-misję. Kilka chwil, podczas których czekałam w ciemności na dalszy rozwój wydarzeń, ciągnęło się w nieskończoność. Wydawało mi się, że minęły wieki, zanim usłyszałam odgłosy dochodzące ze stajni, i że czekałam całe eony, by ujrzeć podjeżdżający pod ganek powóz Rudcliffa. Czułam, że prędzej wyrosnie mi broda, niż dożyję chwili, w której Sherlock i ja będziemy mogli ruszyć w drogę.

Pojazd, zaprzęgnięty w dwa krzepkie gniadosze rasy cleveland bay, przejechał tuż obok mnie. Na widok jego zapalonych latarni wtuliłam się głębiej w gałęzie żywotników, a kiedy mnie minął, wyskoczyłam z ukrycia, przebiegłam na drugą stronę i pospieszyłam w jego cieniu aż pod ganek, gdzie przystanął na wysokości drzwi wejściowych.

Przykucnęłam za powozem i wyteżyłam słuch, chociaż moje głośno bijące serce zagłuszało wszystko wokół. Od dziesięciu minut nie miałam pojęcia, co się dzieje z Tish. Wmawiałam sobie, że spisała się na medal i wyjdzie z całej awantury bez szwanku. Ale serce nie chciało się z tym zgodzić. Dziewczyna przeżyła straszliwe chwile, ale jej udręka nie dobiegła jeszcze końca. Czekał na nią czarny powóz.

Usłyszałam skrzypnięcie otwierających się drzwi wejściowych, a potem kilka podniesio-nych głosów, nad którymi, ku mojej wielkiej uldze, dominował podniesiony i pełen pasji głos Tish:

– Stado z was kundli i tyle! Jesteście pozbawieni kręgosłupa! – Zaraz potem rozległy się od-głosy szamotaniny. Dziewczyna stawiała opór, by odwrócić uwagę swoich ciemniejszych od moich poczyńań.

Licząc, że oczy i uszy woźnicy były skierowane na poruszenie wywołane przez Tish, wycią-gnęłam rękę, by otworzyć możliwie bezszelestnie drzwiczki powozu, wślizgnąć się do wnętrza i równie cicho zamknąć je za sobą.

Wątpię, by Jonasz w brzuchu wieloryba poruszał się bardziej po omacku niż ja. Moje wycią-gnięte ręce trafiały w pustkę i niczego nie udało mi się wymacać, a przecież musiałam znaleźć sie-dzisko i pod nim się ukryć! Odgłos rozmów przybierał na sile, a spośród innych głosów wybijał się dobrze mi znany, matronowaty alt.

– A teraz, kochanie, proszę, by stała się pani na powrót tą słodką i kochaną Flossie, którą tak dobrze znam. Moja droga pani będzie zawsze moim ukochanym jagniątkiem niezależnie od tego, co zrobiono z pani bezcennymi lokami... – Wzruszenie odebrało jej głos i Dawson zamilkła. Błogosła-wiałam w duchu jej gadulstwo, dzięki któremu zyskałam na czasie i zdołałam wreszcie namacać jedno z tapicerowanych siedzeń, wpełznąć pod nie i utonąć w cieniu.

– Odejdź ode mnie, ty przypoehlebna i jęcząca babo! Daj mi spokój! – warknęła Tish.

Ponownie dotarły do mnie odgłosy szarpaniny, a po chwili ktoś uchylił drzwiczki powozu. Ze swojej kryjówki widziałam jedynie stopy i z przerażeniem stwierdziłam, że wszystkie są obute w dziurkowane pantofle ze skóry i że żaden z pasażerów nie wsiadł boso. Gdzie się podziała Tish?

– Gdzie jest Caddie? – Jej pełen oburzenia głos rozległ się tuż nad moją głową, co ozna-czało, że znajduje się na siedzisku, pod którym się ukryłam. – Czyżby brakowało mu odwagi, by mi spojrzeć w twarz?

– Spokojnie, spokojnie, moja droga pani – odezwała się z naprzeciwnika Dawson.

Usłyszałam odgłos pocierania o draskę i zobaczyłam chybotałą poświatę... Egipskie ciem-ności rozjaśniło jakieś wątle światełko, które po chwili przestało migotać. Najwyraźniej Dawson za-paliła świecę. Trochę to dziwne zabierać lichtarz do powozu, ale być może gospodyni bała się, że „oblakana” zaatakuje ją w ciemności.

Drzwiczki zostały zatrzaśnięte i po chwili koła zaczęły się toczyć po podjeździe. A ja usiło-wałam zebrać rozbiegane myśli. Zaskoczyło mnie, że ktoś włożył Tish buty oraz to, że niespodzie-wanie zjawiała się Dawson, z którą prędzej czy później trzeba będzie się rozprawić.

Na razie jednak oddalaliśmy się od Dunhynch Hall. Powóz przystanął na chwilę przed bramą w oczekiwaniu, aż otworzy ją odźwierny. Siedziałam cicho jak mysz pod miotłą i żalowa-łam, że nie ma żadnego sposobu, by się dowiedzieć, czy Sherlock, Tewky i doktor Watson postę-pują zgodnie z ustaleniami. Oczywiście odźwierny musiał zauważyć, że wagonetka ruszyła w ślad

za nami i z pewnością pobiegł do rezydencji, żeby zameldować chlebobdawcy o tak podejrzanym wydarzeniu, jednak zanim to nastąpiło, jeśli nawet podniesiono alarm, nie miałam powodu do obaw. Oddaliliśmy się już na tyle, by wszelkie próby pościgu spełzły na niczym.

Wyteżałam słuch, ale na niewiele to się zdało. Domyśliłam się, że wyjechaliśmy za bramę, a potem, kiedy pojazd nagle się przechylił, wywnioskowałam, że skręciliśmy na główną drogę. Powinnam przystąpić teraz do działania, jednak znalazłam się w lekkiej rozterce. Nie miałam wątpliwości, że bez problemu zdołam unieszkodliwić Dawson, jednak wypełzając nagle spod siedziska, mogę się znaleźć na nieco przegranej pozycji. Co będzie, jeśli gospodyni podniesie raban i zaalarmuje woźnicę? Nie miałam ochoty stawiać czoła aż dwójce adwersarzy.

I wtedy Dawson ponownie się odezwała, ba, wyrzuciła z siebie słowa, jakby poniosły ją emocje.

– Lady Dunhench, zapewniam, że to wszystko nie ma żadnego związku z tym, co pani zrobiła. To wszystko wina pana hrabiego. Taki już jest i to niczyja wina...

Tish zareagowała jak atakująca kobra. Zaskrzeczała coś niezrozumiale, schyliła się, zdjęła z nogi but i cisnęła nim w twarz Dawson. Trudno mi będzie odtworzyć po kolei to, co się wydarzyło później. W każdym razie Dawson sapnęła z wrażenia, przechyliła się niezgrabnie, żeby uniknąć uderzenia i omal nie spadła z siedziska. Wykorzystałam okazję, by wydostać się z ukrycia, budząc jej widoczną konsternację.

Tish wrzasnęła:

– Krowa! – I rzuciła w służącą drugim butem.

Dawson uchyliła się ponownie, ale tym razem zachwiała się i spadła na podłogę. Być może przyczyniło się do tego zaskoczenie na mój widok, choć bardziej prawdopodobne jest to, że straciła równowagę, bo pojazd zakolebał się na zakręcie. Padła jak długa na wznak, wybałuszyła ślepią, choć mogłoby się wydawać, że jej maślane oczy nie dadzą się szerzej otworzyć, i postanowiła wrzasnąć, jednak rzuciłam się na nią, kładąc jej dłoń na ustach, zanim zdążyła pisnąć. Wbiłam jej kolano w mostek, a wolną ręką sięgnęłam po sztylet.

– Ani mru-mru – zagroziłam.

Tish również się podniosła i sięgnęła po rozrzucone buty. Jej twarz miała osobliwy wyraz, jednak nie to zwróciło moją uwagę. Ku własnemu zaskoczeniu i uldze zobaczyłam, że zadbano o jej ubiór. Ktoś niezgrabnie naciągnął na jej łachmany płócienny fartuch, na nogach miała pończochy, a głowę i ramiona osłaniał jej szal.

– Wszystko w porządku, Tish? – spytałam.

Poczułam, jak ciało Dawson wzdraga się na dźwięk jej imienia.

– Jestem wykończona. – Tish opadła ciężko na siedzisko, jakby na dowód prawdziwości swoich słów.

– Odegrałaś swoją rolę po mistrzowsku. Genialnie.

– Wszystko idzie zgodnie z planem?

– Pewności nie mam, ale liczę, że tak.

– Mogę odkleić z palców łupiny?

– I pozbyć się wosku i tym podobnych? Oczywiście.

Moja dłoń wciąż spoczywała na ustach Dawson, która wydała cichy pomruk zdradzający zaskoczenie i niepewność. Zwróciłam się do niej i oświadczyłam szczerze, patrząc jej w prosto w oczy:

– Dawson, to, co pani teraz ogląda, to manifestacja siostrzanych uczuć o niespotykanej sile. Tish zgoliła włosy, głodziła się i dokonała cudów z myślą o siostrze bliźniaczce. Udało jej się wmówić hrabiemu Dunhenchowi, że jest nikim innym jak Flossie. Nie mamy zamiaru robić pani krzywdy. – Mówiłam to, trzymając złowieszczo sztylet. – Zależy nam tylko na tym, by uwolnić lady Felicity. Dawson, wiem, że ma pani dobre serce. – „Chociaż kręgosłupa prawie wcale”, dodałam w myśli. – Czy obieca pani nam nie przeszkadzać, jeśli schowam sztylet do pochwy? – Usiłowałam odegrać anioła sprawiedliwości z mieczem w dłoni, jednak uznałam, że więcej wskóram po chlebstwami.

Dawson pokiwała głową tak energicznie, że dłoń zsunęła mi się z jej ust. Podniosłam się, ukryłam broń w tajemnym schowku z przodu gorsetu, podałam kobiecie rękę i pomogłam wstać. Kiedy ponownie usiadła, nie spuszczałam jej z oka na wypadek, gdyby jednak postanowiła się uciec

do podstępu.

– Dawson – zwróciłam się do niej władcym tonem – proszę powiedzieć, dlaczego pani chlebodawca postanowił pozbyć się lady Felicity w tak niecny i haniebny sposób?

Zatopila we mnie niewidzące spojrzenie, zamrugala, po czym odpowiedziala:

– Panno Basilwether, taka juz ma nature. Nie potrafi byc dlugo z jedna kobieta. Znudzily go jej usmiechy i to, ze spiewala jak skowronek. Dziwne, ze sie w ogole z nia ozenil. Chociaz myslę, ze ja naprawde kochal.

Z ust siedzacej naprzeciwko Tish padlo pod adresem Caddiego wyjatkowo niecenzuralne slowo. Dawson ani sie nie zdziwila, ani nie zgorszyła. Odwrócila sie w strone Tish, ktora zdazyła juz poodklejac i poscierać ze skory majaca ja oszpecić charakteryzację.

– Panno Glover – powiedziala Dawson pelnym podziwu i sluzalczosci glOSEm. – W zyciu bym sie nie domyslila, ze to pani.

Tish skwitowala to grymasem. Resztki wscieklosci uczepily sie jej jak rzepy. Dawson nie dala jednak za wygraną.

– Skad pomysl, zeby zjawic sie w posiadlosci w przebraniu siostry?

– Naprawde sadzila pani, ze okaże sie na tyle glupia, by uwierzyc w jej smierc?

– Większosć ludzi uwierzyla – zauwazyła Dawson pokornie.

– Większosć ludzi nie ma siostry bliźniaczki. Flossie nie mogła odejść z tego swiata, inaczej bym wyczula, ze nie zyje. – Tish nagle zmienila ton glOSu. – Teraz tez wyczuwam obecność siostry. Jest niedaleko stad!

– To prawda – potwierdzila Dawson z pelna podziwu miną. – Powinnismy sie juz zbliczac.

– Zblizac dokad? – spytalam.

Dawson pokornie udzielila odpowiedzi:

– Do Sanatorium Lesser Smythnuncle dla Imbecyli i Niesprawnych Umyslowo.

Kiedy probowalam wyryc sobie te nazwe w pamieci (gdyby jakimś nieszczesliwym trafem okazalo sie, ze bedzie nam pozniej potrzebna), powoz zwolnil, pokonal jakis ostry luk, po czym stanal w miejscu. Slysac odglOSy gramolenia sie z kozla, wszystkie trzy zamarylismy, w szczegolności zaś ja, poniewaz nie potrafilam sie zdecydowac, czy lepiej wyciagnac broń, by ukrócić niecne plany Dawson, czy schowac sie pod siedziskiem na wypadek, gdyby woźnica otworzył drzwiczki powozu.

Na szczescie tego nie zrobil.

– Dawson! – zawolal. – Posiedz z nia, pani, a ja pojde kogos obudzic.

Ku mojemu przyjemnemu zaskoczeniu Dawson odkrzyknęła:

– Dobrze!

Chrzest butow na zwirze zaczal powoli cichnac. Kiedy uznalam, ze bedzie to bezpieczne, otworzylam drzwiczki znajdujace sie po przeciwnej stronie niz kierunek, w ktorym oddalil sie woźnica, i wysunęlam glOWę na zewnatrz. Za kręgiem bladego swiatla rzucanego przez latarnie powozu rozciagalala sie ciemność. Starajac sie zapanowac nad sercem, by nie poddalo sie rozpaczcy – za wcześnie na panike – wyskoczylam z pojazdu i przemknęlam na jego tyl.

Nic.

Wyteżyłam sluch w nadziei, ze uslyszę w oddali stukot podków.

Dotarliśmy do zakladu dla oblakanych, ale nie dostrzeglam sladu obecności Watsona, Tewky'ego i Holmesa, ich wagonetki i po trzykroć przeklętej zoltawej kobyly.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tish – powiedziałam, otwierając drzwiczki powozu wychodzące na podjazd – nasi trzej panowie nie dojechali. Pewnie zgubili drogę. Musimy wracać.

– Ani myślę! – Zdaje się, że Tish nazbyt weszła w rolę swojej rzucającej butami siostry. – Wejdę tam. Muszę zobaczyć się z Flossie.

– Ależ Tish, nie możesz tego zrobić! – Próbowałam sklecić naprędce jakiś plan działania, który uniemożliwiłby najgorszy z możliwych scenariuszy, czyli zamknięcie Tish w zakładzie dla obłąkanych. – Nie wypuszczą jej tylko dlatego, że tak sobie zażyczysz.

– Lady Felicity nosi tu imię Nora – podpowiedziała usłużnie Dawson, przyglądająca się nam spokojnie i z zaciekawieniem jak widz w teatrze. – Pani Nora Helmer.

– Pozbawiono ją tożsamości? – zdumiała się Tish.

– Nora Helmer! – wykrzyknęłam. Wygląda na to, że Caddie oglądał nową, kontrowersyjną sztukę Ibsena *Dom lalki* i znalazł osobliwy sposób na to, by wykipić jej bohaterkę. – Cóż za perfidia! Tish, chyba się nie spodziewasz...

Przerwała mi z żarem w głosie:

– Nie po to przyjechałam tu, gdzie przetrzymują moją siostrę, żeby się teraz zawahać! Wiadomo, że tu jest, poszukaj kogoś do pomocy!

– Pieszko, na odludziu, nie wiedząc, dokąd się udać? – Jeśli dołączenie do pensjonariuszy domu wariatów było najgorszym, co mogło spotkać Tish, to w moim przypadku było to pozostawienie samej sobie. Ale też nie mogę przecież ukryć się ponownie w powozie i wrócić do Dunhynch Hall, prawda? Tish też nie. Muszę znaleźć sposób, by zapewnić nam obu bezpieczeństwo. – Tish...

– Cicho! – przerwała mi i zaczęła gorączkowo dawać znaki, że mam się ukryć.

No tak, ona także zobaczyła to samo co ja: zbliżające się w naszą stronę rozchybotane światełko latarni. Wycofałam się i zamknęłam drzwiczki powozu najdelikatniej, jak umiałam. Wiedziałam jednak, że nie spełnię prośby Tish i że nie zostawię jej na pastwę losu w zakładzie dla obłąkanych.

Widziałam tylko jedno wyjście z impasu, co wymagałoby bardzo szybkiego działania z zaskoczenia. Ale szczęśliwym trafem woźnica nie podejrzewał mojej obecności. Nie miał nawet pojęcia, że istnieję.

Kiedy doszedł do pojazdu, otworzył drzwiczki od strony budynku i zwrócił się do Dawson. Bezszelestnie podkrađłam się bliżej i usłyszałam jego pełen niedowierzania głos:

– Powiadają, że pani Nora Helmer nijak stąd nie uciekła. Trzymają ją pod kluczem tam, gdzie jej miejsce.

– Tak jest w istocie – odpowiedziała niewzruszona Dawson. – Ta tutaj to jej bliźniaczka.

Wysunęłam leciutko głowę z ukrycia i zobaczyłam, że stangret stoi z rozdziawionymi jak u ryby ustami. Rozejrzałam się też po najbliższej okolicy, dokonując pewnych użytecznych obserwacji.

– No to co ja teraz mam robić? – spytał zbity z tropu stangret.

– Pan hrabia życzy sobie, by ją tu umieścić – odparła Dawson ku mojemu pełnemu złości zaskoczeniu. Okazała się chorągiewką na wietrze, gotową poddać się każdemu powiewowi.

– Ale... ale sprawa jest poważna, zwłaszcza że to nie ta kobita, co trzeba...

– A masz inny wybór? Przygarniecie ją z żoną do siebie?

Tish przerwała im ze zniecierpliwieniem.

– Proszę powiedzieć, że przywieźliście panią Linde, i natychmiast mnie tam zaprowadzić. – Tish zaskoczyła mnie po raz kolejny: „Linde” to nazwisko przyjaciółki i powierniczki Nory Helmer ze wspomnianego już dramatu.

Woźnica zakasłał, dając wyraźny znak, że targają nim wątpliwości.

– Ten tego...

Tish postawiła nogę na schodku i wychyliła się, by wyjść. Chcąc nie chcąc, podał jej rękę.

A ja przypuściłam szturm. Proszę, by łaskawy czytelnik zechciał pamiętać, że choć wyglądam jak chucherko, to jestem wysoka i silna. Ruszyłam do ataku jak taran. Momentalnie (znacznie krócej niż trwa moja opowieść) wstrzeliłam się między nich. Tish wylądowała z powrotem w głębi

powozu, a woźnica wpadł tyłem w okazały krzew różany.

– Enolu! – wrzasnęła Tish – Nigdy ci tego nie wybaczę! Nigdy!

Jej słowa zabolęły mnie do tego stopnia, że aż przygryzłam wargę. Zatrzasnęłam drzwiczki, wspięłam się na kozioł jak na drzewo, wyszarpnęłam zabezpieczone przez woźnicę lejce i śmignęłam batem po zadach widocznych w świetle latarni. Konie rzuciły się naprzód, a ja naturalną koleją rzeczy klapnęłam ciężko na twarde siedzisko. Zachowałam jednak resztki przytomności umysłu, chwyciłam lejce i zmusiłam spłoszone konie do pozostania na podjeździe. Powóz zakolebał się i zatrząsał na zakręcie, ale po chwili pomknęliśmy w drogę po własnych śladach. Usłyszałam głośne przekleństwa i odgłosy szarpaniny wśród kolczastych pędów, jednak z radością stwierdziłam, że coraz bardziej oddalam się od ich źródła.

Zaczęłam ściągać lejce i łagodnie przemawiać do koni, informując je, że nie muszą już galopować. Na szczęście los nade mną czuwał i przedstawiciele prastarej rasy cleveland bay okazali się o wiele bardziej cywilizowani niż Jezebel. Kiedy dojeżdżaliśmy do głównego traktu, spowolniłam je do kłusu, a zakręt pokonały, idąc stępa. Chciałam uchronić powóz przed zniszczeniem, tym bardziej że wątle światło jego latarni utrudniało orientację w terenie. Obawiałam się jednak, że Tish wykorzysta okazję i wyskoczy w biegu, więc kiedy było to możliwe, cmoknęłam językiem i strzeliłam z bata, a konie przyspieszyły do kłusu.

Przebyliśmy w tym tempie kilkanaście mil, aż dojechaliśmy do rozwidlenia dróg. Nie miałam pojęcia, który kierunek wybrać, wiedziałam jednak, że każda chwila wahania grozi buntem moich pasażerek. Zwolnwszy do stępa, spojrzałam w lewo, gdzie panowała ciemność, i w prawo, gdzie za drzewami majaczyło światło. Trudno mi było ocenić, czy jego źródło jest spore i oddalone, czy też małe i bliskie, ale nie miało to większego znaczenia. Nie chcąc błędzić na osłep w mroku, podążyłam jak ćma w stronę światła, ponownie przechodząc w kłus.

Za łagodnym łukiem drogi zostawiłam zagajnik z boku i dostrzegłam, że tajemnicze źródło światła jest całkiem blisko. Co więcej, było w ruchu... Przeszył mnie dreszcz przerażenia: na środku drogi stał człowiek, wymachując zapaloną latarnią i blokując nam przejazd! Czyżby rozbójnik? Nie dałabym rady zawrócić tak dużego i ciężkiego pojazdu, a trakt był za wąski, by wyminąć przeszkodę. Wyglądało na to, że jedynym wyjściem będzie intruza przejechać...

– Hej tam! – zawołał, machając latarnią.

Słyszac znany mi głos, z wrażenia przestałam na chwilę oddychać. Nie byłam w stanie wydusić ani słowa i zatrzymałam się w milczeniu.

Nieświadom tego, z kim ma do czynienia, mężczyzna ruszył w moim kierunku i podniósł wysoko latarnię, by mi się przyjrzeć. Po chwili zapiął głosem o oktawę wyższym niż zazwyczaj:

– Enola?

– Witaj, Sherlocku. Co się z wami działo? – spytałam z głupia frant, chociaż zdążyłam już zobaczyć przyczynę ich nieobecności pod zakładem. Wagonetka leżała w przydrożnym rowie kołami do góry, obok zaś stali zdjęci niemocą Tewky z Watsonem. Jeśli chodzi o Jezebel, to w oczy rzucały się przede wszystkim ślady jej niszczycielskich zapędów oraz jej nieobecność.

– „Co się z wami działo?” – powtórzył Sherlock z przekąsem. – To raczej ja powinienem ci zadawać tego typu pytania. Dlaczego siedzisz na koźle, chociaż oboje wiemy, że nie umiesz powozić?

Zanim zdążyłam mu się odciąć, usłyszałam skrzyp drzwiczek powozu i obie jego pasażerki wyskoczyły na drogę. Dawson dzierżyła w dłoni lichterz z dogasającym już ogarkiem świecy.

– Enolu Holmes! – zawołała Tish głosem stłumionym przez wściekłość i łzy. – Znienawidzę cię do końca życia, jeśli natychmiast nie wrócimy po moją siostrę!

– No cóż – skomentował to Sherlock. – Nie możemy cię narażać na czyjąś dozgonną nienawiść, prawda?

Kilka chwil później, kiedy powóz po raz kolejny wtoczył się na podjazd wiodący do Sanatorium Lesser Smythnuncle dla Imbecyli i Niesprawnych Umysłowo, nie musieliśmy już wyteżać wzroku w słabym świetle lamp naszego powozu. Przed budynkiem zebrała się grupa mężczyzn i kobiet, którzy z latarniami w dłoniach przyglądali się pewnemu gestykulującemu rozpaczliwie osobnikowi.

– To nasz stangret – wyjaśniłam siedzącemu obok mnie na koźle Sherlockowi, który wdrapał się na górę i pomógł mi zawrócić ciężką landarę. – Musiałam go wepchnąć w różany krzew,

inaczej przekazałby Tish w ręce zarządców zakładu.

Zdawało mi się, że Sherlock zachichotał, ale nie byłam tego pewna, ponieważ woźnica rzucał się pędem w moją stronę:

– Złodziejka! Oddam cię w ręce prawa! Za rabunek, napaść i pobicie!

– Nonsens. Bądź łaskaw się uspokoić, mój pocziwczce. – Odzyskawszy wrodzoną energię i władczy ton, mój brat wręczył stangretowi złożony papierek, a konkretnie banknot. Mogę się jedynie domyślać jego nominału, ale najwidoczniej był na tyle wysoki, by momentalnie udobruchać rozsierzonego jegomościa. – A ty, mój drogi chłopcze – zwrócił się do wyrostka, który siodłał krępego konika, by (jak się domyślam) pojechać po miejscowe siły policyjne – odprowadź mierzynka do stajni, bo niebawem wszystko samo się wyjaśni.

Młodzian wykonał jego polecenie bez szemrania, tymczasem Sherlock zwrócił się do reszty zgromadzonych, którzy gapili się z otwartymi ustami. I to wcale nie na niego, tylko głównie na mnie, czyli przedstawicielkę słabszej płci mocującą lejce i zsuwającą się z wysokiego kozła. Podobne reakcje obudziły też osoby wysiadające z powozu: Watson z czarną lekarską torbą, wystrojony jak dandys Tewky, zażywna i skromna, acz ubawiona całą sytuacją Dawson oraz Tish z twarzą pokrytą smugami różnobarwnych szminek, których mimo starań nie udało jej się zetrzeć.

Po chwili oczy wszystkich ponownie zwróciły się na Sherlocka, kiedy z jego ust padło pytanie:

– Kto jest właścicielem tej instytucji?

– Ja, proszę pana, Roland Mizzlethorpe, doktor nauk medycznych i pański uniżony sługa. – Z gromadki stojącej przed budynkiem wystąpił człowiek o przedziwnej budowie ciała, cechujący się pociągłą twarzą, zapadniętą piersią i służalczym sposobem bycia. – A pan to...?

– Nie ma to większego znaczenia, ponieważ pańskim rozmówcą będzie doktor Watson.

Adresat tych słów wytrzeszczył nagle oczy, połyskując białkami jak spłoszony koń, zanim skierował wzrok w stronę Watsona. Myślałam, że rozpoznaje w nim słynnego kronikarza osiągnięć mojego brata, ale okazało się, że był to mylny wniosek.

– Przybywam tu w imieniu waszej pacjentki, zwanej tu Norą Helmer – wyjaśnił Watson. – Domyślam się, iż macie świadomość faktu, że nie są to jej prawdziwe personalia. Jej siostra zwróciła się do nas o pomoc w jej uwolnieniu. Żądamy zatem, byście jak najszybciej przekazali ją w nasze ręce.

Kątem oka zauważyłam, że Dawson weszła jakimś sposobem w posiadanie mokrej chusteczki i pomaga Tish doczyścić umalowaną twarz.

Mizzlethorpe przez chwilę zmagał się z dylematem, czy lepiej będzie się poddać, czy stawiać dalszy opór. Zwlekał z odpowiedzią, gestykulując w stronę zgromadzonych, by wrócili pod dach. Kiedy pozbył się wreszcie świadków, spytał ostro:

– Na jakiej podstawie?

– Dajże spokój, człowieku, wiesz równie dobrze jak ja, że nie powinna się tu znaleźć.

Ale Sherlock miał lepszy pomysł, jak pogrążyć Mizzlethorpe'a.

– Pragniemy zobaczyć dokumentację jej przyjęcia do zakładu.

– Nie! – Zaindagowany ponownie spłoszył się jak koń.

– Ach. Czyżby coś się w niej nie zgadzało? – Sherlock odwrócił się do Watsona: – Staruszk, założę się z tobą o kolację u Simpsona, że znajdziemy w papierach twoje nazwisko. Lord Caddie z pewnością wybrał je na chybił trafił ze spisu lekarzy, żeby się nie męczyć jego czytaniem.

Doktor Mizzlethorpe od razu zmienił ton:

– Błagam was, panowie! Z pewnością żadna ze stron nie życzy sobie skandalu.

Do rozmowy włączył się władczy głos:

– W takim razie przyprowadźcie mi siostrę. Natychmiast.

Tish stała na uboczu wyprostowana jak struna, oświetlona migotliwym blaskiem latarni. Wszyscy trzej panowie odwrócili się w niemym zdumieniu, jakby przemówił do nich kamienny filar. Potem pochylili ku sobie głowy i zaczęli się naradzać szeptem. W pewnym oddaleniu od nich Tewky prowadził rozmowę z woźnicą, któremu Dawson wyciągała powbijane w ciało kolce. Ponieważ Tish stała na uboczu, podeszłam do niej i wzięłam ją za rękę. Przyjęła to z bladym uśmiechem. Najwidoczniej zapomniała już, że mnie nienawidzi i do końca życia mi nie wybaczy. Po krótkiej naradzie mężczyźni ruszyli razem w stronę wejścia. Dłoń Tish zacisnęła się mocniej na mojej.

Sherlock, Watson i dwulicowy niczym Dickensowski Pecksniff lekarz zniknęli we wnętrzu, natomiast Tish nawet nie drgnęła. Być może czuła, że zrobiła już wszystko, co w jej mocy, być może nie chciała oglądać warunków, w jakich przetrzymywano jej siostrę. A może po prostu zrobiło jej się słabo – bądź co bądź od rana nic nie jadła. Trwała w milczącym bezruchu, jakby była kolumną w Partenonie. Ale czułam, że cała drży.

Stałyśmy tak, trzymając się za ręce, a czas dłużył się niemiłosiernie. W końcu jednak drzwi otworzyły się ponownie.

Tish wydała z siebie cichy, nieartykułowany dźwięk, wypuściła moją dłoń z uścisku i pobiegła, a raczej pokuśtykała w stronę siostry, by chwycić ją w ramiona. Dziewczyny ścisnęły się i płakały na przemian. Tish wyglądała o wiele żałośniej. Prześliczna Flossie miała długie, nieco tylko zaniedbane loki i bladą, choć niewymizerowaną twarz. Jej suknia, wprawdzie ciemna i brzydka, była cała i schludna. Siostry a to tuliły się do siebie, a to patrzyły sobie w oczy, a to roniły łzy, a to znów się sobie przyglądały.

– Tish, twoje włosy! – zawołała w pewnej chwili Flossie.

– Odrośną – powiedziała Tish z uśmiechem. Uśmiechała się szeroko i radośnie. Nigdy jej jeszcze takiej nie widziałam: wreszcie skończył się dla niej koszmar.

Po chwili w ślad za Flossie wyszli na zewnątrz mój brat i Watson. Oni również promienieli z radości. Ten widok sprawił, że i na mojej twarzy pojawił się uśmiech. Flossie zapewniała tymczasem siostrę, że nie było jej w zakładzie aż tak źle.

– Tyle tylko, że kiepsko spałam w nocy, bo krzyki nie cichły ani na chwilę, i naoglądałam się straszliwych widoków. No i cały czas myślałam o Caddiem, o jego niewierności, o tym, że stracił do mnie serce, bo nie chciałam być uległa, i o tym, że śmiał odesłać mnie z domu w czarnym powozie.

Kątem oka zauważyłam, że Tewky podszedł i powiedział coś do Sherlocka, który pokiwał twierdząco głową, po czym ogłosił wszystkim obecnym:

– Stangret zgodził się nas odwieźć. Czas ruszać w drogę.

Flossie podniosła głowę, patrząc ze strachem:

– Dokąd mnie zabieracie?

– Na stację kolejową w Dorking – odparł Sherlock.

– A potem zamieszkaś ze mną – dodała Tish.

– Och, Tish! Czy na pewno?

– Oczywiście.

– Ale... boję się. Czy Caddie nie będzie mnie szukał?

– Tą sprawą zajmiemy się ja i mój brat – powiedziałam.

Flossie skierowała na mnie swoje śliczne, pełne niepokoju oczy z niemym pytaniem: „Kim ty jesteś?”.

– To moja droga przyjaciółka Enola Holmes – wyjaśniła Tish z takim żarem, że zrobiło mi się ciepło na sercu.

– A moim bratem jest Sherlock Holmes – dopowiedziałam. – Musimy teraz złożyć wizytę hrabiemu Dunhynch w pani imieniu. Jeśli pan męczyżonek uprze się, by panią odzyskać, zagrozimy mu skandalem. Ogłosił wszem wobec, że pani nie żyje, więc możemy mu zagrozić odpowiedzialnością karną. I sądzę, że uda nam się go nakłonić do wypłacenia pani sowitego zadośćuczynienia. Prawda, Sherlocku?

– Bardzo możliwe, że tak będzie – przyznał pełnym wyższości tonem starszego i bardziej zrównoważonego brata, ale nie przeszkadzało mi to. Dobrze wiedziałam, co mogę zrobić. A nawet więcej: zamierzałam to zrobić.

– Niech panią o nic głowa nie boli – zapewniłam lady Felicity. – Zadbamy o wszystko.

EPILOG

pióra Sherlocka Holmesa

Nie będę zaprzeczał: „Sprawa czarnego powozu” (Enola upiera się, by tak ten przypadek nazywać) była ze wszech miar frapująca i żałowałbym, gdybym nie wziął w niej udziału. Przyznam jednak, że poczułem ogromną ulgę, gdy po powrocie do Londynu moja nieustraszona siostra rzuciła się w wir głupiutkich damskich zajęć. Zaraz po uwolnieniu lady Felicity skupiła całą swoją uwagę na dogadzaniu Tish i Flossie, wtykając przez kolejne tygodnie swój okazały nos w ich sprawy chętniej niż w moje. Zamawiała hurtowo kwiaty i kosze z jedzeniem, każąc je posyłać pod adres Tish. Zatrudniła dziewczynę do wszystkiego i kucharkę. Zleciła krawcowej zadbanie o garderobę Flossie. Nie dość, że pożyczyła Tish własną perukę, to jeszcze sprawiła jej nową, z blond włosami. Kiedy tylko siostry Glover odzyskały nadwątlone siły, zaczęła je wozić po sklepach. Niemal codziennie zabierała je na zakupy i z każdym dniem ich szafy wzbogacały się o nowe suknie, kostiumiki, płaszcze, narzutki, botki, pantofelki, parasole, torebeczki, rękawiczki i kapelusze z wszelkimi możliwymi ozdóbkami i obszyciami. Nie do końca wiem, czym jest gipiura, jednak coś mi podpowiada, że wszystkie trzy obficie się w nią zaopatrzyły. Ponieważ nie wykazywałem najmniejszego zainteresowania ich nabytkami, zaprosiły do Londynu młodego Tewkesbury’ego, który przez cały dzień cmokał z zachwyty nad nowymi fatałaszками. Wszystko to pozwoliło mi odetchnąć i spotykać się z Enolą wyłącznie w sprawach zawodowych.

A te skupiały się wokół nieprzyjemnej misji nakłonienia lorda Cadogana Burra Rudcliffa Drugiego alias hrabiego Dunhench do przeznaczenia środków finansowych na utrzymanie lady Felicity.

Wziąłem zatem tę kwestię na siebie, nie chcąc wtajemniczać w nią siostry, ponieważ czułem, że pełna młodzieńczej awanturniczości będzie gotowa posunąć się do zaszantażowania lorda Cadogana Burra Rudcliffa Drugiego. A chociaż ten drań nad dranie w pełni zasługiwał na karę, nie chciałem przykładać ręki do wymuszenia. Objasniłem to Enoli, co wzbudziło jej głośne protesty; bądź co bądź trudno się spodziewać, by kobieta, choćby nawet obdarzona inteligencją, potrafiła zrozumieć kodeks honorowy dżentelmena.

Z tego też powodu postanowiłem niezwłocznie przystąpić do działania, uprzedzając ewentualne wybryki Enoli. W towarzystwie wiernego Watsona i jego niezawodnego rewolweru wojskowego udałem się ponownie do Dunhench Hall zaledwie półtorej doby po naszej ostatniej tam bytności. Po przybyciu na miejsce zastaliśmy jego łotrowską mość zajętego oddawaniem się głośnemu atakowi furii. Kiedy jego ponury kamerdyner otworzył nam drzwi, usłyszałem z głębi domu ryk hrabiego:

– Weźcie je i spalcie wszystkie, co do ostatniej! Spalcie je, mówię!

Frapujące. Chętnie bym się dowiedział, co tym razem skazywał na spopielenie. Oświadczysz służącemu, że przybywamy w imieniu Jej Królewskiej Mości Wiktorii, wyminąłem go w progu i obaj z Watsonem podążyliśmy w stronę rejwachu czynionego przez szlachetnie urodzonego nędznika. Zastaliśmy tego wyzutego z zasad moralnych arystokratę w salonie, gdzie wdeptywał coś zawzięcie w dywan jak jadovitą zmięję. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że to tylko oprawiony w ramkę obrazek, uroczą akwarela przedstawiająca kwiaty. Rudcliff zbił szkło i roztrząskał ramkę, a potem wyrwał tkwiący w niej arkusik i wrzucił do płonącego w kominku ognia.

– Aha – powiedziałem ze zrozumieniem. – Postanowił pan zniszczyć dzieło rąk lady Felicity, skoro jej samej nie udało się panu unicestwić.

Odwrócił się gwałtownie, spojrzał na mnie jak rozjuszony byk szykujący się do ataku i wrzasnął:

– A pan to niby kto?!

– Jestem... i niby, i naprawdę Sherlockiem Holmesem, działającym w imieniu pańskiej małżonki.

Zaklął tak siarczyście, że znajdujący się nieopodal służący uciekli w popłochu, gubiąc po drodze pozostałe skazane na zagładę akwarele. Watson zamknął za nimi drzwi na zasuwę, by nie przeszkadzali nam w rozmowie z jaśnie panem spod ciemnej gwiazdy. Następnie poczciwy doktor ulokował się z bronią w rękę przy wejściu do salonu.

– Możemy usiąść? – spytałem grzecznie lorda Cadogana. – Ustalimy teraz kwotę, którą bę-

dzie pan regularnie łożył na dalsze utrzymanie swojej żony.

– Nie dam jej ani pensa!

– Oj, da pan – zapewniłem go pryncypialnie – chyba że woli pan odpowiadać przed sądem za sfałszowanie podpisów w dokumentacji medycznej.

Od tej chwili rozmowa zupełnie się nie kleiła. Mój adwersarz zaczął mi rzucać złowieszcze spojrzenia, postanowiłem zatem sięgnąć do kieszeni po ratującą mi niejednokrotnie życie poręczną pałkę z twardego drewna. Watson trwał na swoim posterunku przy drzwiach z wrodzoną flegmą, wiedział bowiem, że większość tyranów to zwykli tchórze. Jaśnie cham hrabia szybko uciekł się do pogróżek.

– Nie może pan dowieść, że podpisy są fałszywe!

– Jak najbardziej może – wtrącił mój drogi Watson z drugiego końca pokoju. – Jeden z nich na pewno nie jest autentyczny, ponieważ doktor Watson to ja.

Hrabia wzdrygnął się, jakby dostał pięścią w twarz, a jego rozbiegane oczy zaczęły szukać drogi ucieczki.

– Brindle! – ryknął do swojego kamerdynera. – Ściągnij tu lokajów!

Tu wyczerpała się moja cierpliwość.

– Siadaj pan! – rozkazałem, wskazując mu pałką krzesło przy salonowym stoliku. – Próba wyrzucenia nas z domu skutkuje tym, że wrócimy tu w asyście przedstawicieli prawa. Chce pan tego?

Hrabia nie odpowiedział, ale posłusznie usiadł. Za moimi plecami rozległy się ściszone głosy. Watson instruuwał Brindle'a, by przyniósł hrabiowski papier listowy, pióro, kałamarz, bibułę i tym podobne przybory piśmienne.

A ja zwróciłem się do Cadogana Burra Rudcliffa Drugiego:

– Spisz pan teraz zeznanie. Poczynając od losu, który zgotował pan swojej pierwszej żonie, Myzelli Haskell.

Zaciął się, rzecz jasna, przy pierwszym zdaniu, więc musiałem mu posłużyć za suflera. Sfałszował dokumentację ubezwłasnowolnienia, zamknął żonę w zakładzie dla obłąkanych, wmówił jej krewnym, że umarła i że jej zwłoki spopielono. Cadogan spisywał kolejne fakty tak wielkim i zamaszystym pismem, że mogłem je odczytać nawet z miejsca, w którym stałem. Następnie zmusiłem go do opisanie równie podłego potraktowania Felicity Glover. Na koniec nakazałem mu opatrzyć zeznanie datą i podpisem. Kiedy to zrobił, podałem je Watsonowi, który przeczytał oświadczenie i złożył na nim podpis jako świadek. Zasiadłem przy stoliku naprzeciwko patrzącego wilkiem hrabiego.

– A teraz – oznajmiłem mu – trzeba ustalić wysokość wypłat...

– Szantażysta! – wybuchnął.

– Jestem dżentelmenem – uciąłem surowo – i nigdy nie niżam się do takich metod! Pan natomiast dowiódł, że żadną miarą nie zasługuje na miano dżentelmena. I wyłącznie z tego powodu zażądałem od pana zabezpieczenia. – Poklepałem dłonią kieszeń, w której schowałem jego przyznanie się do winy. – Gdybym rozmawiał z człowiekiem honoru, zawarlibyśmy dżentelmeński układ, nie uciekając się do zastraszania. Może pan sobie myśleć, co chce, jednak będzie pan co miesiąc wpłacał na rachunek małżonki tyle, ile pan łożył na jej miesięczne utrzymanie w zakładzie. Ni mniej, ni więcej. – Ustaliłem zawczasu, że kwota ta zapewni Flossie utrzymanie, skromne, bo skromne, ale i tak przewyższy to jakiegokolwiek dochody panny Tish z przepisywania na maszynie.

Jego parszywa mość rozpromienił się nagle i ochoczo sięgnął po pióro i papier. Najwyraźniej spodziewał się o wiele bardziej wygórowanych żądań. I wówczas za moimi plecami jakiś damski głos oświadczył dobitnie:

– Jedna wielka załgana kupa świńskiego łajna!

Zesztywniałem. Nie, to chyba sen.

Kiedy podniosłem się z miejsca i odwróciłem, skonstatowałem, że to jednak jawa. W salonie pojawiła się Enola w sukni i kapeluszu uszytych wedle najnowszej londyńskiej mody. Obok niej stała równie elegancko odziana starsza kobieta, której nigdy przedtem nie widziałem. Za nimi, przy drzwiach, dostrzegłem Watsona, patrzącego na mnie z zawstydzoną miną.

Enola nie raczyła na mnie spojrzeć, tylko od razu wbiła w hrabiego Dunhencha świdrujący wzrok:

– Bzdury! Farmazony! – doprecyzowała. – Bezczelne chamisko! – I oznajmiła mu rozkazującym tonem: – Będziesz wypłacał Flossie co najmniej trzykrotność tej kwoty miesięcznie, inaczej pani Haskell i ja opowiemy światu o tym, co zrobiłeś ze swoimi żonami. Nie tylko z Felicity, ale także z Myzellą.

Chociaż pojawienie się Enoli mocno mnie zaskoczyło, zachowałem dość przytomności umysłu, by zamiast się jej przyglądać, zerknąć za siebie i sprawdzić, czy hrabia nie szykuje się do rzucenia jakimś ciężkim przedmiotem. Ale moje obawy okazały się płonne. Wojowniczość uszła z niego jak powietrze z balonu i siedział teraz niczym wyciągnięty z wody przerośnięty kiełb, patrząc na dwie kobiety, jakby widział w nich nacierającą armię wroga. Szczególny lęk budziła w nim pani Haskell, która stała tam bez słowa. Na pierwszy rzut oka zobaczyłem w niej jedynie niską i niezgrabną staruszkę o pomarszczonej jak suszone jabłko wiejskiej twarzy. Mimo to zarówno ona, jak i Enola sprawiały w imponujących kapeluszach wrażenie prawdziwych Eryunii, Mojr, Furii. Do tamtej chwili uważałem przesadnie rozbudowane damskie nakrycia głowy za głupie w najlepszym razie, w najgorszym – za idiotyczne. Jednak w ponurej scenerii Dunhench Hall zacząłem zupełnie inaczej na to patrzeć.

Pani Haskell przechyliła głowę – wraz z budzącym trwogę kapeluszem – pełnym niemej groźby gestem w stronę hrabiego Dunhencha i rozkazała:

– Proszę to zrobić!

Momentalnie chwycił za pióro i po paru minutach z zaskakującą szybkością wszystkie niezbędne dokumenty zostały podpisane, a ja otrzymałem pierwszą ratę zwiększonej dożywotniej renty lady Felicity.

– A teraz – powiedziałem – poproszę pana o pisemne oświadczenie, że nie podejmie pan żadnej próby nawiązania kontaktu z żoną i powstrzyma się pan od jakiegokolwiek ingerencji w życie jej i Letitii Glover.

– Ale widzisz pan... – zaczął kręcić.

Enola z miejsca przywołała go do porządku.

– Czyżbyś już zapomniał, jak pojawienie się Tish kazało ci uciekać z wrzaskiem z własnej jadalni? – spytała ze złośliwą satysfakcją. – Sądzę, że konieczność trzymania się z daleka od sióstr Glover będzie dla ciebie błogosławieństwem.

Zaperzył się nieco i rzucił jej spode łba groźne spojrzenie, jednak bez szemrania podpisał kolejny dokument. A ponieważ nasze pertraktacje dobiegły końca (choć obyło się bez zwyczajowych uścisków dłoni), Watson i ja zaoferowaliśmy obu paniom ramię i opuściliśmy rezydencję.

Enola szła obok mnie, trzymając mnie pod rękę. Kiedy zatrasnęły się za nami drzwi Dunhench Hall, nie miałem pomysłu, co mógłbym jej powiedzieć. Schodząc po stopniach ganku, milczałem. Przyznam otwarcie, że byłem zniesmaczony jej interwencją w negocjacje z hrabią. Jednak widok, który mnie powitał przed domem, rozpedził wszystkie te myśli. Przed gankiem czekał brougham pani Haskell zaprzężony w aż za dobrze mi znaną, żółto umaszczonego klacz.

– Błagam, nie mówcie mi, że to Jezebel! – zawołałem.

– Nie. To tylko jej bliźniacza siostra Jasmine. – Enola obdarzyła mnie na pożegnanie enigmatycznym uśmiechem, po czym zrównoważona klacz ruszyła lekkim kłusem z moją siostrą i panią Haskell w powozie.

Watson podszedł do mnie.

– To z całą pewnością nie jest Jezebel – zauważył. – Oczywiście ich podobieństwo jest dziełem przypadku. – Uśmiechnął się do mnie prostodusznie i choć uniosłem w odpowiedzi brwi, nie czułem już potrzeby obsztorcowania go za to, że pozwolił Enoli jechać za nami do Dunhench Hall. Zbyt dobrze ją teraz znałem, by nie wiedzieć, że potrafi dopiąć swego, kiedy się przy czymś uprze.

– W rzeczy samej – odrzekłem. – Ale chwilowo mam dość bliźniąt wszelkiego autoramentu. Możemy ruszać w drogę powrotną?

Kiedy dotarliśmy do Londynu, zaprosiłem go na kolację i obaj wznieśliśmy toast za dobrze wypełnione zadanie.

Flossie wykazała się wielkim rozsądkiem, przeznaczając część nowo zdobytych funduszy na zakup cynowych naczyń i zdobienie ich na japońską modłę, to znaczy pokrywanie całej powierzchni malowanymi specjalnym lakierem kwiatkami i zawijaskami, chroniącymi ją przed korozją. Dzięki wrodzonemu talentowi artystycznemu przedmioty dekorowane jej rączką szybko za-

częły wyróżniać się spośród innych. Z czasem Flossie otworzyła stoisko w hali targowej Covent Garden, gdzie z całkiem przyzwoitym zyskiem sprzedaje szkatułki, tace, lampiony i tym podobne. Enola utwierdza mnie w przekonaniu o jej wielkim sukcesie, kupując co najmniej raz w tygodniu a to śliczniutką osłonkę na doniczkę, a to stojak na zapaliki, a to jeszcze inne bezużyteczne cacko, po czym przybiega do mnie i – jeśli zastaje mnie w domu – wręcza mi je w prezencie. Siostra bardzo często wynajduje pretekst, by składać mi wizyty, a ja się przed nimi nie wzbraniam. Nie udało jej się, jak dotąd, wkręcić do kolejnego z moich dochodzeń. Osobiście wcale o to nie zabiegam, chociaż nie mam wątpliwości, że kiedyś jej się to uda.



POZNAJ WSZYSTKIE SPRAWY ENOLI HOLMES

Enola Holmes. Sprawa zaginionego markiza
Enola Holmes. Sprawa leworęcznej lady
Enola Holmes. Sprawa złowieszczych bukietów
Enola Holmes. Sprawa osobliwego wachlarza
Enola Holmes. Sprawa szyfru na krynolinie
Enola Holmes. Sprawa tajemniczego zniknięcia księżnej
Enola Holmes. Sprawa czarnego powozu

 facebook.com/poradniak

 instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

 linkedin.com/company/poradniak

 poradniak.pl

